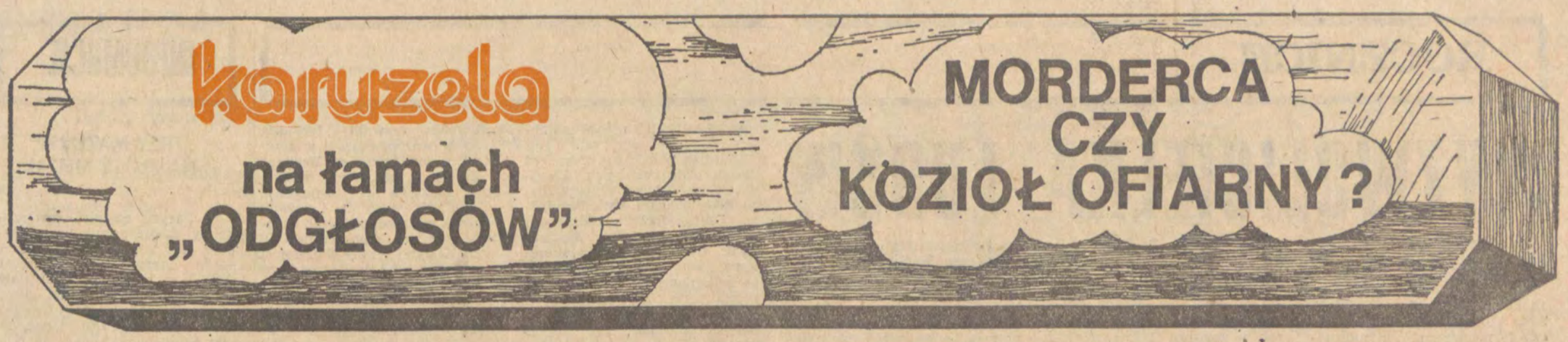

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 8 (1002)
20 LUTEGO 1977 R.
CENA 3 ZŁ

NAFTA

„Petroleum Economist" doniósł, że produkcja ropy naftowej za rok 1976 osiągnęła rekordową ilość 2 844 miliony ton i była większa niż w 1975 roku o 7,6 procent. Pierwsze miejsce w produkcji ropy naftowej zajmuje Związek Radziecki, drugie — Arabia Saudyjska, trzecie — USA.

Od 1 stycznia 1977 roku państwa należące do **OPEC** — Organizacji Państw Eksportujących Ropę Naftową — podniosły cenę baryłki o 10 procent, ale z tego wyłamały się **Arabia Saudyjska** i **Zjednoczone Emiraty Arabskie** podnosząc cenę baryłki tylko o 5 procent. Kraje należące do **OPEC** postanowiły również, że **od 1 lipca 1977 roku** dokonają ponownie podwyżki ceny ropy naftowej, ale już zgodnie wszyscy o 5 procent.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PIERWSZA RUNDA

Decyzja **OPEC** wywołała wielkie zdziwienie na świecie, ale też i radość niektórych. Zaraz po tej decyzji, jeszcze w **grudniu 1976 roku** amerykański tygodnik **„Time"** pisał:

„Koła oficjalne w USA i w innych krajach importujących ropę wyrażały zbożne życzenie, że w OPEC dojdzie w jakiś sposób do rozbicia, ale ich nadzieje przez cały ten czas były płonne — aż do ubiegłego tygodnia. Na spotkaniu przedstawicieli OPEC w odległym emiracie Kataru, w celu ustalenia cen ropy, nieoczekiwanie, otwarcie i w sposób dramatyczny doszło wreszcie do pierwszego pęknięcia jednolitej fasady OPEC."

PRÓBA POJEDNANIA

Wytworzyła się więc z początkiem roku 1977 dość skomplikowana sytuacja na rynku światowym. Te kraje, które kupowały ropę naftową w **Arabii Saudyjskiej** i **Zjednoczonych Emiratach Arabskich** znalazły się w dużo lepszej sytuacji, jako że wydatki na import ropy naftowej rosły im w sposób znacznie łagodniejszy niż w krajach, które importowały ropę naftową od pozostałych członków **OPEC**. Kraje kupujące naftę w **Arabii Saudyjskiej** i **Zjednoczonych Emiratach Arabskich** mogły też odsprzedawać ją innym krajom po cenach wyższych, ale też i niższych niż ustaliły kraje należące do **OPEC**, zarabiając w ten sposób na geście, jaki w ich stronę uczyniła **Arabia Saudyjska** i **Zjednoczone Emiraty Arabskie**.

Spodziewano się, że w tej korzystnej dla siebie sytuacji **Arabia Saudyjska** i **Zjednoczone Emiraty Arabskie** podniosą produkcję ropy naftowej i tak też stało się. **Arabia Saudyjska** ogłosiła, że podnosi produkcję ropy naftowej prawie do 12 milionów baryłek wydobywanych dziennie, podczas gdy do tej pory dziennie wydobywała 8,5 miliona baryłek. Również w Emiracie **Abu Dabi** postanowiono wydobywać więcej ropy naftowej o prawie pół miliona baryłek dziennie.

Z sytuacji tej skorzystały też państwa nie należące do **OPEC** i nie posiadające jeszcze ugruntowanej pozycji na międzynarodowym rynku naftowym. Skorzystały mianowicie między innymi **Chiny**, które również zwiększyły wydobycie ropy naftowej, jakkolwiek jakość jej nie zawsze odpowiada normom obowiązującym na świecie. **Chiny** podniosły cenę swojej ropy naftowej eksportowanej do Japonii, chociaż ilość tej ropy, jaką kupią Japończycy będzie mniejsza niż była w ubiegłym roku.

Znacznie gorzej jednak wygląda sytuacja w krajach, które zdecydowały się na 10-procentową podwyżkę cen ropy naftowej. W **Iranie** — na przykład — produkcja ropy naftowej na początku 1977 roku spadła aż o 35 procent. Zmniejszyła się też produkcja ropy w **Iraku** i **Kuwejcie**. **Wenezuela** zapowiedziała utrzymanie eksportu na niezmienionym poziomie, a **Indonezja** chociaż formalnie zgodziła się na 10-procentową podwyżkę ceny, to faktycznie dla niektórych rodzai ropy naftowej podniosła cenę tylko o 5 procent.

National Iranian Oil Company ogłosiła z początkiem bieżącego roku, że będzie wciągać na „czarną listę" te wszystkie towarzystwa, które wbrew uprzednio zawartym umowom, nie kupią w **Iranie** zadeklarowanych ilości

Dalszy ciąg na str. 3

KONFLIKTY

ZBIGNIEW LENARTOWICZ

POWRÓT

Dwadzieścia lat temu mieszkańcy małego prowincjonalnego miasteczka zostali wstrząśnięci tragiczną śmiercią młodej kobiety i jej trzyletniej córeczki. Za tragiczną śmiercią kryło się zabójstwo. Przestępca sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Był nim mąż Iwony, Józef R. Alkoholizm Józefa, zdrada małżeńska, trudne jego współżycie z teściową doprowadziły do konfliktów i zbrodni. Biegli psychiatrzy stwierdzili u oskarżonego Józefa R. „degradację charakteru na tle przewlekłego alkoholizmu".

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego skazany on został na karę śmierci. Jednakże w wyniku rewizji nadzwyczajnej I Prezesa Sądu Najwyższego zapadł ostateczny wyrok skazujący Józefa R. na dożywotnie więzienie. Kiedy za skazanym zatrzasnęła się więzienna brama miał on wtedy 29 lat, kiedy wyszedł na wolność miał lat 45. Sąd zwolnił go warunkowo i oddał na pięć lat pod dozór kuratora. Kuratorem Józefa R. sąd wyznaczył mnie. Był r. 1971.

Powrotu Józefa nie doczekała się matka, która do końca z niezwykłym uporem i konsekwencją walczyła o uwolnienie syna. Po śmierci matki Józef miał dokąd pójść. Miał osobę, która jeżeli nie pożałować, to przynajmniej mogła go lepiej zrozumieć niż ktokolwiek inny. Tą osobą była

Dalszy ciąg na str. 5

FILM

MARIA KORNATOWSKA

HISTORIA MICHELANGELO ANTONIONIEGO I MONIKI VITTI

Antonioni powołał do życia galerię niebanalnych postaci kobiecych. Grywały w jego filmach aktorki słynące urodą: Lucia Bosé, Eleonora Rossi Drago i aktorki słynące talentem — Jeanne Moreau, Betsy Blair, Valentina Cortese. Ale to właśnie Monika Vitti dała swą krew i ciało idalnej heroinie stworzonego przezeń świata, heroinie jego wyobraźni. Spotkanie reżysera i aktorki miało dla rozwoju sztuki filmowej istotne znaczenie.

Na ekranie pojawiła się bohaterka obdarzona tej miary integralnością co postaci zaludniające karty literatury, obdarzona pełnią życia wewnętrznego, wielowymiarowa i wieloznaczna, sugerująca niezliczone podteksty i skojarzenia. Okazało się, że film sięgnąć może w głąb psychiki człowieka, odsłonić jego wrażliwość, skomplikowane mechanizmy odczuwania i reagowania. Ileż słów trzeba było przywołać na pomoc, by objaśnić choć w

Dalszy ciąg na str. 10

ROCZNICE

WYZWOLICIELKA LUDÓW

Powstanie i rozwój Radzieckich Sił Zbrojnych, ich wspaniały szlak bojowy nierozerwalnie łączy się z działalnością partii komunistycznej, z działalnością Włodzimierza Iljicza Lenina w pierwszym, najtrudniejszym okresie ich istnienia. Lenin bowiem opracował i naukowo uzasadnił wojskowy program rewolucji proleteriackiej, naukę o obronie socjalistycznej ojczyzny, główne zasady budownictwa i struktury organizacji wojskowej. Lenin stojąc na czele państwa kierował bezpośrednio organizacją Armii Czerwonej, precyzyjnie określał jej zadania polityczne i strategiczne, umiejętnie pokierował operacjami, w wyniku których rozgromione zostały białogwardyjskie jednostki junkrów i kozaków nad Donem, w Moskwie, Baku, na Ukrainie i w innych rejonach.

Radzieckie Siły Zbrojne powołane zostały na mocy dekretu Rady Komisarzy Ludowych (luty 1918 r.) do obrony zdobyczy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Ich trzon stanowiły czerwonogwardyjskie oddziały rewolucyjnych żołnierzy i marynarzy, klasowo związanych z ludem rosyjskim, spojone wysoką świadomością polityczną oraz żelazną dyscypliną. Tylko taka armia była w stanie zagrodzić drogę wojskom kajzerowskim i Ententy w 1918 r. Tylko spojona wewnętrznym pragnieniem zwycięstwa proletariatu Armia Czerwona była w stanie rozprawić się z atamanem Krasnowem i generałem Denikinem, Judeniczem i Kołczakiem, rozgromić desantujące wojska francuskich i angielskich interwentów. Komuniści natomiast wnosili do wyczerpanych ciągłymi walkami wojsk rewolucyjny entuzjazm, bolszewickie zorganizowanie i ducha dyscypliny proletariackiej.

W nader trudnej i złożonej sytuacji, odczuwając ogromne braki w uzbrojeniu, jakże często głodni, źle umundurowani — ale przepojeni wiarą w słuszność swej sprawy, żołnierze radzieccy z największym poświęceniem walczyli z doborowymi oddziałami interwentów i białogwardzistów. W latach wojny domowej (1918—1921) Armia Czerwona dojrzała, zahartowała się, zdobyła doświadczenie. W okresie tworzenia armii oraz organizowania walki z interwentami i wrogami wewnętrznymi młodej władzy radzieckiej, wyrośli utalentowani dowódcy radzieccy: Michaił Frunze, Kliment Woroszyłow, Siemion Budionny, Wasyl Czapajew, Mikołaj Szczors, Grigorij Kotowski, Rodion Malinowski, Konstanty Rokossowski, Nikołaj Woronow, Kirił Miereckow. Odegrali oni ważną rolę w rozwoju Radzieckich Sił Zbrojnych, powtórzyli zwycięstwo w walce z faszystowskimi wojskami Trzeciej Rzeszy.

Kiedy ucichły ostatnie strzały wojny domowej, dla młodej Republiki Radzieckiej rozpoczął się okres pokojowego budownictwa. Pierwszoplanowym zadaniem w dziedzinie budownictwa wojskowego było zorganizowane przestawienie armii na stopę pokojową. Jak to słusznie przewidywała Partia — imperializm nie zaprzestał jednak prowokacji, starał się przeszkodzić i zakłócić pokojową pracę narodu radzieckiego. Zaostrzająca się sytuacja międzynarodowa, wzrost zagrożenia ze strony imperializmu i postępująca militaryzacja krajów kapitalistycznych, postawiły na porządku dnia konieczność podjęcia niezbędnych decyzji dla umocnienia zdolności obronnej Kraju Rad. Z próby sił pomiędzy Armią Radziecką a chińsko-mandżurskimi militarystami w 1929 roku, a także przeciwko japońskim militarystom w 1939 r. nad jeziorem Chasan i w rejonie Chałchingoł w roli zwycięzcy, pogromcy najeźdźców wyszła Armia Radziecka. W działaniach tych zaprezentowała wysoką zdolność bojową, nieugiętą gotowość obrony państwa radzieckiego przed międzynarodowym imperializmem. Dalsza uporczywa, dyplomatyczna walka partii komunistycznej i rządu radzieckiego o system bezpieczeństwa zbiorowego w Europie i na całym świecie w końcu lat trzydziestych, nie znalazła uznania i poparcia ze strony głównych państw imperialistycznych.

Zdradziecka napaść Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki 22czerwca 1941 r. przerwała jednak pokojową pracę narodu radzieckiego. Napastnicze armie miały w pierwszym okresie przewagę liczebną i techniczną nad siłami zbrojnymi Związku Radzieckiego. Do agresji wykorzystano m. in. 5,5 miliona żołnierzy, ponad 3 700 czołgów i blisko 5000 samolotów bojowych.

Hitler w czasie narady wyższych dowódców tak oceniał sytuację polityczno-strategiczną: **„... Rosja jest mieczem Anglii i Ameryki. Anglia stawia głównie na czynnik rosyjski. Jeśli Rosja zostanie pobita, Anglia utraci swą ostatnią nadzieję. Wówczas panami Europy i półwyspu bałkańskiego będą Niemcy. W tej konfrontacji Rosja musi być zlikwidowana. Im szybciej rozbijemy Rosję tym lepiej. Operacja będzie miała sens tylko wówczas, gdy za jednym zamachem rozbijemy państwo. Samo zdobycie części terytorium jest niewystarczające".**

Gdy pancerne kolumny Wehrmachtu rozpoczęły ofensywę, wydawało się, że nie ma siły zdolnej powstrzymać agresora, który znajdował się u szczytu swej potęgi, gdy u jego stóp leżała pokonana niemal cała Europa.

A jednak istniała taka siła — Związek Radziecki i jego Siły Zbrojne, które nie tylko przetrwały trudne miesiące pierwszych bitew, ale dźwigając główny ciężar walki, zadały najeźdźcy druzgocący cios i zagrodziły mu drogę do hegemonii nad światem. Pod przewodem partii komunistycznej naród radziecki przystąpił ze zdwojonym wysiłkiem do mobilizacji wszystkich materialnych i duchowych zasobów kraju. Do nieubłaganej walki wzywały słowa pieśni „Święta wojna", jakże trafnie oddające głęboki sens myśli i uczuć wszystkich mieszkańców Kraju Rad spieszących bronić socjalistycznej Ojczyzny:

„Żołnierzu, do szeregu stań,
Karabin w dłonie bierz
Faszyści nasz pustoszą kraj,
Faszystom powiedz: precz!
Szlachetny niech uderza gniew,
Niech bije niby zdrój!
Za wolność przelejemy krew,
Pójdziemy w święty bój!"

I poszli w święty bój. Przed żołnierzami Armii Radzieckiej postawiono zadanie: bić się do ostatniej kropli krwi o ojczyste miasta, wsie i rejony, osłabiać wroga wszędzie, gdzie to możliwe, niszczyć jego żywą siłę i sprzęt techniczny, wygrywać na czasie i stwarzać warunki nieodzowne do mobilizowania i rozwijania sił obronnych kraju. Ofiarni obrońcy Brześcia przez 17 dni odpierali ataki nieprzyjaciela. Bohaterska załoga Odessy odpierała zaciekłe ataki wroga przez siedemdziesiąt dni, nieustraszony Sewastopol trwał w obronie przeszło 8 miesięcy. Do historii największego ludzkiego wyczynu przeszła bohaterska obrona Leningradu. W grudniowych starciach pod Moskwą w 1941 r. najeźdźca poniósł sromotną klęskę. Pogrom faszystowskich wojsk szykujących się do ceremonialnego przemarszu przez ulice radzieckiej stolicy, rozwiał mit o ich niepokonalności.

Generał, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Eisenhower, w depeszy skierowanej do Rady Towarzystwa Przyjaźni Amerykańsko-Radzieckiej wkrótce po bitwie pod Moskwą pisał: **„Cały świat podziwiał męstwo Armii Radzieckiej, która po wiarołomnym ataku hitlerowskim, w ciężkich bojach obronnych nie tylko nie pozwoliła się pokonać, ale zdołała przejść do kontrataku, który powstrzymał na zawsze niemiecką machinę wojenną".**

Przez sześć miesięcy żołnierze — frontowcy, oddziały pospolitego ruszenia i nieustraszeni robotnicy stalingradzcy bronili nadwołżańskiego grodu. Klęska 300 tysięcy doborowych wojsk niemieckich pod Stalingradem, w wyniku której dostała się do niewoli grupa 24 butnych generałów z feldmarszałkiem Paulusem — zapoczątkowała zasadniczy przełom w przebiegu wielkiej ojczyźnianej wojny, zmieniła stosunek sił na korzyść Armii Radzieckiej. Strata ponad pół miliona żołnierzy, 4600 czołgów, 2500 samolotów, 1600 dział i 11000 samochodów w bitwach pod Kurskiem i Orłem (lipiec — sierpień 1943 r.) przyspieszyły klęskę faszystowskiego agresora.

Po zwycięskiej bitwie pod Kurskiem — największej bitwie pancernej drugiej wojny światowej, Niemcy zaczęli się wycofywać pod naciskiem wojsk radzieckich na kilkuset kilometrowym froncie. W kampanii jesiennej 1943 r. Armia Radziecka wyzwoliła lewobrzeżną Ukrainę i Zagłębie Donieckie, sforsowała Dniepr i zapoczątkowała wyzwolenie Białorusi.

Front radziecki stał się główną areną gigantycznych zmagań — tu walczyło od czerwca 1941 do maja 1945 r. 190—270 dywizji wroga. Związek Radziecki dźwigał główny ciężar II wojny.

Na froncie wschodnim Niemcy stracili 75 proc. wszystkich zniszczonych samolotów, 1600 okrętów i statków, przeważającą część dział i czołgów. Cały świat uznał decydującą rolę Związku Radzieckiego w rozgromieniu faszystowskich agresorów. Zadokumentowali ten fakt w swych wypowiedziach i oświadczeniach wybitni działacze państwowi i wyżsi dowódcy. Prezydent USA, Truman, podobnie jak premier Winston Churchill, nieprzejednany antykomunista stwierdził m. in.: **„Sukcesy Armii Radzieckiej wywołały zachwyt całego świata. Sprawiedliwości stało się zadość — żołnierze, którzy wytrzymali największy napór wroga, powstrzymali go w najtrudniejszych warunkach, odnieśli najwspanialszy w dziejach wojen sukces. Naród radziecki przepędził zaborców, wyzwolił terytoria innych państw, doszedł w zwycięskim marszu aż do Berlina"**

Żołnierze radzieccy wszystkich rodzajów sił zbrojnych i specjalności w długiej i ciężkiej walce z wrogiem wykazali ogromne męstwo i bohaterstwo. W toku Wielkiej Wojny Narodowej ponad 200 razy powtórzony został nieśmiertelny czyn bojowy **Wiaczesława Wasilkowskiego i Aleksandra Matrosowa,** którzy własnym ciałem zasłonili ziejące śmiercionośnymi pociskami karabiny maszynowe wroga. 36 razy powtórzono bohaterski czyn lotnika **Mikołaja Gastello,** który z płonącym samolotem rzucił się na faszystowskie czołgi. Za wybitne bojowe czyny zaszczytny tytuł Bohatera Związku Radzieckiego nadano 11.603 żołnierzom.

Dziś, w pięćdziesiątą dziewiątą rocznicę powstania Armii Radzieckiej z dumą podkreślamy, że przyjaźń i polsko-radzieckie braterstwo broni, zadzierzgnięte na polach bitew w walce o zwycięstwo i umocnienie pierwszej władzy robotników i chłopów oraz na zwycięskim i wyzwolicielskim szlaku bojowym od Lenino do Berlina — stanowi dziś mocny fundament naszej siły i bezpieczeństwa. Na straży pokojowej pracy narodów wspólnoty socjalistycznej stoją bowiem armie Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Na straży pokoju światowego stoi żołnierz radziecki — jak trafnie powiedział **W. I. Lenin — człowiek z karabinem,** powołany przez rewolucję do czynu syn ludu pracującego. Na straży pokoju wszystkich miłujących pokój ludzi, stoi niezwyciężona Armia Radziecka, którą Lenin nazwał — armią wyzwolicielską, a poeta Lucjan Szenwald zamknął i powtórzył to stwierdzenie w dwadzieścia pięć lat później w słynnym, pełnym patosu wierszu:

„Wyzwolicielko ludów! O lawino chwały,
W hełmach, które w milion gwiazd świecą, jak wystrzały!
Armio w szarych szynelach, kwitnieniem ran krwawa,
Wierna jak śmierć, a droga, niby ręka prawa!"

WŁADYSŁAW HONKISZ

PŁK. DR NAUK HISTORYCZNYCH WŁADYSŁAW HONKISZ KOMENDANT OŚRODKA SZKOLENIA OFICERÓW POLITYCZNYCH IM. LUDWIKA WARYŃSKIEGO W ŁODZI.

INFORMACJE

„TRZY MAZURKI" NA ZŁOTY MEDAL

W Paryżu został rozstrzygnięty międzynarodowy konkurs kompozytorski. Sukces odniósł starszy wykładowca PWSM w Łodzi — Stanisław Mroński. który za utwór „Trzy mazurki" na gitarę otrzymał Zołty Medal. Warto dodać, że mgr Stanisław Mroński na tym samym konkursie w 1972 r. uzyskał II nagrodę (I wtedy nie przyznano) również za utwór na gitarę klasyczną. Gratulujemy!

„ŁEZTERN" ZDOBYWA SCENY

W łódzkim teatrze „7.15" w roku 1970 odbyła się premiera komedii muzycznej R. Gorzelskiego i F. Erola pt. „Łeztern" (muz. P. Hertel) Grano ją 250 razy. Recenzetka „Teatru" pisała wówczas (nr 6/71): „Jeden z łódzkich recenzentów napisał o tym przedstawieniu, że jest ono najśmieszniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek oglądała w Łodzi". Ze swej strony muszę dodać, że jest ono jednym z najzabawniejszych widowiskiem w skali krajowej, jeżeli w ogóle nie najzabawniejsze.

Od tego czasu „Łeztern" robi karierę również na scenach zagranicznych. Grany był z dużym powodzeniem w jugosłowiańskich teatrach: w Mostarze i Zanicy. Ponad sto razy oglądała go publiczność Torunia, a ostatnio dużym powodzeniem cieszy się „Łeztern" wystawiony na scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej w reż. Waldemara Wilhelma, scen. E. Bożyk, choreografia — B. Fijewska.

ŁÓDZKIE DNI POETYCKIE

Komisja Kultury Zarządu Łódzkiego ZSMP oraz Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt" w Łodzi organizują w dniach 25—26 bm. Łódzkie Dni Poetyckie, które odbędą się w lokalu KMPiK przy ul. Narutowicza 12.

Program imprezy obejmuje turniej dla recytatorów o „Laur recytatorski" oraz Turniej jednego wiersza o „Laur poetycki". Zgłoszenia uczestnictwa można dokonać w Turnieju recytatora pisemnie, osobiście lub telefonicznie do Komisji Kultury ZŁ ZSMP, ul. Piotrkowska 262, tel. 668-39. do dnia 24 lutego br. Natomiast utwór, proponowany do Turnieju jednego wiersza należy nadesłać — w maszynopisie — pod ten sam adres do dnia 20 bm. Wiersz ten nie może być nigdzie publikowany, ani nagradzany w innych konkursach poetyckich. Do utworu należy dołączyć kartkę z nazwiskiem, datą urodzenia oraz miejscem zamieszkania autora, a także informacje czy autor zamierza sam wykonywać nadesłany wiersz. Równocześnie organizatorzy zapewniają prezentację utworów przez aktorów Teatru WIEM przy klubie „Prząśniczka". Dla zwycięzców turniejów organizatorzy przewidzieli nagrody pieniężne.

CENNY ZABYTEK ARCHITEKTONICZNY

Do najcenniejszych zabytków dawnej architektury w Polsce należy modrzewiowy dwór w Ożarowie, woj. sieradzkie, zbudowany w 1575 roku. W roku bież. podejmie się w nim prace konserwatorskie. Po odnowieniu w dworku znajdzie siedzibę filia muzeum wieluńskiego.

GALERIE W ZAKŁADACH PRACY

Pod patronatem BWA w Sieradzu, w ZPB „Zwoltex" w Zduńskiej Woli i Cementowni „Warta" w Działoszynie, otwarto stałe salony plastyczne. W przyfabrycznych galeriach wystawiali już swoje prace plastycy z Łodzi i Sieradza. Podobna galeria ma być wkrótce otwarta w sieradzkiej „Sirze".

LITERATURA

SZUKAM W CZYTELNIKU PARTNERA DO WYMIANY MYŚLI

Z LEONEM GOMOLICKIM rozmawia KONRAD FREJDLICH

Ukazał się pierwszy tom wyboru powieści Pana, zaplanowany na trzy tomy — niejako podsumowanie twórczości, a więc i okazja, aby pomówić o jej tematach i problemach.

Ale może wpierw o tym pierwszym tomie. Otwiera go przedmowa Jerzego Rzymowskiego, który dokonał również wyboru — w każdym tomie po trzy powieści, razem dziewięć z czternastu, które dotąd się ukazały. Jest w tym podsumowaniu, jak pan się wyraził, istotnie coś z jubileuszowego bilansu, zresztą tuż anulowanego przez fatalny błąd w metryczce pierwszego tomu, gdzie mylnie podano „wydanie drugie".

Nazwał Pan to bilansem, zabawmy się więc w małą buchalterię opiniotwórczą. Każdy pisarz posiada swoje „winien — ma" na koncie czytelników. Dokoła książek powstają trwałe opinie, często błędne, pochopne. Tak utarło się, że Pańskim jedynym tematem jest okupacja, a mało kto teraz chętnie powraca do wojennej martyrologii.

Niezgłębione są źródła sądów ludzkich. Gorzej, że nikt ich nie sprawdza. A wystarczyłoby pobieżnie przejrzeć moje powieści, aby przekonać się, że tylko w dwóch akcja toczy się częściowo w latach wojny, i to wcale nie dla samych faktów, nie po to żeby jątrzyć dawne rany. Tylko w połowie moich książek doświadczenia okupacyjne rzutują cień na życie powojenne, ale ma to swoje uzasadnienie w rzeczywistości. Poznaliśmy zbyt dobrze na własnym przykładzie grozę nawrotu barbarzyństwa w dziejach ludzkości, aby nie głowić się nad sposobami zapobieżenia w przyszłości podobnym kataklizmom.

A Pana bohater, nadwrażliwiec pełen obsesji okupacyjnych? Wojna dawno już się skończyła, on zaś wciąż nie może pozbyć się upiorów przebrzmiałej przeszłości.

I znów przesada. Wcale nie w każdej powieści, jedynie tam, gdzie wymaga tego temat — gdzie bohater jest tą przykładową jednostką pod kołami przysłowiowej kwadrygi historii. Ludzie mojej generacji przeżyli nie tylko katastrofę własnego życia, nie tylko stali się świadkami zagrożenia istnieniu całego narodu, lecz doznali szoku moralnego wobec kryzysu humanizmu, zaniku człowieczeństwa. Czy wolno ich zrozumiały niepokój o przyszły model świata nazywać przewrażliwieniem? Ta wewnętrzna rozterka, wciąż się w nas odnawiająca, jest jakby misją mego pokolenia. Dla generacji powojennych epoka pieców to już tylko rozdział z podręcznika historii. Jak im przekazać nasze niepokoje, pokonując nieprzekraczalność progu doświadczeń? Tej konfrontacji pokoleń poświęciłem kilka moich powieści („Czasobranie", „Wydarzenie", „Komiks psychologiczny", „Taniec Eurynome").

Rozumiem. Dlatego udziela Pan tyle miejsca refleksji. Ale czy to nie utrudnia odbioru? Książki Pana zalicza się do kategorii trudnych.

Trudnych? Czy to pojęcie nie jest względne? Dla kogo trudnych? Jasne, że to, co piszę, nie jest lekturą rozrywkową. Ale też proza moja nie wymaga od jej odbiorców specjalnego przygotowania. Wystarczy pewne oczytanie i ogólna znajomość literatury, a to nie jest wcale rzadkością. Nie myślmy tak źle o czytelnictwie w Polsce. Mam na to dowód: szukam i znajduję w moich czytelnikach partnerów do wymiany myśli. Dowodem żywe oddźwięki i to, że niektóre moje powieści (np. „Uprowadzenie Baucis", „Czasobranie", „Kiermasz") ukazały się już w trzech wydaniach. A więc ktoś je kupuje i czyta.

Aby do końca wyjaśnić to zagadnienie, może odpowie Pan na pytanie: czym według Pana jest literatura?

Pewien młodzieniec w drodze do Tesalii spotkał dwóch podróżnych, udających się w tym samym kierunku. Towarzysze wędrówki w marszu rozmówili się, opowiadając sobie o cudach i obyczajach tesalskich. Tak zaczyna się jedna z pierwszych na świecie powieści, „Metamorfozy" Apuleusza. Tak właściwie zaczyna się literatura, bo źródłem jej jest potrzeba zwierzenia się, porozumienia. dzielenia się doświadczeniem, domysłem, wiedzą. Inna sprawa, jak to zostaje przyjęte przez słuchających mnie, ja dzielę się z nimi tym, co w moim przekonaniu jest ważne, czego nie znają, co może być dla nich pożyteczne czy zbawienne. To bardzo proste.

No tak, ale to jeszcze nie jest literatura.

Istotnie, opowiadanie staje się literaturą, gdy zostaje zapisane literami. Taka przynajmniej jest jej forma obecnie panująca. Myślę jednak, że forma ta jest przejściowa, że era papierowa w kulturze dobiega swego końca. Książka to niewygodny, przestarzały sprzęt. Na miejsce prasy Gutenbergowej, szeleszczącej papierem, wdziera się w życie wyzwolony dźwięk: radio, telewizja, magnetofon, fonokaseta. Słowo mówione, właśnie to, co najbliżej źródła — żywego opowiadania. Głos powielany dźwiękowo, nie zaklęty w nieme znaki.

A czy to nie przyniesie jakiejś zasadniczej zmiany również i w samej literaturze (jeśli to tak będzie jeszcze się nazywało)?

Z pewnością przyniesie, ale nie widzę powodów do obaw. Bo nawet już coś w tym kierunku się zmienia. Coraz częściej pisarze stosują formę narracji w pierwszej osobie, sugerując intymność wypowiedzi i wydaje się, że słyszymy ich głos. Taki sposób pisania służy ich sprawie, jest gwarancją sukcesu.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

PIERWSZA RUNDA

Dalszy ciąg ze str. 1

ropy naftowej. Czym miałoby jednak grozić w konsekwencji umieszczenie towarzystwa naftowego na irańskiej „czarnej liście", nie podano tego do publicznej wiadomości. Wydaje się jednak, że nie wywarło to większego skutku, tym bardziej że wiele zagranicznych towarzystw naftowych, spodziewając się wysokiej podwyżki cen na ropę naftową, poczyniło spore jej zapasy. Stąd też w 1976 roku tak wysokie, rekordowe jej wydobycie na całym świecie. Stąd też i spadek wydobycia i sprzedaży ropy naftowej na początku 1977 roku w tych krajach, które podniosły jej ceny o 10 procent.

19 stycznia 1977 roku telewizja francuska nadała wywiad z szachem Iranu — **Mohammadem Rezą Pahlavi,** w którym szach oświadczył, że poglądy ministra Arabii Saudyjskiej — Ahmeda Zaki Jamani na temat podwyżki ropy naftowej są sprzeczne z poglądami na ten temat króla Arabii Saudyjskiej — Chalida ibn Abdul Aziza, ale też dodał, że jeśli spadek sprzedaży ropy naftowej w Iranie związany będzie ze zwiększeniem jej produkcji w Arabii Saudyjskiej, to Iran taki stan rzeczy traktować będzie **jako akt agresji ze strony Arabii Saudyjskiej.**

Początek 1977 roku przyniósł niektórym krajom **OPEC** poważne zagrożenie ich sytuacji finansowej. Budżety większości tych krajów opierają się na wpływach ze sprzedaży ropy naftowej po wysokich cenach. Im wyższe ceny, tym wyższe budżety. Ale oto z początkiem 1977 roku zasada ta — wydawałoby się — taka prosta, zaczęła nagle szwankować. Okazało się, że może też być i tak, iż im wyższe ceny, tym niższa sprzedaż. Ale wiadomo, że krajom wysoko uprzemysłowionym w Europie i Ameryce, a także w Azji — Japonia — potrzebna jest ropa naftowa.

Opublikowany niedawno raport **Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju** stwierdza, że do 1985 roku import ropy naftowej zwiększy się o 50 procent. W związku z tym zaleca się zniesienie kontroli cen na ropę i gaz ziemny, a także przyśpieszenie eksploatacji złóż już odkrytych i poszukiwania nowych. Wiadomo, że pośpiesznie się penetruje dno morskie, w poszukiwaniu gazu ziemnego i ropy naftowej i znajduje się nowe ich złoża. Między innymi w pobliżu **Norwegii** i **Wielkiej Brytanii. Wielka Brytania** po raz piąty od 1964 roku wydała licencje na poszukiwania geologiczne na obszarach Morza Irlandzkiego, Zatoki Cardigan, wód na zachód od Szkocji, a po raz pierwszy na wodach Kanału La Manche.

Światu potrzebna jest nafta, a więc skoro świat nie chce płacić za naftę gotówką, a musi sprzedawać swoje towary, to niech bierze za nie ropę naftową. I tak — na przykład **Iran** zaproponował szeroki handel wymienny, między innymi zamierzając płacić również ropą naftową za dostawy broni. Ale tu kolejna niespodzianka, gdyż amatorów na handel wymienny nie ma znów tak wielu.

W tej skomplikowanej sytuacji minister do spraw naftowych Kataru — szejk **Abdel Aziz Ben Chalifa al-Thani** postanowił podjąć się misji mediacyjnej i doprowadzić do ponownego pojednania w szeregach OPEC.

FIASKO MISJI KATARU

Przybywszy do Teheranu szejk **Abdel Aziz Ben Chalifa al-Thani** powiedział przedstawicielowi **„Teheran Journal"**, że podział w szeregach **OPEC** zostanie szybko przezwyciężony i więcej nigdy już się nie powtórzy. Optymizm ministra Kataru podobał się czytelnikom teherańskiego pisma, jako że był im bardzo potrzebny. Na czym szejk z Kataru opierał swój optymizm?

Ledwie minął styczeń 1977 roku, a już stało się oczywiste, że dwustopniowy system cen na ropę naftową nie zdaje egzaminu. Zaczęto więc w Teheranie, Bagdadzie i Caracas a także w stolicach innych państw będących członkami **OPEC**, rozważać możliwość znalezienia kompromisu, który pozwoliłby wprowadzić jednolity system cen. Rozważano możliwość zaproponowania **Arabii Saudyjskiej** i **Zjednoczonym Emiratom Arabskim** podniesienie ceny o 5 procent, podczas gdy reszta krajów **OPEC** zrezygnowałaby w lipcu 1977 roku z podniesienia ceny o dalsze 5 procent, tak, że **na rok 1977 wszystkie kraje OPEC podniosłyby ceny tylko o 10 procent. Tylko, że do przeprowadzenia takiego planu potrzeba było zgody Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.**

Minister **Abdel Aziz Ben Chalifa al-Thani** rozpoczął więc podróż po krajach **OPEC**, konsultując możliwości przeprowadzenia kompromisowej operacji, aby tym samym zażegnać rozbicie, jakie wkradło się w szeregi tak — zdawałoby się — monolitycznej organizacji, jaką do niedawna była **OPEC**. A była dlatego, że mimo istotnych różnic występujących pomiędzy poszczególnymi jej członkami, do pewnego momentu panowała zbieżność

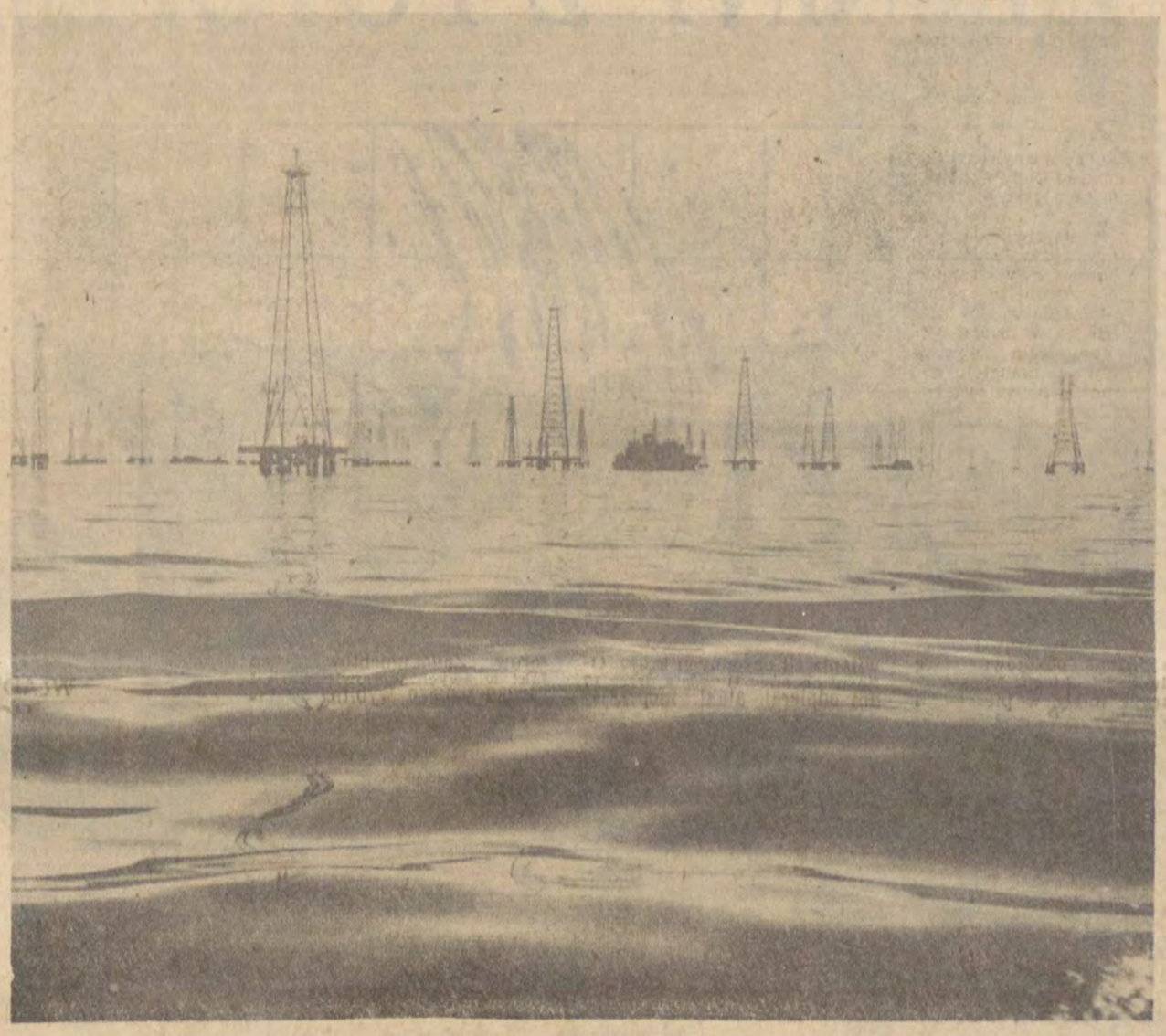

Foto: Archiwum

interesów, wyrażających się dążeniem do zwiększenia wpływów ze sprzedaży ropy naftowej. Ta zbieżność interesów już się skończyła i przerodziła się w przeciwieństwo. Dlatego też szejk z Kataru — minister **Abdel Aziz Ben Chalifa al-Thani** poniósł fiasko. Jego misja mediacyjna nie powiodła się, rozbiła się o niewzruszoną — jak do tej pory — postawę innego szejka — ministra **Ahmeda Zaki Jamani** z Arabii Saudyjskiej. **Arabia Saudyjska** i **Zjednoczone Emiraty Arabskie** nie wyraziły zgody na kompromis, to znaczy nie wyraziły zgody na podniesienie ceny ropy naftowej o dalsze 5 procent, aby zrównać ją z ceną, jaką od 1 stycznia 1977 roku ustanowiły inne kraje **OPEC**.

Szejk **Ahmed Zaki Jamani**, odrzucając kompromis, przyznał jednak, że wprowadzanie jednolitego systemu cen dla całej OPEC **„pozostaje tylko kwestią czasu"**. Tym niemniej — jak to ocenili komentatorzy na całym świecie — **Arabia Saudyjska wygrała pierwszą rundę walki o jednolity system cen, utrzymując system dwustopniowy.** Teraz w stolicach państw należących do **OPEC** rozważa się inną możliwość: przyjęcie na rok 1977 takiej ceny, która byłaby pośrednią między ceną podniesioną o 5 procent a ceną podniesioną o 10 procent. Innymi słowy chodzi o przyjęcie przez wszystkie kraje **OPEC** na rok 1977 podwyżki ceny ropy naftowej o jakieś 7 czy 8 procent. Wyjście z taką propozycją byłoby **drugą rundą walki o ceny ropy naftowej.** Do kogo będzie należało zwycięstwo w drugiej rundzie? — zobaczymy, pokaże to najbliższa przyszłość. Komentatorzy patrzą w tę przyszłość bez większego optymizmu.

NAD ZATOKĄ PERSKĄ

Złożoną sytuację **OPEC**, jaka wytworzyła się z początkiem 1977 roku, warunkuje sytuacja, jaka powstała w rejonie Zatoki Perskiej. Cytowany tu już amerykański tygodnik **„Time"** w końcu grudnia 1976 roku opublikował niezwykle interesującą tabelkę, ilustrującą poziom dziennego wydobycia ropy naftowej w krajach należących do **OPEC**, jak też potwierdzone ich rezerwy. Na pierwszym miejscu w tej tabelce znajduje się **Arabia Saudyjska** z ówczesnym dziennym wydobyciem 8,5 mln baryłek oraz z 151,8 mld baryłek rezerw ropy naftowej. Drugą lokatę wśród państw **OPEC** zajmuje **Iran** z dziennym wydobyciem w wysokości 5,7 mln baryłek oraz z rezerwami 64,5 mld baryłek, aczkolwiek pod względem rezerw Iran przewyższa **Kuwejt**, który posiada je w wysokości 71,2 mld. baryłek. Spore rezerwy posiada jeszcze **Irak, Zjednoczone Emiraty Arabskie** i **Libia**, ale są to wielkości nie przekraczające 35 mld baryłek.

Znaczna większość państw należących do **OPEC** ma świadomość, że zapasy ropy naftowej — wyglądające może i pokaźnie w miliardach baryłek — są w istocie niewielkie i szybko się wyczerpią przy ciągle rosnącym zapotrzebowaniu w krajach wysoko uprzemysłowionych. Również i kraje socjalistyczne, zaopatrywane w większości w ropę naftową przez **ZSRR**, zwracają się z ofertą importu nafty z krajów arabskich. Ropę naftową w tych krajach chcą kupować **CSRS, Węgry** i **Rumunia**, podpisując w tym celu odpowiednie porozumienia. Ten rosnący eksport nafty z krajów **OPEC**, stwarza z jednej strony szansę na zgromadzenie wielkich funduszy, ale z drugiej zawiera w sobie poważne niebezpieczeństwo szybkiego osuszenia pokładów. Tak więc któregoś pięknego dnia — za 20 lub 30 lat — eksporterzy ropy naftowej mogą stanąć wobec groźby gwałtownego krachu gospodarczego. Trzeba więc przed takim niebezpieczeństwem się ustrzec, a można dokonać tego jedynie drogą szybkiej, wręcz gwałtownej industrializacji, przekształcenia wielu krajów z na poły rolniczych w silne organizmy przemysłowe. Taką drogę wybrał między innymi **Iran.** Podobnie chcą postępować i postępują **Algeria, Libia, Irak.** One też dążą do tego, aby ceny za sprzedawaną ropę naftową były możliwie wysokie, gdyż tylko w ten sposób mogą zrealizować plan gwałtownych przeobrażeń gospodarczych i społecznych.

Kraje te dopiero niedawno wstąpiły na drogę szybkiej industrializacji i szukają też sposobów pokonania wielu przeszkód. Z jednej strony więc kupuje się udziały w wielkich europejskich koncernach, jak na przykład **Iran** czy **Libia**, aby zagwarantować sobie możliwość korzystania z nowoczesnej techniki. Z drugiej strony — również jak **Iran** czy **Irak** — kupuje się nowoczesną broń, która — jak wiadomo — stoi na bardzo wysokim poziomie technicznym i wymaga specjalistycznych umiejętności przy jej obsłudze. Kupno broni pociąga więc za sobą konieczność kształcenia kadr technicznych, co jest korzystne dla kraju importującego broń, jako że służba wojskowa może być wykorzystywana jako forma podnoszenia poziomu technicznego społeczeństwa. Ale nie wolno zapominać przy tym, że zbrojenie się jednego państwa wywołuje niepokój u sąsiadów, którzy, aby czuć się bezpiecznie też rozpoczynają zbrojenia. A to znów grozi możliwością konfliktu zbrojnego, co nie jest korzystne dla świata szukającego różnych dróg odprężenia i utrzymania pokoju. Broń kupuje więc **Iran, Irak, Pakistan, Arabia Saudyjska**, która kupuje ją zarówno dla siebie, jak i dla **Egiptu**, traktując to jako pomoc dla tego kraju.

Kraje położone nad Zatoką Perską dzielą nie tylko granice wytyczone na pustyni lub w górach, dzielą je również różnice społeczne i polityczne cele. Podczas, gdy **Iran, Irak** czy **Kuwejt** chcą wykorzystać zdobyte za naftę pieniądze dla wewnętrznych przeobrażeń, dla stworzenia bazy gospodarczej na przyszłość, **Arabia Saudyjska** — bardziej od nich zacofana społecznie — postawiła sobie inny cel. **Arabia Saudyjska** ulokowała spore fundusze w zachodnich spółkach przemysłowych i bankach i boi się, aby kryzys gospodarczy, spowodowany szybkim wzrostem cen ropy naftowej, nie odbił się rykoszetem, na jej interesach finansowych.

„Jesteśmy w najwyższym stopniu zaniepokojeni — powiedział w wywiadzie dla „Der Spiegel" szejk Ahmed Zaki Jamani, saudyjski minister do spraw nafty — **możliwością nowej recesji, sytuacją w Wielkiej Brytanii, Włoszech a nawet we Francji i kilku innych krajach. Nie chcemy, by we Francji czy we Włoszech zapanował inny ustrój."**

Ale od obawy o Europę silniejsza jest obawa o rejon Zatoki Perskiej, gdzie również sytuacja polityczna nie jest po myśli polityków z **Arabii Saudyjskiej.** Zacofana w stosunku do sąsiadów i bardziej ortodoksyjna religijnie **Arabia Saudyjska** patrzy z niepokojem na społeczne przeobrażenia, jakie dokonują się w **Iranie** czy **Iraku**, choć mają one przecież różny charakter i ciężar gatunkowy. Politycy z **Arabii Saudyjskiej** dawali wyraźnie do zrozumienia politykom państw zachodnich, że gdyby to tylko od nich zależało, zamroziliby ceny ropy naftowej na poziomie z 1976 roku. Wypowiadając się przed kamerami telewizji francuskiej szejk **Ahmed Zaki Jamani** powiedział: — **„dziś mówimy Zachodowi, że kraje arabskie, a zwłaszcza Arabia Saudyjska, są przyjaciółmi, którzy mogą wam pomóc".** Mógł tak powiedzieć, bowiem decyzja podjęta **15 grudnia 1976 roku** w mieście Doha w Katarze wytrąciła państwom **OPEC** groźną broń polityczną, jaką była i jest nafta. **„Zachód powinien przyjmować z uznaniem to, co czynimy"** — powiedział przedstawicielowi **„Der Spiegla"** szejk **Ahmed Zaki Jamani.** A wdzięczność ta powinna wyrazić się w rozwiązaniu przez Zachód konfliktu izraelsko-arabskiego.

„Manewry Arabii Saudyjskiej — skomentował to natomiast iracki minister Tajeh Abdal-Karim — **są niczym innym jak próbą zneutralizowania broni, jaką jest arabska ropa oraz sprzyjają planom imperialistycznym i syjonistycznym, które zmierzają do rozbicia OPEC."**

Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się losy targów o jednolitą cenę ropy naftowej, **Arabia Saudyjska** wysunęła się w rejonie Zatoki Perskiej, a także wśród krajów arabskich na pierwsze miejsce, mając decydujący głos w sprawie nafty, która po 1973 roku stała się groźną bronią polityczną. W czasie niedawnej wizyty prezydenta Francji **Valerego Giscarda d'Estaing** w Rijadzie politycy **Arabii Saudyjskiej** poparli propozycję, aby **Francja** uczestniczyła w genewskiej konferencji na temat konfliktu bliskowschodniego. We wspólnym komunikacie **Francja** wyraziła uznanie dla umiarkowania **Arabii Saudyjskiej** w sprawie cen ropy naftowej, oceniając to jako **„odbicie trafnej oceny międzynarodowej sytuacji gospodarczej"**, natomiast **prezydent Valery Giscard d'Estaing** wyraził się bardzo ostrożnie na temat udziału Francji w genewskiej konferencji, podkreślając, że Francja nigdy nie wysuwała swej kandydatury, ale gdyby jej obecność była pożądana — szczególnie w sprawie gwarancji — to nie odmówi swego udziału. Politycy zachodni na ogół z uznaniem wyrażają się o umiarkowaniu saudyjczyków. Jednakże ropę naftową muszą kupować również w tych państwach, które ustanowiły 10-procentową podwyżkę cen. Sama **Arabia Saudyjska** nie pokryje światowego zapotrzebowania na naftę. Sprawa jednolitych cen musi więc znów stać się aktualna. A więc kraje **OPEC** znajdują się przed drugą rundą rozgrywek. Czy dojdzie do kompromisu?

Do połowy 1976 roku wydawało się, że **OPEC** jest silną organizacją, która zdolna jest wytrzymać wszelkie przeciwności. Jeszcze przed spotkaniem w katarskim mieście Doha zaczęły dochodzić pogłoski o różnych poglądach członków **OPEC** na sprawę podwyżki cen ropy naftowej. Wydawało się jednak, że różnice zdań i stanowisk zostaną usunięte i nic nie naruszy jedności **OPEC**. Okazało się wszakże, że sprzeczności, jakie powstały w łonie tej organizacji, a które są odbiciem różnych tendencji występujących w państwach należących do **OPEC**, są silniejsze. Czy te sprzeczności pozwolą na kompromis?

Odpowiedź przyniesie **drugie starcie**, do jakiego musi nieuchronnie dojść, a które nawet dla **Ahmeda Zaki Jamani** jest oczywiste. Ale ciągle nie wiadomo, jaką niespodziakę szykuje ten zręczny polityk.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

IMIENINY Z POTOPEM

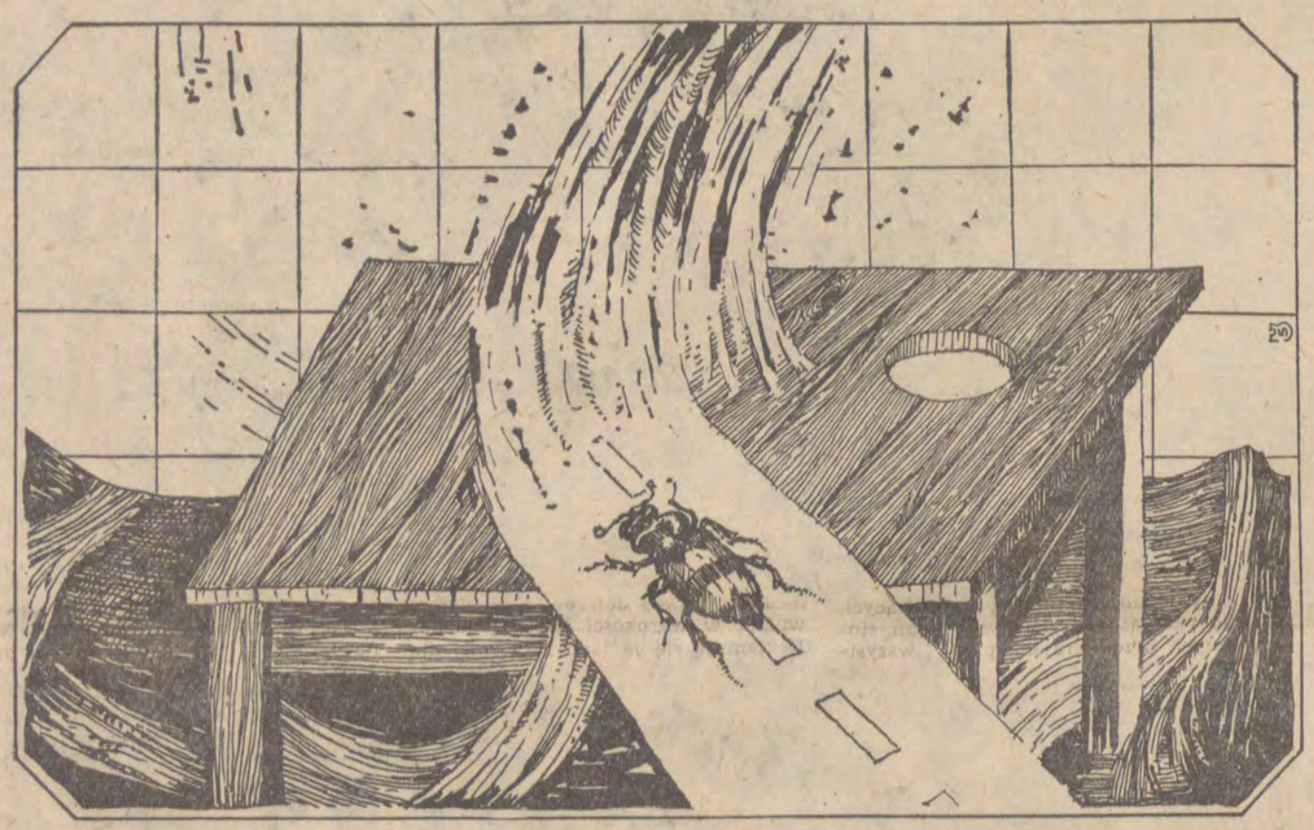

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Teściowa siedzi na miejscu prezydialnym, blisko miednicy i kubła. Jak zwykle, nic nie mówi. Do wyrażania afirmacji świata, łącznie z moją „uczoną" osobą i wieloma jeszcze innymi rzeczami, wystarcza jej uśmiech.

Wanda — szwagierka — z powodu wojny jeszcze w pierwszej licealnej — siedzi walcząc z przybierającym obezwładnieniem. Wódka na nią zawsze działa właśnie usypiająco. Na tyle jeszcze jednak nie jest senna, by nie poprawiać co chwila tombakowego wisiorka na swej „bordowej" bluzce. Kompensuje on, jak się zdaje, jej marzenia o wyższych sferach. Manipuluje wisiorkiem tak, żebyśmy — ja i moi światowi goście — mogli go podziwiać w pełnym blasku.

Dalej siedzą od lewej:

Pani Kornblumenblałowa — prywaciarka (wyrób tkanin obiciowych i narzut, po tutejszemu „kap"). Redaktorowi Frankowi potakuje skwapliwie z uśmiechem wyższego wtajemniczenia. Jej sposób bycia cechuje protekcjonalna łaskawość, podobna do tej, jaka musiała cechować Kazimierza Wielkiego, gdy zjawiał się na chłopskich weselach. Przyszła złożyć mi życzenia po sąsiedzku, więc nie wypadało nie zaprosić jej na wieczór.

Obok Kornblumenblałowej siedzi Wicek, pijaczyna boży, mało pracowity poeta, w wojnę partyzant.

Z kolei ciotka Adela. Masywna jak Zamek Świętego Anioła, czujnie odgradza sobą od Wicka dwie dorosłe córki: Martę (z budowy wykapana matka) i Bachurajdę. Jej odstraszanie wzrokiem i zniechęcanie Wicka marsem na czole o tyle może jest zbyteczne, że kandydata na uwodziciela bez reszty absorbuje czynność ukradkiem dolewania wódki do kieliszka, ponieważ tempo toastowe nie należy do energicznych.

Przed ewentualnymi awansami redaktora Franka obie córki od drugiej strony flankuje wujek Stasiu, mąż Adeli, instalator. W ich mieszkaniu nie widuję go nigdy w innej pozie, jak tylko skulonego w kuchni na zydelku przed otwartymi drzwiczkami od pieca. Służy mu za popielniczkę-gigant i jednocześnie wentylator. Jedyne jego słowa do mnie — i w ogóle do osób trzecich — w ciągu każdej wizyty to — cytuję: „może Augustynek zapali junaka? Doktorowie mówią, że podobnież są na płuca najlepsze".

Wreszcie gość, na którym mi zależy wyjątkowo, jako początkującemu krytykowi i przekładowcy antycznych poetów — sam redaktor Piotr Frank, czołowy publicysta „Inżyniera Dusz", współinicjator socjologicznej metody krytycznej, znawca Błoka i „Doktora Faustusa". Ubrany jest z wytworną, angielsko-sportową elegancją. Maniery też ma wytworne. Błyszczy nie tylko na łamach „Inżyniera" i na „żurkach" u Nałkowskiej, bo jako walczący demokrata ludowy nie lekceważy ludzi szarych, a więc i teraz jest rozmowny i wymowny. Właśnie zabawia stół referowaniem dyskusji w czasopismach europejskich różnych orientacji nad „Faustusem". Nie omieszkał pokrzepić obecnych stwierdzeniem, że i „nasza proletariacka strona barykady" ma do zanotowania znamienne sukcesy w tej dyskusji. Przedrukowana niedawno we fragmentach przez „Inżyniera Dusz", „niewątpliwie znacie ją państwo, wypowiedź Györgi Lucácsa, po Kautskym bezwzględnie najciekawszej i — brawo! — zupełnie samodzielnej intelektualnie indywidualności wśród teoretyków nowoczesnej myśli marksistowskiej" — informuje głównie wuja Stasia, gdyż do niego jako bezpośredniego sąsiada najczęściej zwraca się en face podkreślając wagę czy sensacyjność enuncjacji gestem i porozumiewawczym błyskiem oczu — „zwróciła aprobującą uwagę nawet takich autorytetów światowych jak Aldous Huxley czy Bertrand Russel..."

Goście rodzinni na razie słuchają go w absolutnej ciszy, z przylepionymi do twarzy nieruchomymi, reprezentacyjnie uprzejmymi uśmiechami, lecz co to będzie — rychło w czas zaczynam się martwić, gdyż sam piwa nawarzyłem — jeśli niewiasty oswoją się z obecnością niecodziennego przybysza i przerwawszy pełne szacunku milczenie wystąpią ze swoją ulubioną tematyką: dolegliwości nieobecnych przy stole członków rodziny.

Na redaktorze Franku kończy się góra i lewa strona rozsuniętego stołu. Po stronie prawej, od kubła poczynając, siedzi teść (mówię naturalnie „tata"), podmajstrzy w ślusarni tramwajowej. Teścia i Heniutkę najbardziej lubię i wcale nie tylko dlatego, że są ojcem i wujkiem Linki, ale za ich inteligencję, szerokie zainteresowania, naturalność i takt. Siedzi właśnie dopiero co wspomniany Heniutka, motorniczy, obok ciotki Rosjanki, Eupraksji. Wzięli ślub ledwie kilka miesięcy wcześniej niż ja z Paulinką. Heniutka przywiózł ciotkę z Reichu, z przymusowych robót u bauera, gdzie ich połączyła wspólna niedola. Niemcy wygarnęli Eupraksję w Pskowie podczas łapanki. Przed okupacją była traktorzystką kołchozową. Stanowisko to widać uważała za nader wysokie i zaszczytne, gdyż wspomina o nim nie mniej często i to z podobną intonacją, co Frank o swej zażyłości z Jastrunem.

Przy końcu na rogu (siedem lat bez wzajemności nam już nie grozi) siedzimy z Paulinką półgębkiem na jednym krzesełku. Często jednak rozsiadam się wygodniej, gdyż Paulinka — „moja pszenicznowłosa Linka" zwija się jak w ukropie, wstaje, kraje chleb, krąży, częstuje, namawia, dolewa... Jesteśmy dopiero pierwszy raz w roli państwa domu podejmujących gości.

„Tata" skorzystał z krótkiej przerwy w monologu Franka i wygłasza toast. Nieściśle się wyraziłem: nie ma tu zwyczaju wygłaszania toastów (kiedy wygłosiłem toast zupełnie na poziomie, z błyskotliwą, dowcipną pointą toast na urodzinach ciotki Adeli, patrzyli na mnie, jakbym się urwał z choinki, a Paulinka trąciła nieznacznie w bok, bym przestał), tylko podaje się intencję, za którą należy w danej chwili wypić. I są to na przemian powinności solenizanta i najgodniejszego w rodzinie. Zatem tata ogłasza wszystkim, komu wiedzieć należy:

— No to cyk! Wie Augustynek za co? — robi, jak mówią na Bałutach, kikra i pokazuje znacząco (i triumfalnie) na pokój, meble (zafundowane przez niego jako wywianowanie córki) i, kiedy spostrzegł, że nikt w tym momencie na Linkę nie patrzy, na nic a nic jeszcze nie zaokrąglony brzuch Linki.

Jestem mu wdzięczny, że nie wyjaśnił za co „cyk", bo mogłoby to wywołać wilka z lasu — kompromitującą mnie w oczach Franka, płaską zgadywankę, czy będzie chłopiec czy dziewczynka.

Franek chyba nie dosłyszał toastu, albo nie zorientował się, że to toast, bo po chwili spokojnie mówił dalej... Musiałem chyba w jakimś momencie zgubić wątek jego rozważań, bo teraz już oceniał głośny artykuł Kotta:

— ... po, jakby nie było, odkryciu, bo wszakże, mimo tylu gaff, ile lat ma Leopold Staff, dobra tamta fraszka, która powstała we „Fraszce", co? — (zaśmiał się). Więc mimo jego gaff, powstałych niewątpliwie z przyczyn tylko temperamentalnych, można i należy Jana nazwać odkrywcą wysp nieznanych. Nieznanych, naturalnie, tylko na naszym klerykalnym, zacofanym partykularzu. To kka-pitalne stwierdzenie, że Robinson Cruzoe założył na bezludnej wyspie zręby kapitalizmu — rzecz jasna mimowiednie, bo zdeterminowany przez obiektywizm praw dialektyki Mietek... chciałem powiedzieć — Mieczysław Jastrun uważa, że niezwykły ten proces....

— Proces Gorgonowej też był niezwykły — zauważyła ciotka Adela, która nie lubi pozostawać zbyt długo w roli biernego słuchacza, zwłaszcza słuchacza-mężczyzny, a już najbardziej takich, co to odstawiają wielkich „rabinów". — Pamiętasz, Jana, jakeśmy twoją Linkę i moją Martę dzień w dzień posyłały na Zgierówę po ekspresiaka?

— To cyk, jak starsi każą — przerwał przytomnie Heniutka.

— Tak podniosłe zdrowie proponuję po staropolsku: na stojąco i do dna — zawołał Wicek, pijaczyna boży, ale nikt za jego przykładem nie wstał, siadł więc z powrotem i dodał zgodliwie, po teściowemu: — No to cyk.

— W bombonierkę! W istną bombonierkę przekształciliście państwo nasz skła... pokój — zachwyciła się, ale w tej samej chwili wydęła z pewnym niesmakiem wargi odkrywszy na łóżkach dwa łowickie (a więc chłopskie) kilimy (jedyna rzecz, jaką mamy na razie na poziomie).

— ... Zatem Jastrun z Ważykiem idą do Aleksandra Wazy, redaktora „Skiby", naturalnie za wiedzą Żółkiewskiego, i mówią: „zamiast kompromitować abramowszczyznę, agraryzm i pigońszczyznę, to wy, majorze..."

— ... wtedy ta dochtorowa powiedziała: nic innego, ino kamienie w pęcherzu i ciota musi się zgodzić na operację — Adela.

— Na operację?! — wołają dramatycznie Marta i Bachurajda razem (gdy mówi się o chorobach, udział dziewcząt na wydaniu w rozmowach ludzi żonatych jest dopuszczalny).

— To to łyktus partyzantus! W ręce waćpana perswaduję. A i państwa szanownych! — Wicek, nie wytrzymuje nerwowo naszego nieolimpijskiego tempa.

— Biedna ciocia Turkowa! Ciociu, a może czekolady unrrowskiej? Panie Wicku, może śledzika? To z ruskiej cony — Linka przez chwilę nie wychodzi z roli przytomnej, uważnej pani domu.

Coraz rozpaczliwiej szukam... dyplomaci nazywają to bodaj szukaniem formuły do przyjęcia dla wszystkich. Szukam formuły—tematu, który sprawi, że i rodzina Linki będzie z nas zadowolona i redaktor Piotr Frank ukontentowany — i w wyniku tego utoruje w „Inżynierze" drogę moim przekładom Catullusa.

— Tato! — znalazłem temat. — Niech tata koniecznie opowie gościom o wojnie z Turkami, przygodach na Araracie.

Dobrze rozumiejący mnie teść wkracza do akcji:

— No to zdrowie pana obywatela redaktora! My, robotnicy, bardzo uważamy poezje, takie prosto z serca, jakie w czasie gdy kapitał rządził, układała obywatelka Konopnicka, a po niej Broniewski. A i prasę szanujemy, kiedy prawdę mówi, jak nasza dzisiejsza. Bo dawna prasa, sanacyjna, to nic, ino cięgiem chwaliła ich rządy: jakie to ona, sanacja, straszne rozumy pojadła i że nigdy nie popełnia żadnych błędów, jeno ma same sukcesy. A co do góry, o której zięć zagaił — to to jest góra Ararat i niektórzy, nawet i uczeni, powiadają, że tam bardzo wysoko, i przez to z dołu źle widać, leży szmelc arki Noego...

Frankowi — zauważyłem to — nie było w smak, że teść nie odróżnia członka redakcji tygodnika o najwyższym w Polsce, poza reakcyjnym tygodnikiem krakowskim, poziomie intelekturalnym, od prymitywów, którzy piszą w codzienniakach, jednak nie dał tego po sobie poznać i zapowiedź wspomnień podmajstrzego o przebiegu pierwszej wojny i rewolucji na pograniczu rosyjsko-turecko-perskim przyjął z życzliwością.

— W niezwykle interesujących miejscach miał pan... towarzysz szczęście przebywać. Mój przyjaciel, świetny biblista, z pozycji laickich, jasną rzeczą, Artur Sandauer twierdził niedawno w rozmowie z Jastrunem...

— Jest nie jeden Ararat, tylko dwa: Wielki i Mały. Turcy mówią na nie Aghri Dagh. To po turecku, mą się rozumieć. A pod Wielkim, tam nasze pulemioty jak raz dosięgały, jest ich wieś Aguri, a ona jest tam podobno na tym miejscu, gdzie potopowy Noe podobnież miał zasadzić winо i pierwszy się tam upił.

— Zdrowie obywatela nieboszczyka Noego! — wyrwał się i do tego głosem jak miedź brzęczącą, Wicek, pijanica boży, wujek Stasiu zaś po raz pierwszy i ostatni dzisiejszego dnia odezwał się:

— Może pan redaktor zapali junaka? Doktorowie mówią, że podobnież na płuca są najlepsze.

Teść opowiadał całkiem interesująco o walkach pozycyjnych z Turkami u stóp legendarnej góry, o jakiejś tyralierze przez skalne załomy, o powstaniu i działaniu rady żołnierskiej, w której teść był chyba kimś znacznym, a także o prowadzonych tam jeszcze przed tamtą wojną jakichś poszukiwaniach archeologicznych.

Teściowa nadal nie mówi nic. Wicek przesiadł się do Piotra Franka, kordialnie obejmuje poręcz jego krzesła, jak to czynią poczciwi pijaczkowie w literaturze i w życiu. Ten jednak siedzi sztywno wyprostowany i dystansu nie skraca. Teść przestał już go, zdaje się, zabawiać opowiadaniem o walkach ulicznych w Erewaniu i rewolucji. Stanowczo jest za cicho przy stole. Powinienem podjąć natychmiastową ofensywę, bo inaczej będzie krewa, jak mawiał kiedyś mój ojciec. Powinienem — ale siedzę jak sowa i bezmyślnie patrzę na Wandę. Przesiadła się na łóżko Linki. Coraz niżej ma głowę, coraz wyżej poduszkę.

Nad Wandą, na jedynym miedziorycie, jaki mi ocalał ze zbombardowanego domu, osioł i lew, dwaj wyręczyciele świętego Hieronima pustelnika w gospodarskich zajęciach zezują na nas przy stole, z dobrotliwą ironią. Święty doktor kościoła wodzi z zapałem gęsim piórem po prawnej księdze Wulgaty, marszczy czoło od twórczego wysiłku, nie patrzy na nas... Dobrze, że nie patrzy: wzrok jego padłby wtedy, sądząc po konfiguracji postaci, na okno. Ujrzałby, co ja teraz. W otwartym ustępie, kilka metrów od nas siedzi gość ze spuszczonymi spodniami. Podparł się na łokciu — nieodzowny atrybut najwyższego zafrasowania grzesznością tego świata. Nie wydaje mi się, żeby był — jak ja w podobnych sytuacjach — zderanżerowany faktem, że jest tak plastycznie urbi et orbi eksponowany: widać wychodzi z założenia, że jest to poza dostatecznie powszechnie praktykowana.

Frank z niesmakiem przyjmuje uniesienia Wicka nad wierszami i cygańską malowniczością trybu życia Gałczyńskiego. Orzeka: „drobnomieszczański aintelektualny bałagan semantyczny". a także „kapitulancka ucieczka przed walką klas i zamówieniem klas rewolucyjnych".

Wicek replikując wychyla się:

— Dla nas z AK jego „Matka Boska stalagów" była w tamtych miesiącach...

Przełamuję moją karygodną apatię, usiłuję jeszcze walczyć: skłonić z kolei Heniutkę, by opowiedział coś ciekawego właśnie z „tamtych miesięcy" i z robót w Reichu. Linka wcale mi nie pomaga w upartych próbach poprowadzenia nie rwącej się rozmowy. Wydaje się, jest nawet zła, że jestem nudny, męczę gości i nie pozwalam im czuć się dobrze. Heniutka, uparcie obligowany, bąka wreszcie bezbarwnym głosem bez zwykłego u niego wdzięku gawędziarskiego, że poznali się z Eupraksją przy kopaniu kartofli u bauera i że, biedaczka, prawie wszystko rozumie, tylko mówić jeszcze — po naszemu nie mówi.

— Da, wierno — przyznaje Eupraksja.

— Mamo, może jabłecznika? Ciocia pozwoli śledzika w oliwie! Prawdziwy z sowieckiej cony! — zachwala Linka. — Bachurajda, Marta, nałóżcie sobie sardynek. Nie jeść mi, psiakostka, jak wróbelki.

Marta i Bachurajda naprawdę odstawiają przy stole wróbelki, chociaż w dzień zwykły wcale nie są głodomorami.

— Kto z państwa indyjską herbatę, a kto kawę? — Linka mówi z dumą w głosie.

Ale chociaż kawa to jeszcze arcyrzadkie delicje, poprosili o nią tylko „moi" goście. I po chwili namysłu jeszcze Kornblumenblałowa.

— Ale tylko aby słabej herbatki, moja Paulinciu! O nie, ta za mocna! Lubię tylko dobrą herbatkę. Żeby była... tylko co żółta!

— Jedna dochtorowa mówiła, że mocna to podobnież jest na serce niezdrowa. A dziewuchom wcale nie dawaj. Jest jeszcze piwo na komódce, niech się napiją.

Ze wszystkiego, co mnie u nich i dzisiaj, i od pół roku drażni, bodaj na pierwszym miejscu postawiłbym herbaty koloru słomki i w ogóle brak potrzeby pokonywania ociężałości myśli przy pomocy kofeiny czy teiny.

— Ciotka Dyszy, pamiętacie? Przed wojną nic tylko cięgiem herbatkę piła — Wasiakowa przypomniała jakąś tam jeszcze ciotkę — i bez to jej się kałdun wypuczył. Nogi cieniutkie, tyłek jak u dziecka i taaaki kałdun!

— Pan chyba nie czuje poezji, bo „Pieśń o żołnierzach z Westarplatte" to... to... — naskakuję na Franka i słów mi brak. Z irytacji stanęły mi przed oczyma tajne koncerty studentów „podziemniaka", przed czy po akcji, i prawie zawsze na nich „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte" niezmiennie wywołująca łzy. A tu ten strojący się w marksistowskie piórka zadufek, Europejczyk z Kołomyi — nasze leśno-studenckie urzeczenie nazwał „zatęchłą parafiańszczyzną"! Choć zaślepiony miłością własną, jest na tyle inteligentny, że wyczuł bez trudu kpinę. Nie mam wątpliwości, że pogrzebałem w tej chwili jakiekolwiek szanse na jego patronowanie moim przekładom z antyku i uczciłem ten pogrzeb minutą milczenia.

Skądś z bardzo bliska, zarazem z niepokojącej dali, dobiegł mnie znów głos Linki:

— Mamo! Ciociu Adelo! Ciociu Wasiakowa! Dołóżcie sobie szarlotki. Kupna, ale dobra.

Linka zagarnęła niedopałki w kubeł, wybiegła z tym na podwórze.

A jednak teściowa zabrała głos, korzystając też, jak się zdaje, że nasza dysputująca z coraz bardziej wzrastającą wzajemną urazą „uczona" trójka odsunęła się o metr od stołu.

— Częstuje, ale co tu jeść? Jabłecznik, psiakostka, sklepowy, rybki też kupne, z oliwą przeżartą, psiakostka, blachą! Młode po szkołach niczego nie umią zrobić same. Mówiłam mojemu, żeby jej nie dawać do gimnazji. Bo to posłuchał! „Nauka grunt" — ino gadał. Na co dziewusze te algebry, te jakieś mnożenia i dzielenia liter. Wyszła za uczonego, a wie o kuchni tyle co szlojma.

— Izwini, no głupości gaworzysz — wzięła Eupraksja w obronę Linkę. — To w goda... no te.... lieta... lata, znaczy, burżuazji i pierwowo siekretarija Burżuazyjnej Partiji Polszi generalissimusa... kak jemu tam, Heniutka, a? ...Da, Piłudskogo. Za niego nielzia było kobietam uczyćsia. U nas kobity uczutsia jak mużczyny. One daże i traktoristkami mogut ostat'sia. A doma to one tolko domasznyje kuricy. Heniutka, powtori eto po polski.

— Cicho, baby! — huknął teść, ale w szczególny sposób: bez podnoszenia głosu, przez co „moi" goście nie zwrócili zupełnie uwagi na to jakby starcie. — Żeby była dawniej oświata w klasie, to klasa nie pozwoliłaby na Targowicę i dawanie Polski carowi! Żeby była oświata w klasie, to i wy nie gadałybyście takich durnot...

(Fragment nowej powieści)

KONFLIKTY

POWRÓT

Dalszy ciąg ze str. 1

Maria. Poznał ją jeszcze jako więzień, gdy zaopiekował się na odległość jej dziećmi z domu dziecka. Z Marią w więzieniu zawarł związek małżeński i Maria wykazała wiele poświęcenia i wytrwałości w walce o jego warunkowe zwolnienie i powrót do rodziny. Przywitała go ciepło i serdecznie w innym mieście i w innym mieszkaniu. Chciała zatrzeć ślady przeszłości i rozpocząć życie od nowa. Nie pytał o nic. Po długich latach przymusowej rozłąki cieszył go każdy drobiazg, i jej serdeczny uśmiech. Nie gnębiła go myśl dokąd skieruje swoje kroki. Dzięki Marii, wychowawcom nie wracał do społeczeństwa jak Urke Nachalnik, autor „Żywych grobowców" bez energii życiowej, wypalony wewnętrznie, odwykły od własnej inicjatywy. W zakładach karnych nie zmarnował lat, ukończył technikum, zdobył zawód i pracując odłożył trochę grosza. Nie musiał teraz oglądać się na czyjeś wsparcie, czuł się samodzielny. Nasza „rozmowa", która miała trwać pięć lat rozpoczęła się od listu. Po powrocie z urlopu znalazłem go w skrzynce. Józef dzielił się w nim swoimi wrażeniami z wolności:

„Dla mnie i tak najważniejsze jest to, że są ludzie, którzy we mnie uwierzyli. Tego co się stało i tak nie jestem w stanie naprawić niczym i to piętno, żal i boleść będą mi towarzyszyć do końca życia. Byłem nad tym grobem, myślałem że tam znajdę jakąś odpowiedź dla siebie. Niestety, wszystko zamknięte, milczące i tak to już zostanie. Więcej tam nie pojadę. Przestrzegano mnie przed skutkami nadużywania alkoholu. Wiem dobrze co to znaczy. Powiedziałem więc sobie, że tego świństwa póki żyć będę nie wezmę do ust".

Czułem się w sytuacji człowieka rozwiązującego niezwykle pasjonujące, ale i trudne zadanie. Zacząłem od spraw najprostszych. Przyspieszyłem wyrobienie dowodu osobistego dzięki czemu Józef załatwił sobie pracę od ręki. Ponieważ Maria także zaczęła pracować przybywało grosza. Na raty kupili telewizor i najpotrzebniejsze meble. Podobało mi się, że byli ambitni i nie korzystali z niczyjej pomocy finansowej. Z czasem jednak przekonałem się, że długoletni pobyt w więzieniu nie wykształcił u Józefa trwałych zainteresowań kulturalnych czy społecznych. Możliwe zresztą, że takich zainteresowań nigdy on nie posiadał. Przeprowadziłem mały eksperyment: wystarałem się o dwa bilety do opery. Wystawiano „Spartakusa". W przerwie spacerując w foyer Józef odezwał się do mnie:

— Te olśniewające światła, wspaniałe dekoracje, tańce pełne wdzięku — wszystko to było takie piękne, urocze, a w życiu moim było tyle czarnych plam.

Z powodu reorganizacji Józefowi groziło w miejscu pracy przeniesienie na stanowisko niżej płatne. Wiedziałem, że spłacają komornika, raty pożyczki zaciągniętej na kupno mebli, pomagają młodszemu synowi. Przekonałem kierownika, który przenosząc Józefa na inne stanowisko zapewnił mu to samo co dawniej uposażenie. Nie przeczuwałem, że wkrótce pojawią się nowe, poważniejsze kłopoty. Pewnego wieczoru poderwał mnie na nogi telefon. Dzwoniła Maria. Zanoszącym się od płaczu głosem wyszeptała do słuchawki:

— Niech pan do nas przyjedzie i to jak najszybciej. Bardzo o to proszę.

— Czy stało się coś złego.

— Tak.

Lało tego wieczora niemiłosiernie. Wskoczyłem do autobusu i za niecałą godzinę byłem na miejscu. Maria na moje przybycie ociężale dźwignęła się z fotela. Ręce jej drżały gdy nalewała do szklanki gorącej herbaty. Spojrzałem na zegarek: była godzina 22-ga. Józef kończy zmianę znacznie wcześniej. Dlaczego nie ma go w domu o tej porze — skierowałem pytanie do Marii.

— Na pewno pije, gra w karty, hula... ten drań, ten łobuz, któremu ja tyle w życiu zrobiłam dobrego. Proszę powiedzieć czy opłaca się być dobrym dla ludzi takich jak on? — Maria zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

— Nie mówiłam panu przedtem, bo nie chciałam robić skandalu: myślałam, że to mu przejdzie. Od miesiąca daje mi na życie po 600 zł. Resztę pieniędzy przegrywa w pokera, wydaje na wódkę. Gdy syn przyjechał na przepustkę z poprawczaka mąż był pijany, bluzgał, odgrażał się.

Byłem przytłoczony lawiną wiadomości o Józefie R. Czekałem na niego do godziny 24-tej. Nie przyszedł. Była to jego czwarta kolejna noc spędzona poza domem.

Józefa odwiedziłem następnego dnia. Leżał na tapczanie z owiniętą bandażem głową. Rzekomo bolały go zęby.

— Po co te farmazony panie R. — rąbnąłem wprost. — Pił pan wczoraj.

— Przecież pan wie najlepiej — próbował się odcinać — **że kirzyć** (pić wódkę) **żaden artykuł kodeksu na świecie nie zabrania.**

Spokojnym nie znoszącym sprzeciwu głosem przemówiłem do niego: **— Niech inni piją, upijają się, ale panu tego robić nie wolno. Nie wolno panu krzywdzić Marii. I niech pan zapamięta dobrze, że gubiąc innych gubi pan przede wszystkim siebie.**

Za radą kuratora zawodowego i sędziego skierowałem Józefa do Społecznej Komisji Lekarskiej. Stamtąd otrzymał skierowanie na przymusowe leczenie odwykowe. Teraz Józef chodzi do pracy i dwa razy w tygodniu łyka anticol. Podobnych alarmujących telefonów więcej już od Marii nie miałem. Myślę, że Józef wziął siebie w garść nie tyle z powodu tej kuracji co groźby odwołania warunkowego zwolnienia. A może po prostu zrozumiał swój błąd — podszepnął mnie kolega prawnik — i w samą porę zawrócił ze złej drogi.

Pamiętam takie zdarzenie. Z rana najspokojniej w świecie golę się aż tu ktoś gwałtownie zaczyna dobijać się do drzwi. Wpada jak bomba Józef R. Mówi bezładnie, zadyszanym głosem.

— Żona na dole czeka w taksówce. Sprawa cholernie pilna. Teraz, albo nigdy...

— Ale na miłość boską człowieku powiedz o co chodzi — przetrzymuję go za rękę. W końcu zrozumiałem, że rozstrzyga się sprawa przydziału dodatkowego pokoju. Podobno mają do nich jakieś zastrzeżenia w wydziale lokalowym, mimo że znają ich trudne warunki mieszkaniowe.

— Żona mówi mi — ciągnął Józef — **jedź do pana kuratora. On na pewno pomocy nie odmówi.**

Jakże mogłem odmówić. Poparłem ich starania na piśmie i w rozmowach telefonicznych z urzędnikami. Sprawa znalazła swój happy end: w połowie lata otrzymali przydział na dodatkowy pokój. Teraz obydwoje są w przysłowiowym siódmym niebie. W przebudowie i remoncie mieszkania brała udział cała rodzina.

W notatniku kuratorá prowadzonym na własny użytek pod datą lipiec 1976 odnotowałem: **„Józef i Maria wydali skromne przyjęcie z okazji powiększenia mieszkania".** Nie tylko jednak z tego powodu był to dzień w ich życiu szczególny: po raz pierwszy od wielu lat cała rodzina zebrała się w komplecie. Wszyscy byli w nastroju świątecznym: grzeczni, mili, uśmiechnięci. Maria i Józef nie mogą się nachwalić syna i jego narzeczonej. Najwięcej cieszy ich i mnie, że ten chłopak, który sprawiał tyle kłopotu swoim zachowaniem, ustatkował się, potrafi docenić pracę jaką wykonuje i poważnie zaczął traktować życie. Córka na zjeździe rodzinnym znalazła się przypadkowo. W rzeczywistości przyjechała po to, aby pousuwać tatuaże, które pozostały z czasów jej pobytu w zakładach dla nieletnich.

W październiku zbiegły się ze sobą dwie znamienne daty: piąta rocznica pobytu Józefa na wolności i zakończenie nad nim kuratorskiego dozoru. Moje sprawozdanie do sądu stanowiło resumé resocjalizacyjnych sukcesów i niepowodzeń. Sukcesem było żmudne, wytrwałe przezwyciężanie głęboko zakorzenionego w nim nałogu alkoholowego, przy czym skuteczna była tu pomoc służby zdrowia oraz zapewnienie Marii i Józefowi godziwych warunków mieszkaniowych, co stworzyło podstawy do ocalenia całej rodziny.

Nie da się ukryć, że przez te pięć lat sam nauczyłem się wiele. W miarę jak poznawałem kolejne losy swego podopiecznego i jego dzielnej żony, utrwalało się we mnie przekonanie, że podobnie jak bohater z francuskiego filmu „Dwaj ludzie z jednego miasta" kurator może realizować cele resocjalizacyjne tylko wtedy, jeżeli zdoła pozyskać zaufanie i włączyć się w życie rodzinne podopiecznego. Innymi słowy, jeżeli stanie się powiernikiem trosk, radości i smutków swoich podopiecznych. Nie da się zaprzeczyć, że pozyskanie zaufania byłego przestępcy i jego rodziny jest sztuką niezwykle trudną ale możliwą podobnie jak w psychologii wychowawczej jest rzeczą możliwą ukształtowanie osobowości w miarę dojrzałej, scalonej i zharmonizowanej. Realizacja tych celów, bez czego żaden proces resocjalizacji obejść się nie może, wymaga od kuratora stałego wzbogacania wiedzy o człowieku, zasobu doświadczenia i doskonalenia umiejętności pedagogicznych.

Teraz dla Józefa R. nie jestem już „panem kuratorem" lecz po prostu znajomym. Nie będę ukrywał: utrzymujemy ze sobą towarzyskie kontakty. Pomagamy sobie w rozmaitych większych i mniejszych kłopotach życiowych. Gdy z triumfującą miną opowiadałem koledze prawnikowi o pomyślnym zakończeniu kuratorskiej opieki nad Józefem, odezwał się w nim głos sceptyka:

— Brawo. Widzę, że jesteś niepoprawnym optymistą, którego największe rozczarowania nie są w stanie wytrącić z równowagi. Pozwól, że zapytam, czy nigdy nie nawiedzały cię obawy o przyszłość twego podopiecznego? A co będzie, jeżeli teraz, gdy nie wisi już nad nim sądowy miecz Damoklesa, Józef przerwie leczenie odwykowe i wróci do swojej dawnej antyspołecznej roli zdegradowanego charakterologicznie alkoholika. Przecież nie zaprzeczysz, że rozwiązywanie jego problemów życiowych jest wciąż zadaniem algebraicznym co najmniej z kilkoma niewiadomymi.

— Przyszłość każdego z nas jest wielką niewiadomą — broniłem się przed jego wątpliwościami. Odpowiesz zapewne, że między przeszłością a przyszłością istnieje dialektyczny związek, a zatem według twego rozumowania piętno Kaina, które prześladuje Józefa w myślach, może z nieodgadnioną siłą odżyć w jego wyobraźni, sumieniu i wpłynąć na dalszy bieg życia. Czy sądzisz jednak, że mój pięcioletni, systematyczny kontakt z Józefem, jego powrót do życia w normalnym środowisku rodzinnym, nic mu nie dały poza doraźną pomocą w potrzebie i poczuciem wolności osobistej?

— W twoim rozumowaniu kryją się sprzeczności i niedopowiedzenia. Józef — rozwijałem swój pogląd — już będąc na wolności musiał wejść w nową rolę społeczną męża i ojca, musiał stłumić i stopniowo wyeliminować te nawyki i przyzwyczajenia, które zaprowadziły go na skraj przepaści. Musiał wreszcie przestawić się w sposobie myślenia i trybie życia na zupełnie inne tory. Dzisiaj nie jest to już ten sam człowiek, co 20 lat temu. Przemiany, które zaszły w nim samym, nie można jedynie tłumaczyć odstawieniem butelki z wódką, zaniechaniem awantur i pogodzeniem się z Marią. Na ile dobrze poznałem Józefa, wydaje mi się, że źródła tych przemian trzeba szukać gdzie indziej: w przyjęciu nowych wzorów osobowościowych sumiennego pracownika, troskliwego męża i ojca, a także w interakcji Józefa ze środowiskiem rodzinnym i pracowniczym.

ZBIGNIEW LENARTOWICZ

Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

UTOPISTA W ROLI HISTORYKA

W trzydziestolecie śmierci Herberta Georga Wellsa piśmiennictwo nasze wzbogaciło się o poświęconą mu oryginalną monografię. Zawdzięczamy ją angliście Juliuszowi K. Palczewskiemu, autorowi ze wszech miar udanej książki „Utopista bez złudzeń" (Czytelnik 1976). Jest to z pewnością dzieło łączące udatnie wartości badawcze i popularyzatorskie. J.K. Palczewski osnuł swe rozważania wokół zajmującego centralne miejsce w twórczości angielskiego pisarza zagadnienia utopii. Zmierzał do zrewaloryzowania utopijnej refleksji swojego bohatera wykazując, że nie zawsze i wszędzie była ona aż tak naiwna, jak o niej nieraz powiadano. Doskonale rozumiem autora, że idąc śladem myśli swego bohatera niejednokrotnie nie mógł uchronić się od fascynacji. Bo czy rzeczywiście — pyta J.K. Palczewski przy okazji omawiania jednego z utworów — refleksja Wellsa „pozostaje przede wszystkim na płaszczyźnie fikcji?" Wszak w dziele, napisanym przed dojściem Hitlera do władzy pisarz przewidywał... wybuch nowej wojny światowej w dniu 5 stycznia 1940 r., która miała się zacząć od granicznego konfliktu między Niemcami a Polską, dotyczącego „polskiego korytarza"... „Uderzająca w tym wszystkim — powiada polski autor — jest nie tyle zdolność przewidzenia pojedynczego szczegółu, ile umiejętność wiązania różnych elementów i zależności natury chronologicznej, geograficznej, etnograficznej. Od wizjonera nie można znów wymagać zbyt wiele, Wells dla przykładu nie docenił potęgi militarnej Niemiec, przecenił zaś siłę Polski — znowu trudno stawiać tu autorowi zarzuty, jeśli zważyć okres powstania utworu, kiedy to Niemcy nie wstąpiły jeszcze zdecydowanie na drogę pośpiesznej remilitaryzacji". Co się zaś tyczy przecenienia przyszłych możliwości militarnych Polski, co wolno było wizjonerowi — utopiście, nie wolno było innym, którzy z polityki uczynili sobie profesję i zajmowali naczelne stanowiska w państwie. Nie angielskim, rzecz jasna.

Skoro J.K. Palczewski podjął rewaloryzację utopii swego bohatera, nie mógł uniknąć uczynienia tego samego w stosunku do jego historii. H.G. Wellsa „Historii świata", wydanej w 1920 r., poświęcił wiele uwagi. Dzieło to zyskało niegdyś ogromną popularność: było tłumaczone na wszystkie niemal języki. Jedynie w faszystowskich Włoszech nie doszło do tłumaczenia, bowiem dyktatura Mussoliniego nawiązywała do rzymskich tradycji imperialnych i uznano, że angielski myśliciel „wyrażał się zbyt uwłaczająco o antycznym Rzymie". Nie mam pretensji do J.K. Palczewskiego, kiedy umiejętnie przedstawił on treść książki H.G. Wellsa. Sądzę jednak, że przecenił nieco jej „naukowe" znaczenie.

Mam bowiem wątpliwości, czy będąc niewątpliwym sukcesem pisarskim, „Historia świata" stała się rzeczywiście „triumfem naukowym" H.G. Wellsa. Nie widzę powodów, aby z niechęcią mówić o „gwałtownym kontrataku", z jakim wystąpiła „plejada zawodowych historyków, boleśnie dotknięta sukcesem „amatora" na własnym, tak pilnie strzeżonym terenie", bo kim jak kim, ale właśnie amatorem był na polu historii H.G. Wells. Żałuję też, że mówiąc o „pokaźnej", choć mniej licznej od krytyków, „grupie obrońców", jako jedynego historyka, który expressis verbis miał wypowiedzieć pochwałę Wellsowskiej „Historii", podał autor Arnolda Toynbee. Tylko — był Toynbee bardziej historiozofem, niż historykiem — przynajmniej w przytoczonym dziele, i wcale tak znowu Wellsem się nie zachwycił, skoro jego pracę uznał za „wspaniałe osiągnięcie intelektu". To jeszcze nie tożsame z przyznaniem, że jest to wspaniałe dzieło naukowe. Zamiast proponować pochopne oceny, należałoby rzecz zbadać. Byłoby to zresztą bardzo interesujące studium, tyle że z dziedziny historii historiografii.

Mam przed oczyma artykuł jednego z najwybitniejszych historyków okresu międzywojennego, współtwórcy kierunku zwanego szkołą Annales, Marc Blocha zatytułowany: „Nowa historia uniwersalna: H.G. Wells". Ukazał się on w „La Revue de Paris" w 1922 r. Nie jest to z pewnością głos zupełnie typowy, zasługuje jednak na uwagę jako wypowiedź wielkiego reformatora nauki historycznej, uczonego, który jak niewielu innych wpłynął na dalsze losy historiografii. M. Bloch podkreślił, że zwrot do historii był w poglądach H.G. Wellsa, człowieka zafascynowanego przyszłością, „naturalnym obrotem myśli", skoro badanie przeszłości pozwala na snucie refleksji o przyszłych losach ludzkości. Historia jest tedy dla H.G. Wellsa swego rodzaju projekcją jego utopii. M. Bloch porównywał dzieło angielskiego pisarza do wielkich prac Voltaire'a czy Bossueta, przynoszących ogólne konstrukcje historiozoficzne, będących podobnie historiami uniwersalnymi „w przestrzeni i czasie". Zaakcentował zdanie, w którym H.G. Wells na sposób zgoła pozytywistyczny narzekał, że historia nie stała się „nauką ścisłą"; podkreślił intelektualny wysiłek angielskiego myśliciela. Ale przy tym wszystkim zauważył, iż jego historyczna wiedza pochodzi zawsze z drugiej ręki, zaś całe dzieło jest dla historyka tym, czym byłby traktat psychologiczny napisany przez filozofa, który nigdy nie był w laboratorium, dla psychologa. Francuski uczony zajął się wreszcie typowo angielskimi, w jego przekonaniu, wątkami myśli H.G. Wellsa.

Gdzie więc owa zazdrość z powodu sukcesu? Niczego podobnego tu nie widzimy. Dostrzegamy za to co innego: wybitny historyk najzasadniej odmawia dziełu H.G. Wellsa waloru naukowej pracy historycznej, podkreślając jednocześnie jej wartość. Tyle, że nie w kategoriach nauki historycznej. Zbyt często — sądził tak również H.G. Wells — uważa się ją za odmianę pisarstwa w ogóle.

Byłoby bardzo niedobrze, gdyby naukowa historia zareagowała na „Historię świata" H.G. Wellsa inaczej niż krytycznie. Byłoby również źle, gdyby nie powstawały tego rodzaju, jak Wellsowska, historyczne wizje. Bo o przeszłości można myśleć i pisać rozmaicie. Tylko nie każde myślenie i pisanie, nawet najbardziej fascynujące, jest równoznaczne z uprawianiem naukowej historii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

SZTUKA

Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi — jedyna w kraju uczelnia kształcąca plastyków-projektantów dla przemysłu lekkiego: włókienniczego, odzieżowego, poligraficznego — rozpoczyna nowy etap swej działalności. Obecny rok akademicki zainaugurowała w nowej siedzibie przy ul. Wojska Polskiego; wprawdzie jeszcze nie wszystkie pomieszczenia są zdatne do użytku, trwają prace wykończeniowe, a „przeprowadzka" do nowego gmachu przeciągnie się prawdopodobnie do lata 1977, można chyba już teraz postawić pytanie o korzyści z uzyskania przez PWSSP nowoczesnej, doskonale wyposażonej placówki: korzyści dla samej uczelni i pośrednio — korzyści społeczne z tego tytułu.

Pytam o to rektora PWSSP doc. WIESŁAWA GARBOLIŃSKIEGO.

— Otrzymujemy nie tylko nowy lokal, ale i nową bazę, nowoczesne wyposażenie techniczne. Korzyści są oczywiste. Przede wszystkim poprawimy sobie zasadniczo warunki pracy. Ale też zobowiązuje nas to do poszerzenia programu nauczania, lepszego i bardziej wszechstronnego przygotowywania większej liczby fachowców-projektantów dla przemysłu lekkiego, ściślejszej współpracy z owym przemysłem, a także do rozwinięcia naszej działalności w zakresie rozwiązywania tzw. problemów podstawowych i pewnych zagadnień nie tylko czysto projektowych, lecz i technologicznych dla różnego rodzaju przedsiębiorstw i instytucji. Np. już w tej chwili pracownia prof. Krzysztofa Lenka realizuje umowę z RSW „Prasa" w Łodzi na opracowanie pewnych problemów wizualnego kształtowania druku. Inny przykład — to współpraca z zakładami „Jarlan" w Jarosławiu, których produkcja w początkowym okresie z różnych powodów nie mogła zdobyć rynku. Wysłaliśmy tam ekipę specjalistów, którzy na miejscu zorientowali się w sytuacji i zaproponowali wiele nowych wzorów wyrobów, a co ważniejsze, wprowadzili nawet pewne zmiany technologiczne w produkcji z pomyślnymi efektami. Podobne przykłady można by mnożyć.

— Istnieje więc konkretne zapotrzebowanie na usługi uczelni i to różnego rodzaju?

— Ze strony wielu przedsiębiorstw i instytucji otrzymujemy właśnie różnego rodzaju zamówienia, zgłoszenia, propozycje współpracy. Jest więc zapotrzebowanie na nasze usługi i to bardzo konkretne. Nowa baza techniczna pozwoli nam na wydatne zwiększenie i wzbogacenie o nowe formy naszej współpracy zwłaszcza z przemysłem lekkim. Umożliwi nam też ona poszerzenie działalności w sferze projektowej, szczególnie na Wydziale Tkaniny i Ubioru, gdzie dotąd w realizacji projektów byliśmy całkowicie uzależnieni od przemysłu. Obecnie, w oparciu o nowoczesne wyposażenie techniczne, będziemy mogli sami realizować nasze projekty i proponować je przemysłowi w postaci ofert do ewentualnego wykorzystania.

— Przypuszczam, że zamierzenia uczelni nie kończą się na tym; to chyba punkt wyjścia do... właśnie, do czego?

— Dochodzimy tu do sprawy zasadniczej wagi w działalności naszej uczelni — mówi doc. Garboliński. — **Nowe wzory wyrobów mogą z powodzeniem opracowywać nasi absolwenci zatrudnieni w poszczególnych zakładach na stanowiskach plastyków-projektantów. Natomiast uczelnia w oparciu o nowoczesną bazę techniczną i kadrę naukową będzie mogła rozwiązywać problemy w szerszym zakresie, w tym także zagadnienia natury technologicznej. W tym celu istnieje u nas Biuro Artystyczno-Badawcze, które zamierzamy przekształcić w Instytut. Będzie on pełnił rolę organizacyjną i koordynacyjną w stosunku do wszystkich prac artystyczno-badawczych podejmowanych przez nasze pracownie bądź z ich własnej inicjatywy, tzw. bezumownych, nie adresowanych do jakichś określonych przedsiębiorstw czy instytucji, bądź też wykonywanych na zlecenia różnych zakładów na podst. odpowiednich umów. Oczywiście oba wymienione rodzaje prac będą służyć przemysłowi, ponieważ wyniki naszych własnych badań także będziemy zgłaszać w postaci ofert do ewentualnego wykorzystania.**

— Jak się mają nowe możliwości pracy uczelni i rozwinięcie jej współpracy z przemysłem do samej jej działalności dydaktycznej?

— Jest to problem niezmiernie istotny — mówi dalej doc. Garboliński. — **Różne formy działalności naszej uczelni, o których była już mowa, chcemy ściśle powiązać z procesem dydaktycznym, aby konkretne zadania realizowane przez uczelnię jako placówkę naukowo-badawczą były jednocześnie zadaniami dydaktycznymi. Uczestniczenie studentów w pracach dla przemysłu pozwoli nam na jeszcze lepsze i bardziej wszechstronne kształcenie odpowiednio wykwalifikowanych kadr dla tegoż przemysłu. Nasi absolwenci będą już przynajmniej w pewnym stopniu zorientowani w charakterze swej ewentualnej przyszłej pracy w przemyśle; będzie to swoista forma praktyki zawodowej odbywanej już w uczelni, w toku samych studiów. Kształcimy artystów-plastyków, wszakże jesteśmy uczelnią artystyczną. Ale też plastykowi-projektantowi zatrudnionemu w przemyśle nie mogą być obce zagadnienia natury technologicznej związane z jego pracą bo przecież realizacja proponowanych przezeń wzorów czy projektów dokonywana jest w oparciu o pewne stosowane w przemyśle technologie produkcji określonych wyrobów. Jest tu jeszcze jeden problem. Każdy produkt finalny powstaje w wyniku „złożenia i dogrania" wielu projektów, koncepcji i zabiegów technologicznych, opracowywanych i realizowanych przez wielu specjalistów z różnych dziedzin. Plastyk-projektant musi więc umieć porozumieć się z tymi specjalistami, rozumieć ich założenia i racje tak, jak swoje własne, bo takie są przecież wymogi kompleksowego rozwiązywania problemów produkcyjnych we współczesnym przemyśle. To stawia przed nami obowiązek jak najbardziej wszechstronnego, nie tylko teoretycznego, ale także i praktycznego kształcenia absolwentów. W nowych warunkach pracy nasza uczelnia będzie w stanie czynić to w znacznym stopniu.**

— Mówimy cały czas o kształceniu fachowców dla przemysłu, a przecież PWSSP jest uczelnią artystyczną...

— Tak, nasi absolwenci są przygotowywani do pracy w przemyśle, ale z myślą o rozwiązywaniu głównie zagadnień artystycznych z zakresu plastyki. Proponowane przez nich rozwiązania muszą się odznaczać wysokimi walorami artystycznymi. Praca plastyka-projektanta to przecież także pewien rodzaj twórczości artystycznej, nie mniej ważny niż inne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy to coraz większą uwagę zwraca się na kształtowanie środowiska człowieka, także w aspekcie estetycznym. Na owo środowisko składają się m.in. różne przedmioty codziennego użytku, których wizualny kształt jest projektowany coraz częściej właśnie przez plastyków. Dzięki tej ich działalności, artystycznej przecież, sztuka w coraz większym stopniu przenika do naszego otoczenia, wplata się w naszą codzienność, staje się bliższa życiu... Jest więc u nas miejsce na „sztukę i artystów". Współczesny artysta wszakże musi mocno „tkwić w życiu" i jego sprawach codziennych, musi być w pełni świadom swej roli w tym życiu. Musi pamiętać, że ma być nie artystą tworzącym „sztukę dla sztuki", lecz po prostu dla ludzi, dla nas wszystkich...

TKWIĆ W ŻYCIU

Rozmawiał: ZBIGNIEW S. NOWAK

KRYTYKA

MIROSŁAW OSTOJA OCHOCKI

Powrót świata

Dla Michała M. Szargana wypowiedź poetycka zawsze była przede wszystkim narzędziem. W „Powrocie Świata" jest ona wyłącznie narzędziem: o żadnym z wierszy w tym zbiorze nie można by powiedzieć, iż został napisany jedynie w imię poezji; o każdym trzeba powiedzieć, iż u jego narodzin stały także pozaliterackie racje. Te racje da się wyliczyć w języku dyskursywnym. Aby je jednak opisać, odsłonić ich strukturę — trzeba języka poezji. U Szargana w wierszu dochodzi się sensu istnienia. Także reguł istnienia. Przede wszystkim reguł istnienia. Bo właśnie reguły nadają istnieniu sens. Reguły natury i reguły człowieczej powinności. Powinności wobec własnej egzystencji, wobec egzystencji innych, wobec świata. Nie windując poety, bo tego nie potrzebuje, można powiedzieć, iż przestrzeń, w której się dzieje to, co dzieje się w jego wierszach, ma za horyzonty niebo gwiaździste Kanta i Kanta prawo moralne. Szukając zaś w literaturze bliższych wzorów postaw wobec tej problematyki egzystencjalnej, jaką rozważa poezja Szargana, trzeba by sięgnąć jednak do Conrada. I to bez przykładnej troski o zachowanie właściwych proporcji, bo chodzi jedynie o zbieżność tez traktatu moralnego. Tezą główną są obowiązki wynikające z faktu bycia człowiekiem.

Takiemu oto porządkowi prawd kadynalnych odpowiada w sferze poetyki pewien rodzaj metafory określany wyraźniej przez kulturową diachronię, niż przez synchronię literacką. Sięgnijmy do przykładów:

1. **„Wielki przeciąg przewiał serce**
   I jest w sercu jak w białej sieni żałobnej
   Chłodno i od piasku słonecznie..."
   („Wielki przeciąg przewiał serce")
2. **„Kwiat języka**
   Przerósł w liść
   Piołunu..."
   („Kwiat języka...")
3. **„Zdjąłem z siebie skórę wyłamałem żebra**
   Oświetlam ci drogę żywą gwiazdą serca
   Dojdź dojdź do krwi i przyłóż swój oddech"
   („Zdjąłem z siebie skórę...")

Szerzej pojęty niż literacki, bo kulturowy paradygmat dla tego rodzaju metaforyki został określony zarówno przez sam tekst Biblii, jak też i przez te z późniejszych przekazów, których retoryka ukształtowała się na wzorach biblijnej stylistyki. „Koryntianie! — wołał św. Paweł. — Otworzyliśmy śmiało do was usta nasze; serce nasze szeroko się rozwarło. U mnie spotkacie się z ciasnotą; lecz w sercach waszych ciasnota się mieści". A św. Augustyn pisał w „Wyznaniach": „Oto uszy serca mego zwrócone ku Tobie... Przyjmij ofiarę wyznań moich z ręki języka mego".

Wprowadźmy teraz zdania, jakimi Tomasz Mann rozpoczyna „Historie Jakubowe": „Głęboka jest studnia przeszłości. Czy nie należałoby jej nazwać bezdenną?" Przyjmijmy, że zdania te wskazują oś diachronii pewnej określonej kultury. Kultury rozumianej antropologicznie. Zarazem jednak i kultury semiotycznej. Wokół tej osi nawarstwiają się, petryfikując się w stylistykę, zachowania językowe. Tak — zdaniem Barthes'a — rzecz miałaby się w świadomości symbolicznej: „w jej oczach — pisze — symbol konstytuowany jest przez warstwowe rozmieszczenie znacznego i znaczącego". Dystans między tym, co znaczone a tym, co znaczące — rośnie. W „relacji wertykalnej" — powiada Barthes — znaczone jest coraz głębiej. Na oddalającej się od antropologicznie kulturowego podłoża semiotycznej powierzchni symbol staje się coraz bardziej swobodny.

Przystańmy na taki opis rzeczy. Jest metaforą dobrze uwidaczniającą charakter „geologicznej" (Barthes) struktury interesującego nas tu obszaru wzorów językowych. Różnych warstw tej struktury dosięgają idiolekty poetów. Bo genetycznie związany z nią jest nie tylko, co oczywiste, idiolekt Szargana. Także — dla przykładu — idiolekt Harasymowicza. Idiolekt Białoszewskiego. I tu właśnie, w aspekcie różnych poziomów na osi diachronii, jakim idiolekty te da się przyporządkować, występują między nimi istotne różnice. Harasymowicz i Białoszewski czerpią głównie z tego pokładu, z którego pochodzą wzory zachowań właściwe kulturze religijnej wiejskiego ludu polskiego. Terytorialnie są to często wzory zachowań z pogranicza etnicznego. Mimo to — lub tym bardziej — można wobec nich zastosować znaczną formułę Stefana Czarnowskiego, wskazującą m.in. na spektakularny i rytualistyczny charakter tych wzorów. Wzory te, w znacznej mierze niewerbalne, są przez poetów werbalizowane. Rozumiejąc werbalizację tak, jak proponuje ją rozumieć Ida Kurcz, a więc jako przekład z kodu na kod, powiemy, że idiolekty Harasymowicza i Białoszewskiego zostały wyposażone w liczne elementy (odpowiednio zwerbalizowane) pochodzące z kultury religijnej ludu wiejskiego. Natomiast Szargan omija warstwę wzorów ludowej religijności i czerpie wprost z Pisma. Czy czyni to świadomie lub, w jakim stopniu czyni to świadomie — jest już sprawą osobną i w zasadzie poza zakresem niniejszych rozważań. Wdając się jednak w jednozdaniową dygresję, należałoby powiedzieć, że jeśli zabiegi poetyckiej translacji z Pisma są przez Szargana dokonywane świadomie, to dokonywane są nie opodal tych wzorów, a także i modeli zachowań, jakie kodyfikował T.S. Eliot.

Po dygresji wracamy do toku wywodu. Omawiając w „Moim autentyzmie", w szkicu „Jesień z mitami", wiersze Mieczysława Szargana, zresztą w najpochlebniejszych dla poety słowach, Jan Bolesław Ożóg pisał: „sam ojciec Szargana przypomina Jungowski mit wielkiego ojca i nie jest to sprawa bynajmniej obojętna. Szargan uczy się wiele od psychologów i teoretyków poezji. Szargan odczuwa świat jak pierwotny człowiek".

W polu naszych rozważań znajduje się jedynie problematyka wskazana przez ostatnie z zacytowanych zdań, ale jest to problematyka istotna. Otóż, na zdanie, iż „Szargan odczuwa świat jak pierwotny człowiek", moglibyśmy przystać tylko przy bardzo wąskim i niepotocznym jego rozumieniu. Moglibyśmy na nie przystać tylko o tyle, o ile „pierwotność" miałaby w nim oznaczać odległe w czasie wzory metafor, jakimi operuje poeta. Wykluczamy natomiast możliwość „pierwotności" odczuwania świata w literalnym sensie wyrażenia. Dookolnej rzeczywistości właśnie człowiek pierwotny nadawał charakter znakowy. Toteż pansemiotyzmem pierwotnym nazywany bywa jego sposób „odczuwania" świata. Powiedzieliśmy zaś, traktując rzecz jako znamię realizmu w poezji, iż u Szargana świat jest względem semiozy heterogeniczny. Istnieje w ostrej separacji od przedstawiających go znaków. Wiersze Szargana mówią właśnie o tym, iż świat dzieje się poza wierszami.

U Szargana nie ma apostrof do poezji jako takiej. Są natomiast wiersze o poezji poetów rzeczywistych z imienia i nazwiska. Są to zarazem wiersze o samych poetach. Nawet przede wszystkim o poetach. Jak gdyby Szargan negował sensowność mówienia o wierszach pod nieobecność ich twórcy.

Jeśli powiedzieliśmy, że dla Szargana wypowiedź poetycka jest przede wszystkim narzędziem, to właśnie sposób ujmowania poezji w powiązaniu z osobą twórcy wskazuje na ten aspekt instrumentalności poezji, jakiemu Szargan zdaje się dawać pierwszeństwo przed innymi racjami pisania.

I tak, w rzadkiej piękności wierszu poświęconym pamięci Juliana Przybosia, w zamykającej utwór strofie, Szargan pisze:

„A w Gwoźnicy spod bruzdy wiersza
Ze śmiertelnej komory serca
Z ziemniaczanego kwiatuszka
Wyfrunął skowronek"
(„Wielki przeciąg przewiał serce")

„W języku oczekiwanie i spełnienie stykają się" — powiada Wittgenstein w kolejnej sentencji z „Dociekań" i sentencja ta, oczywiście w perspektywie metafory, oddaje sens zacytowanej wyżej strofy. Stanowi formułę dla instrumentalnych racji pisania wierszy. U Szargana — wskazywaliśmy już na to — sens poezji ujawnia się w jej nieliterackiej egzystencji.

Realistyczna poezja Mieczysława Szargana miałaby zatem romantyczne rodowody. U romantyków, zwłaszcza u polskich romantyków, słowo miało być także narzędziem w niepoetyckich sprawach. W tym sensie romantyczny jest wizerunek romantycznej poezji innego współczesnego twórcy. Dedykowany Janowi Huszczy wiersz „Tak widzę" brzmi:

„Pochmurny złoty Janie
Tyś się nie zaparł
Człowieka ani cebuli
Rzekłeś nim trzeci kur zapiał
Ze źródła są wiersze

Nie wniosłeś wieży
Dla sadów świętych
Twój sad pachnie
Papierówką najlepszej pamięci

Uczulony na ziemniaczany kwiat
Współczesny
Oczami ojców

Tak widzę drzewo smolne polskiego wiersza"
(„Tak widzę")

W tym znakomitym wierszu, gdzie za kolokwialnością wyrażeń otwiera się perspektywa na coraz to dalsze i dalsze symbole narodu, tradycji, poezji, zdanie ostatnie, utrzymane w tej samej, co i poprzednie strofy metaforyce, tyle tylko, że nagle oderwane od rytmu kantyczki i wypowiedziane pełnym głosem, przy szerokim, oratorskim oddechu, obraca cały wiersz w metaforę i przenosi jego treść na ten poziom uogólnienia, gdzie nabiera ona sensu poetyckiego credo. Jest to zarazem porządek dyskursu, jaki Szargan toczy z sobą samym we wszystkich wierszach.

U Szargana zasadą poezji jest zasada nienaruszalnej uczciwości. I zasada dochodzenia prawdy. Ma poeta oddzielać ziarno od kąkolu w sobie, w świecie, w poezji. I dochodzić racji człowieczych nawet tam, gdzie uchyla je natura:

„Bo jeśli groby —
to po słonecznej stronie cmentarza
z aniołem biegnącym jak żagiew
i sprawiedliwym jak czyste wody..."
(„Bo jeśli groby")

I mimo, iż staramy się nie wychodzić poza wyjaśniający opis, trzymając się Weberowskiej zasady „Wertfreiheit" niewartościowania, to jednak powiedzmy, że w naszym rozumieniu jest poezja Mieczysława Michała Szargana dziełem tej dojrzałości, o której wiemy, że jest, gdy racje artystyczne brane są w ryzy przez racje, jakie dyktują reguły nadające sens istnieniu.

(Fragment większej całości)

Mieczysław Michał Szargan: Powrót świata. Łódź 1976, ss. 141, cena zł 12,-

KRĘCI SIĘ DWADZIEŚCIA LAT...

Z REDAKTOREM NACZELNYM „KARUZELI" WOJCIECHEM DRYGASEM ROZMAWIA JERZY WILMAŃSKI

„ODGŁOSY": Pismo narodziło się w styczniu 1957 roku. Ale — jak sądzę — poprzedziły je odpowiednie decyzje, kalkulacje, opracowanie programu czasopisma, praca koncepcyjna, przymiarki, sondaże rynku czytelniczego, próbne numery — słowem, jak to się dzieje na całym świecie, przygotowanie wydawnictwa...

W. DRYGAS: W styczniu 1957 roku ukazała się w ramach ówczesnej kampanii wyborczej, publikacja propagandowo-satyryczna pod nazwą „Karuzela". Jeszcze bez numeracji, bo to wcale nie miało być pismo. Ale pierwszy numer miał 30 tysięcy nakładu i błyskawicznie się rozszedł. Wyszedł więc drugi, trzeci i czwarty — mniej więcej co 10 dni. Dopiero szóste wydanie uzyskało stałą numerację i tzw. tytuł wydawniczy. I w ten nieoczekiwany sposób powstała „Karuzela".

„ODGŁOSY": Co Pan myśli, kiedy patrzy Pan na pierwsze numery „Karuzeli"?

W. DRYGAS: Myślę, że ogromnie zmieniły się wymagania masowego odbiorcy. Nic dziwnego, w ciągu 20 lat wyrosło nowe pokolenie, wykształcone, oczytane, o ambicjach kulturalnych daleko większych niż miał je czytelnik „Karuzeli" lat pięćdziesiątych. Te pierwsze numery są w zestawieniu z dzisiejszymi — co tu kryć — dosyć prymitywne... Tylko papier i farba pozostały na tym samym poziomie, czyli — w dalszym ciągu są ostatniej klasy.

„ODGŁOSY": To prawda. Ale obecna „Karuzela" nie przypomina ani tej sprzed dwudziestu, ani tej sprzed dziesięciu lat. Autorzy leksykonu „Alfabet polskiej rozrywki" (Wyd. Artystyczne i Filmowe, 1974), widząc tę metamorfozę, piszą: „Wojciech Drygas (...) zapoczątkował nową erę pisma — podniesienie jego poziomu, przekształcenie dwutygodnika humorystycznego w magazyn humorystyczno-satyryczny. „Karuzela" pod redakcją Drygasa czynniej uczestniczy w życiu kraju. (...) Stąd troska, aby masowego czytelnika nie odstraszyć, lecz wpłynąć na zmianę jego gustów, zapewniając mu ambitniejszą rozrywkę". Ale czy nie sądzi Pan, że mimo podnoszenia poziomu razem z podnoszeniem nakładu ciągnie się jednak za „Karuzelą" opinia pisma prymitywnego?

W. DRYGAS: Tak jest, taka opinia jeszcze gdzieniegdzie pokutuje, ale urabiają ją ludzie, którzy albo „Karuzelę" czytali 15—20 lat temu, albo nigdy jej nie czytali, tylko powtarzają zasłyszaną kiedyś opinię. Pocieszamy się jednak tym, że owi „opiniodawcy" są w zdecydowanej mniejszości.

„ODGŁOSY": A większość?

W. DRYGAS: Większość to 600 tysięcy ludzi, którzy „Karuzelę" co dwa tygodnie k u p u j ą. Nawiasem mówiąc mieliśmy kiedyś 800 tysięcy nakładu i też pismo rozchodziło się bez zwrotów. Dziś jednak nakład mamy limitowany na poziomie 600 tysięcy egzemplarzy i wiemy, że nie dociera ono na przykład w lubelskie czy białostockie...

„ODGŁOSY": ...a kioskarze często sprzedają je spod lady...

W. DRYGAS: ...nieraz z rampy drukarni, bez pośrednictwa „Ruchu". Otóż parokrotnie mieliśmy wypadki kradzieży z rampy spakowanych już paczek „Karuzeli". Ostatnio ukradziono 5 tys. egzemplarzy, jak gdyby dla uczczenia dwudziestolecia pisma. Oczywiście nie pochwalamy tych praktyk, ale przecież świadczą one, że pismo jest towarem chodliwym, że ten, który kradnie, ma rynek zbytu, bo trudno sądzić, że robi to dla żartu. Pięć tysięcy egzemplarzy to jest 25 tysięcy złotych, a przy takiej sumie kończą się żarty...

„ODGŁOSY": Jeśli jesteśmy przy pieniądzach... 600 tysięcy egzemplarzy „Karuzeli" — ile to będzie rocznie w złotówkach?

W. DRYGAS: Za rok ubiegły „Karuzela" przyniosła czystego zysku 36,5 miliona złotych. Redakcja liczy siedem osób, co w przeliczeniu daje pięć milionów trzysta tysięcy złotych na jednego redaktora... Taką sumę wypracowuje — jeśli tak można powiedzieć — każdy z członków redakcji. Jest to jednak wyliczenie abstrakcyjne, bo na zysk „Karuzeli" składa się praca i twórczość blisko czterdziestoosobowego zespołu współpracowników pisma. Ale jakby nie było, w tych czterech pokojach wypracowujemy zysk, jaki daje średniej wielkości przedsiębiorstwo.

„ODGŁOSY": Wróćmy jednak do nakładu. Jak to wygląda w skali kraju, czy może Europy...

W. DRYGAS: Proszę bardzo! Nawet w skali światowej. Londyński „Punch" ma około 200 tysięcy nakładu i jest daleko w tyle za czołówką. „Karuzela" natomiast ma trzeci nakład w świecie — po moskiewskim „Krokodylu" (około pięciu milionów egz.) i kijowskim „Perecu" (ok. 2 milionów egz.) W tej sytuacji o skali kraju nie ma co wspominać. A przecież mamy świadomość, że na mapie kolportażu „Karuzeli" istnieją białe plamy. Niestety — brak papieru na zwiększenie nakładu. Wiadomo — oszczędności, rachunek ekonomiczny...

„ODGŁOSY": Ale przecież ten papier zadrukowany przez redakcję „Karuzeli" przynieść może akumulację większą niż przez zadrukowanie go, powiedzmy, instrukcją obsługi taczki czy setkami innych tekstów, po które nie sięgnie pies z kulawą nogą...

W. DRYGAS: Zgadzam się, że jest to temat także dla satyryka.

„ODGŁOSY": Manuił Siemionow, redaktor naczelny „Krokodyla", w swojej żartobliwej ankiecie personalnej, w rubryce „krewni za granicą" wymienia m. in. „Karuzelę". Jak się więc „Karuzeli" układa życie rodzinne z zagranicznymi krewniakami?

W. DRYGAS: Bardzo dobrze, ale czasem czujemy się jak... ubodzy krewni. Zarówno „Krokodyl" jak i estoński „Pikker" czy bułgarski „Strszel" publikowały książkowe wybory naszej satyry. My im nie możemy się zrewanżować, bo „Karuzela" nie posiada swojej biblioteczki satyrycznej, ani nawet nie może wydać „Kalendarza „Karuzeli", choć wg naszej orientacji znalazłoby się na taką publikację co najmniej milion nabywców.

„ODGŁOSY": Polska satyra jest chyba popularna za granicą?

W. DRYGAS: Nie ma tygodnia, żebyśmy nie znajdowali na łamach pism satyrycznych naszego obozu przedruków z „Karuzeli". Odnotowujemy zresztą te publikacje w naszej stałej rubryce. Polska satyra ma wysoką markę i jest bardzo popularna poza granicami kraju.

„ODGŁOSY": Więc powodu do kompleksów nie ma?

W. DRYGAS: Powodu nie ma, jest tylko świadomość, że (pomijając ZSRR, gdzie oprócz „Krokodyla" istnieje d z i e w i ę t n a ś c i e pism satyrycznych) w takiej Czechosłowacji istnieją tygodniki „Rohac" i „Dikobraz", z których k a ż d y ma jeszcze swoje m i e s i ę c z n e magazyny oraz własne biblioteczki satyryczne. Podobne serie wydawnicze publikują: bułgarski „Strszel", „Eulenspiegel" w NRD, „Pikker" w Estonii (liczącej notabene 1,5 mln ludności), węgierski „Ludas Matyi". Przyjaciele z bułgarskiego „Strszela" przekazali nam na przykład dokładną kalkulację ekonomiczną biblioteczki satyrycznej, aby nas przekonać, że jest to inicjatywa wydawnicza bardzo opłacalna... My o tym wiemy, tylko co z tego?

„ODGŁOSY": Wróćmy do kraju. Kto was czyta?

W. DRYGAS: W roku 1966 przeprowadziliśmy ankietę wśród czytelników. Nadeszło wówczas 20 tysięcy odpowiedzi. Wynikało z nich, że obszar czytelniczy „Karuzeli" — zarówno geograficznie jak i środowiskowo — jest bardzo rozległy. Biorąc pod uwagę całą relatywność takiej sondy, wynikało z niej, że czyta nas przede wszystkim inteligencja techniczna oraz starsza młodzież, gdzieś w przedziale wieku 16—25 lat. Czyta nas bardzo dużo kobiet, największe bazy czytelnicze to Śląsk, Wielkopolska, Wybrzeże i Warszawa.

„ODGŁOSY": Ankietę, o której Pan mówi, przeprowadzono dziesięć lat temu. Czy nie warto jej powtórzyć?

W. DRYGAS: Pewno i warto, ale nie mamy takiej aktualnej ankiety. Przed laty pomogła nam prof. Antonina Kłoskowska, kierując do nas dwu młodych socjologów, którzy na podstawie ankiety napisali prace magisterskie. Dziś mamy w RSW paroosobową pracownię socjologiczną... Nie można mieć wszystkiego naraz.

„ODGŁOSY": Obiecuję, że mój śmiech zostanie z taśmy magnetofonu wymazany...

W. DRYGAS; Dlaczego? Przecież to była rozmowa na temat „Karuzeli", humoru i satyry.

Rys. Halina Sibińska

BOHDAN PIĄTKOWSKI

KWIECISTY JĘZYK

Na krańcach pustyni, gdzie zaczynało się państwo sułtana, leżała wioska, którą rządził kadi imieniem Mustafa.

Zdarzyło się, że pewnego razu we wsi zatrzymał się na nocleg uczony Ibrahim ibn Muhammed, którego w te słowa zapytał kadi:

— Racz mi powiedzieć, uczony mężu, jaka jest stąd odległość do stolicy, gdyż cudzoziemscy kupcy często o to pytają, a ja nie umiem ich objaśnić.

Rozjaśnił się mądry Ibrahim i rzekł:

— Została ona dokładnie zmierzona i możesz powiedzieć swoim cudzoziemcom, że odległość ta wynosi 5.246 mil.

Ucieszył się tedy Mustafa i kazał przybić drewnianą strzałę z napisem: „Istanbuł 5.246 mil".

Aliści zdarzyło się, że nazajutrz przejeżdżał przez wieś możny pasza, który zobaczywszy ów znak zwrócił się gniewnie do kadiego:

— Nie mierzyłeś, to nie pisz! Może jest tylko pięć, ale może być nawet i sześć tysięcy mil, głupcze!

Całą noc nie spał biedny kadi, a o świcie kazał wywiesić informację: „Do stolicy jest około pięciu, a może około sześciu tysięcy mil".

W parę dni później przez wieś przeciągał konwój z branką do haremu Wielkiego Wezyra. Prowadzący go bej odwiódł Mustafę na stronę i poradził:

— Napisz to ostrożniej. Ktoś jeszcze powie, że nie chciało ci się dokładnie mierzyć!

Zbladł biedny kadi i już następnego dnia wstające słońce przeczytało: „Od źródła do Istanbułu jeszcze bardzo, bardzo daleko".

Po tygodniu oficer janczarów wszedł do chaty Mustafy i zapytał go czy wierzy w Allacha.

— A dlaczego wątpisz w to, panie? — jęknął udręczony kadi.

— Ponieważ żaden prawowierny, będący przy zdrowych zmysłach, nie wywiesiłby takiego głupiego i świętokradczego napisu. To chyba jakaś aluzja, bo czy właśnie stolica nie jest najprawdziwszym źródłem? I żeby mu to zakarbować w pamięci kazał na odchodnym wymierzyć kadiemu pięćdziesiąt uderzeń korbaczem, a po zakończeniu egzekucji powiedział:

— Teraz będziesz mógł napisać: „Stąd już bardzo blisko do stolicy".

O świcie Mustafa płacząc przybijał strzałę z obwieszczeniem: „Stąd już widać Istanbuł".

Ale jeszcze tego samego dnia jakiś wędrowny żebrak zastukał do okna kadiego pytając:

— Powiedz mi, mądry kadi, kto stąd widział stolicę?

Jęknął tedy Mustafa i rzekł:

— Pewien poganiacz wielbłądów zobaczył tu fata morganę.

— To napisz o tym — doradził żebrak i powlókł się dalej.

Odtąd obok źródła wisi strzałka głosząca:

„Stąd czasem widać miraże".

Wszyscy wiedzą, że z tamtego miejsca nikt nigdy nie widział fata morgany, a napis znaczy tyle co „Istanbuł 5.246 mil".

I jedynie cudzoziemcy słysząc o fenomenie tego drogowskazu — rozwodzą się nad kwiecistością języków Wschodu.

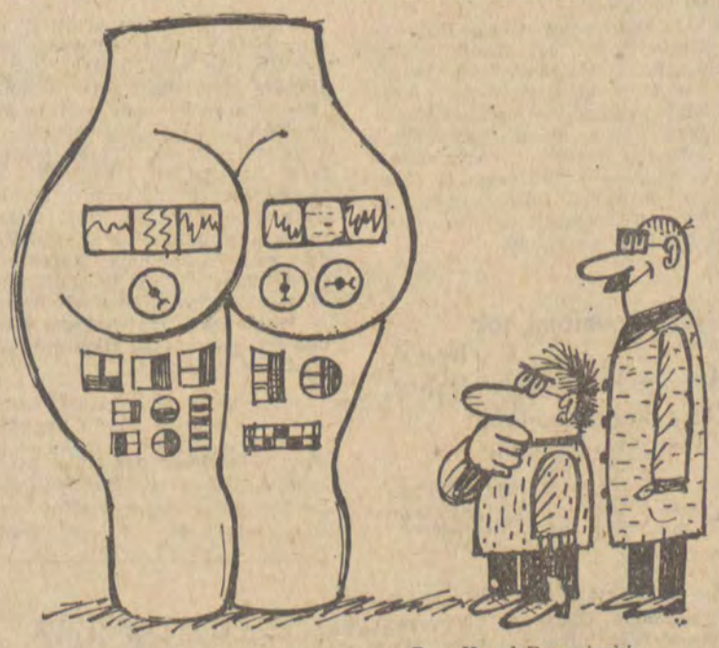

Rys. Karol Baraniecki

Mózg elektronowy?

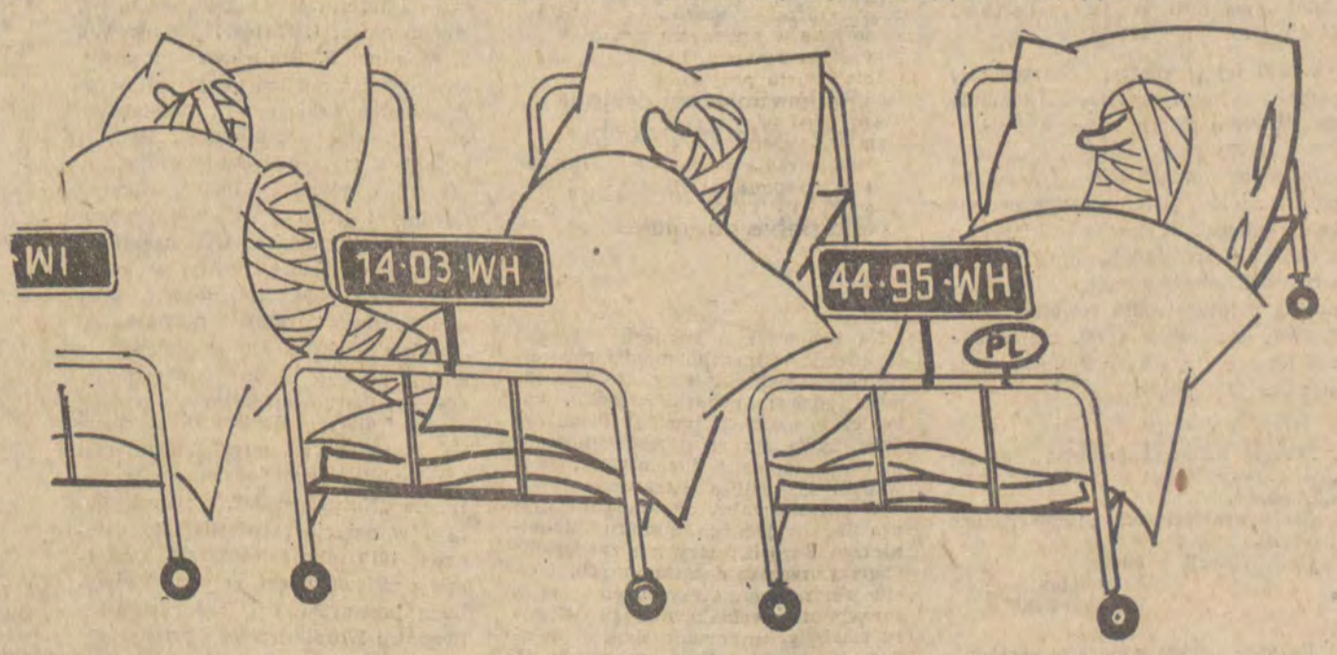

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski

LITERATURA PRZYJACIÓŁ

Mimo iż współpraca zaprzyjaźnionych miast Łodzi i Iwanowa ma już wieloletnią tradycję, właściwie po raz pierwszy mamy okazję zaprezentować Czytelnikowi „Odgłosów" utwory współczesnych pisarzy iwanowskich w tak szerokim wyborze. Nie znaczy to, oczywiście, że z nazwiskami prezentowanymi na tej kolumnie spotyka się nasz Czytelnik po raz pierwszy. Niektórzy z autorów dobrze znani są w Polsce, tym bardziej w naszym mieście, publikowaliśmy ich nie raz i my na naszych łamach.

Jest to zresztą cząstka materiałów nadesłanych nam z Iwanowa, toteż przy najbliższej, sprzyjającej sposobności dokonamy jeszcze jednej prezentacji naszych iwanowskich przyjaciół, podobnie zresztą jak oni u siebie, na łamach iwanowskiej prasy przedstawią radzieckim czytelnikom twórczość pisarzy zamieszkałych w Łodzi. Ta forma współpracy przyczyni się na pewno do jeszcze lepszego poznania współczesnej literatury radzieckiej i polskiej.

Warto przy okazji wspomnieć, że jeszcze w bieżącym roku ukaże się w Iwanowie obszerny tom zatytułowany „Braterstwo". Na książkę tę złożyły się utwory łódzkich pisarzy i dziennikarzy, przynosi ona stosunkowo pełny obraz współczesnej Łodzi, jej przeobrażeń gospodarczych i kulturalnych.

Wypada nam wreszcie podziękować Witalijowi Serdiukowi za pomoc w zebraniu materiałów do tej kolumny w Iwanowie.

K.F.

PAWEŁ KUPRIJANOWSKI

ZWRACAJĄC WZROK KU ŹRÓDŁOM

Literaturę radziecką można obrazowo porównać do szerokiej, przelewającej się rzeki, do której wpadają setki dużych i małych rzek, rzeczek i strumyków, i które również mają swoje źródło, swój początek.

Jedną z takich rzeczek, zasilających olbrzymią rzekę literatury radzieckiej jest Iwanowskie Stowarzyszenie Pisarzy. I dlatego właśnie jak najbardziej celowym jest zwrócić obecnie wzrok ku jego źródłom i przypomnieć jego tradycje.

Przede wszystkim należy wymienić jednego z prekursorów literatury radzieckiej, rdzennego iwanowca. **Dymitra Furmanowa** (1891—1926). Komisarz wspaniałej Czapajewskiej dywizji wszedł do historii literatury radzieckiej jako autor powieści: **„Czapajew"** (przełożonej na język polski przez J. Putramenta) i **„Bunt"**, oraz jako bojownik ideologii komunistycznej w sztuce. Pierwsze jego utwory były opublikowane w iwanowskiej prasie, a w okresie Rewolucji Październikowej i wojny domowej stale współpracował z miejscową gazetą „Robotniczy Kraj".

Wokół tej gazety, redagowanej przez wybitnego krytyka — komunistę, **A. Worońskiego**, zgrupował się w tym okresie krąg pisarzy i poetów, których działalność wybiegała daleko poza granice **Iwanowo-Wozniesieńskiej guberni.** Historycy literatury radzieckiej, opowiadając o pierwszych stronicach gazety cytują stale następującą notatkę wodza rewolucji **Wł. Lenina**, przeznaczoną dla bibliotekarza Kremla (notatka podyktowana 28 stycznia 1921 roku):

„Proszę odnaleźć komplet gazety „Robotniczy Kraj" w Iwanowo-Wozniesieńsku.
(Koło prawdziwych proletariackich poetów).
Gorki chwali Żiżin
Artamonow
Siemienowski"

Notatka Lenina podkreśla znaczenie roli, jaką odegrali pisarze-iwanowcy w pierwszym etapie kształtowania się nowej literatury i my, szczerze mówiąc, jesteśmy z tego powodu dumni.

Co reprezentował sobą krąg poetów przy gazecie **„Robotniczy Kraj"**? Jaka była ich twórczość? Oto, o czym będzie mowa dalej.

Wiadomo nam, że Wielki Październik uwolniwszy masy pracujące od jarzma wyzysku, wyzwolił w nim również twórczą energię, otworzył drogę w świat, do kultury i sztuki. To dźwignięcie się kultury, które przeżywał cały kraj, było widoczne szczególnie w Iwanowo-Wozniesieńsku.

Duży, przemysłowy ośrodek, centrum życia proletariatu, bogaty w tradycje rewolucyjne Iwanowo-Wozniesieńsk, był zapadłym miastem powiatu Szujskiego, guberni Władymirskiej. „Ojcowie miasta" — fabrykanci byli zainteresowani najmniej kulturalnym rozwojem robotników.

Od Rewolucji Październikowej sytuacja zmieniła się radykalnie. W Iwanowo-Wozniesieńsku, które stało się teraz centrum „Czerwonej guberni" pragnienie kultury i twórczości znajdowało zaspokojenie w różnorodnych formach. Działalność utworzonego przy gazecie **„Robotniczy Kraj"** kręgu poetów była najlepszym dowodem, że nastąpiła twórcza wiosna.

Iwan Żiżin pisał z zachwytem zwracając się ku rodzinnemu miastu:

„Berłem żelaznej dyktatury
Strząsnąłeś zwierza obraz marny
I na górach manufaktury
Dla siebie powołałeś Parnas."

Na iwanowskim Parnasie zebrali się przede wszystkim młodzi robotnicy, chłopi, byli żołnierze, czerwonoarmiści, „dzieci kucharki". Ogólnie koło liczyło około 25 poetów. Pisali oni dużo, żywo i z zainteresowaniem omawiali napisane już utwory, prowadzili dyskusje o literaturze.

W okresie wojny domowej nie było prawie ani jednego numeru **„Robotniczego Kraju"**, który nie zawierałby wierszy, utworów agitacyjnych, czastuszek, scenek satyrycznych napisanych przez członków kręgu. Utwory ich były drukowane obok opowiadań **A. Serafimowicza**, wierszy **D. Biednego, L. Kotomki, A. Bielozierowa, J. Karobowa** i innych proletariackich poetów. Ścisły związek z gazetą określał konkretną drogę dla twórczości poetów, była to droga służenia rewolucyjnemu narodowi. Gazeta, z kolei, dzięki wciągnięciu do współpracy wielu poetów, zyskała sobie dużą popularność. Już w końcu 1918 roku, jeden ze znanych partyjnych publicystów **M. Olmiński** pisał w **„Prawdzie"**, że **„Robotniczy Kraj"** jest jedną z lepszych gazet w kraju i inne gazety wiele mogą się od niej nauczyć.

„Produkcja" kręgu poetów szła nie tylko do gazety. Mimo papierowego kryzysu i chaosu panującego w drukarniach, poeci-iwanowcy zdołali wydać parę zbiorów literatury pięknej: **„Skrzydła wolności" (1919). „Czerwona ulica", „Snop" (1920), „Zamach", „Malownicze słowo" (1921), „Początek"** i inne. W niektórych wydaniach uczestniczyli moskiewscy poeci, tacy jak: **S. Jesienin, P. Orieszyn, S. Gorodecki** i inni. W ten sposób krąg poetów nie był odizolowany od „wielkiej literatury".

Pracę kręgu śledził z uwagą **M. Gorki**, który w czasie spotkań z **D. Siemienowskim** i w listach do niego żywo interesował się twórczością **M. Artamonowa, I. Żiżina, A. Barkowej, S. Siemina, F. Dmitrjewa** i prosił, aby przesłać mu ich utwory. Wiersze **D. Siemienowskiego i N. Kołokowa** pisarz wysłał **A. Błokowi**, który o to prosił. O poetów-iwanowców troszczył się również Ludowy Komitet Oświaty i jeden z najwybitniejszych krytyków literackich **A. Łunaczarski.** Przy jego pomocy poszły w świat tomy wierszy **M. Artamonowa „Ziemia rodzinna" (1919).** i **A. Barkowej „Kobieta" (1922).** Do ostatniego z nich krytyk napisał przedmowę. (Książka Barkowej otrzymała wysoką ocenę **Walerego Briusowa**). O zbiorku **„Skrzydła wolności" Łunaczarski** przychylnie wypowiedział się w artykule **„Nowa poezja"**, wydrukowanym w gazecie **„Izwiestia"**. 27 listopada 1919 roku **Łunaczarski** stwierdził z zadowoleniem, że wraz z rewolucją przemysłowy i niemuzykalny Iwanowo-Wozniesieńsk przekształci się w swojego rodzaju „poetyckie Ateny". Z jego również inicjatywy **Ludowy Komitet Oświaty** republiki postanowił w 1921 roku przekazać poetom iwanowskim dziesięć dodatkowych racji żywnościowych.

W tym okresie w listach **Gorkiego** do **Siemienowskiego** i **Łunaczarskiego** do **Barkowej** były omawiane bardzo istotne problemy sztuki socjalistycznej. **Gorki** podkreślał, że niezbędne jest przyswojenie spuścizny klasycyzmu, wskazywał, że „należy wziąć z przeszłości wszystko co jest w niej najlepsze i najpiękniejsze". Słowa te brzmiały jako trzeźwe ostrzeżenie młodych poetów przed nihilizmem w stosunku do sztuki przeszłości, który przepowiadali teoretycy proletkultu. **Łunaczarski** zaś w swoich listach poruszał problemy tradycji i nowatorstwa mistrzowskiego kunsztu, występował zdecydowanie przeciwko próżnym formalistycznym ćwiczeniom. Rady **Gorkiego i Łunaczarskiego** miały wpływ na dorobek nie tylko tych, do których były adresowane, ale i innych członków kręgu, co wpłynęło korzystnie na ich twórczość.

Twórczość poetów iwanowskich, oczywiście, nie była wolna od pewnych błędów i strat. Ale była im obca teoria proletkultu o proletariackiej literaturze rozwijającej się w oderwaniu od spuścizny klasycyzmu, tworzonej wyłącznie przez proletariat dla proletariatu. Ich poetyckie poszukiwania pozbawione były cech kosmopolityzmu, abstrakcyjności, retorycznego opiewania symboli pracy. W centrum ich uwagi stał człowiek ze swymi ziemskimi radościami, uczuciami i przeżyciami. W lepszych utworach poetów-iwanowców znalazł swój wyraz szczery, rewolucyjny patos, miłość do odnowionej radzieckiej ojczyzny, zbliżenie do przyrody, twórczości ludowej i naturalne zjednoczenie się świata wiejskiego ze światem miejskim.

Na ostatnią z wymienionych cech, która charakteryzowała twórczość poetów-iwanowców zwrócił uwagę A. Woroński w artykule „Pieśni robotniczego północnego kraju", opublikowanym w 1921 roku w czasopiśmie **„Czerwona Nowina".** Przyczynę zjednoczenia się obu światów autor upatrywał w specyfice życia iwanowskich tkaczy, którzy w bardzo wielu wypadkach nie zerwali więzi ze wsią. Pisał on o kręgu poetów-iwanowców, których znał dobrze jeszcze z okresu wspólnej pracy w gazecie **„Robotniczy Kraj".**

„Jest to poetycki wyłęg wykarmiony przez pola, robotniczą okolicę, fabryczny zgiełk. Fakt godny uwagi, o którym powinna pamiętać cała myśląca radziecka Rosja.

Świadczy on bowiem jeszcze raz o tym, że w naszym narodzie, w jego głębinach, znajdują się olbrzymie duchowe bogactwa i nasze nadzieje na to, by zmienić literaturę starych klas panujących, masy pracujące mogą wydźwignąć swoich poetów, powieściopisarzy, artystów nie są bezpodstawne..."

Najbardziej utalentowanymi i doświadczonymi poetami w kręgu byli ci, o których wspomniał w swoich notatkach Lenin: **Żiżin, Artamonow, Siemienowski.** Twórczość ich rozpoczęła się jeszcze przed Rewolucją Październikową.

Michał Artamonow (1888—1958) — poeta, który przeszedł szkołę przedrewolucyjnej **„Prawdy".** Jak twierdził **Siemienowski**, był on duszą kręgu poetów, „głównym organizatorem iwanowskich literackich zaczątków". W swoich wierszach Artamonow szeroko zwracał się ku tematyce fabrycznej, obrazom folklorystycznym, liryce bytowej; panuje w nich pieśniarsko-ludowy początek:

„Nad deseniami, tak bywało,
Harmonii wezwanie słychać.
Oczy płoną zapałem:
No, spróbujcie mnie schwytać."
(„Osada")

Iwan Żiżin (1892—1933) — autor zbiorku „Moje" (1922), w utworach swoich wyraża silną wiarę w przezwyciężenie przez rewolucyjny naród wszystkich przeszkód — głodu, wojny i zawieruchy; pokazał on jak w ojczystym kraju z biegiem czasu podniosą się „stropy powszechnej kuźni pracy" i wzywał:

„Idźcie ku nam, w kim dojrzała siła
I wola do twórczości jest twarda".

Wiersze **Żiżina** wyróżniały się śmiałym rysunkiem obrazów i miarowością rytmu. Poza tym, traciły one trochę na zbyt dużej pompatyczności i sztuczności.

Poetycki głos **Dymitra Siemienowskiego** (1894—1960) wyróżniał się głębokim wewnętrznym liryzmem. Nie była mu obca nawołująca i oratorska intonacja, jak np. w wierszu **„Nigdy"** (1918), napisanym w okresie, kiedy to młodej Republice Radzieckiej groził ujarzmieniem niemiecki imperializm:

„Wierz gwieździe
zmartwychwstałego narodu.
Nie do pomyślenia
cudzoziemski ucisk.
Kto choć raz pokosztował miodu,
Nie zamieni miodu na piołun,
Kto raz zetknął się ze swobodą,
Nigdy nie pójdzie do niewoli."

W jego wierszach słyszy się pragnienie szczęścia dla świata i wolnego człowieka.

Już w pierwszych latach rewolucji twórczość **Siemianowskiego** była przyjmowana jako najbardziej znacząca w poezji iwanowców. O wierszach jego wypowiadał się przychylnie **Błok, Gorki, Majakowski, Furmanow. Siemienowski** wyrósł na wybitnego radzieckiego poetę-liryka.

Aktywny udział w działalności kręgu poetów przy gazecie **„Robotniczy Kraj"** brał weteran poezji proletariackiej — **Awenir Nozdrin** (1862—1938), z wykształcenia grawer, rewolucjonista, przewodniczący Rady Delegatów robotniczych w Iwanowo-Wozniesieńsku w okresie rewolucji 1905 roku.

Należy także wspomnieć o jednym z najstarszych poetów, związanych z ruchem rewolucyjnym i prasą robotniczą — **Wasylu Smirnowie,** który skłaniał się ku liryce publicystycznej.

Sporo ciekawych i oryginalnych wierszy wydała w tym czasie poetycka młodzież, która wchodziła w skład kręgu: komsomolski robotnik **S. Ogórcow,** czerwonoarmista **J. Wichriew,** komsomolec **N. Smirnow** i inni. W twórczości ich odbijają się odgłosy tej niespokojnej i pięknej epoki, kiedy obalony został stary świat i wśród ostrych walk rodził się nowy świat, dotąd niewiadomy. Każdy z członków mógłby podpisać się pod wierszami swojego towarzysza-pastucha, towarzysza broni, przedwcześnie zmarłego, utalentowanego poety **S. Siemina,** który zwracając się do żyjących współcześnie i przyszłych pokoleń pisał:

„Czujcie, płońcie, żyjcie
W imię szczęścia, miłości,
Kochając, płonąc — tworzycie
Bądźcie siewcami nowego życia."

Zasiane w nowym kraju życie dało w dzisiejszych czasach wspaniałe plony. W imię właśnie tych przyszłych plonów żyli i tworzyli członkowie **„kręgu prawdziwych poetów proletariackich".**

Na zakończenie trzeba powiedzieć, że w następnych etapach swojej działalności organizacja spopularyzowała wiele nazwisk, które stały się znane i notowane w literaturze radzieckiej. Wymieńmy laureatów Nagrody Państwowej: **W. Połtorackiego, M. Dudina,** prozaików: **W. Smirnowa, A. Wasilijewa, M. Szoszina, M. Koczniewa** i poetów: **A. Błagowa, A. Liebiediewa, Majorowa.**

Przełożyła:
BARBARA JACHOWICZ

P. Kuprijanowski, krytyk, członek Związku Pisarzy ZSRR, doktor nauk filologicznych, profesor Iwanowskiego państwowego uniwersytetu.

NIKOŁAJ GRACZEW

OŚWIĘCIM

(fragmenty)

1. Cygańska rapsodia

Wędrowali po Mołdawii
Weselący się Cyganie
W pewien dzień w czterdziestym pierwszym
Wpadli w szpony czarnych wron.

Do transportu ich wepchnięto
Między ludzi z obcych stron;
Za kratami — baby, dzieci...
A drogę kończył Oświęcim.

Podszedł do Cyganów tłumacz:
— Żeby jechać lepiej było
Teraz pójdziecie do łaźni,
My wam teraz damy mydło;

My przywykliśmy w strumieniu
Przy księżycu kąpać się.
Ciężko śmierdzą dymy z pieców...
— Noże w garść!... Rżnijmy ich, ech!

Bój śmiertelny — w zaciekłości
Jak w płomieniach tabor sczezł.
Na peronie — krwi kałuże.
Automaty. Szczeka pies...

Noże ostrzejsze od brzytwy
Uśpiły trzech esesmanów;
Lecz niedługo trwała bitwa —
Poległ tabor pod kulami.

Przełożył: GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

LARYSA SZCZAŚNAJA

☆ ★ ☆

My, ludzie, sobie przypisani
Kochaniem, wrogością i krwią,
Jak pole, pługiem przeorane
I miedzą rozdzielone wciąż.

Lecz niech z chmur ciężki grad uderzy
Na łany zbóż lnianozłote —
Po obu stronach każdej miedzy
Do ziemi kłosy lgną pokotem.

Przełożył: IRENEUSZ DOMIENIK

ALEKSANDER CHROMOW

SALOMEA

Przemarzł dzwon. Czerwona od mrozu jest miedź,
A ziemia biała od śniegu,
jak śmierć.
Biały szron,
Biały wiatr,
głusza bliżej.
Salomeę zamykają w monastyrze.
Jak kruk metropolita za kratą,
groźny,
gdy różową połyskuje szatą.
A za Suzdalem
są wąwozy.
Daleko
Paruje białe śniegu mleko.
Wilki tylko nocami chodzą w ciemnym jarze.
Rodzisz się, zbyt późno, Kudziejarze*).
W pustym monastyrze
życie
jak wosk taje.
Znowu konie poderwały śniegi na rozstajach.
Konie wdychają świt.
A obłoki
Spadają pianą na zapadłe boki.
Konie wyrwały się nagle, jak spod ziemi.
Do Suzdala nową mniszkę przywieźli.

Przełożyli:
KONRAD FREJDLICH I WASYL KOCZNOW

*) Kudziejar — postać głośnego rozbójnika z rosyjskich bylin

ANATOLIJ ILICZEW

GWARDZIŚCI

Wyzwolicielom Krakowa, radzieckim gwardzistom: Bakłanowowi, Pietochowi, Riebkinowi, Rogowowi, Sidorowowi — wszystkim, którzy zginęli wyzwalając miasto spod niemieckiej okupacji

Zawiewa wiatr i mrozem rani
A rozkaz jeszcze nie wydany
Więc pluton trwa w oczekiwaniu
Zamieci kłębią się tumany.

Wokoło biel i w sercu drżenie
a ukochanej twarz w pamięci.
I chwili błysk i śmierci tchnienie,
Saperska stal o piasek chrzęści.

Nasi w ostatni bój pobiegną
i śnieg się kłębić nie przestanie
Nagle z Kościoła Mariackiego
Hejnał się rozległ jak wezwanie.

Skoczył Bakłanow — w śmierć nie wierzy
Więc pobiegł na spotkanie kulom
I w walce wręcz zadrżały wierzby
Gwardzista śmierci się nie uląkł.

Przełożył: JERZY KONRAD

MIKOŁAJ GOWORKOW

SPOTKANIE Z POLSKĄ DZIEWCZYNĄ

Idąc brzegiem Wisły spytałem dziewczyny
Dokąd tak płyną rzeką białe mgielne dymy?

A skąd u was — odparła — tacy twardzi ludzie
i skąd zimy zaklęte w mrozu białej grudzie?

Zapaliliśmy skręta grzejąc sobie ręce,
Cóż miałem odpowiedzieć pytaniom dziewczęcym...

Tak, my, ludzie twardzi na wojnę i mrozy
zostawiliśmy w bojach nadwołżańskie brzozy.

Żołnierskim szlakiem szliśmy wierni karabinom,
żeby skręta przyjaźni wypalić z dziewczyną.

Dostałem bukiet kwiatów z nadwiślańskich łąk
i uścisk najszczerszy twych dziewczęcych rąk.

Przełożył: JERZY WILMAŃSKI

Foto: Archiwum

WITALIJ SERDIUK

STARA ZABAWKA CHOINKOWA

Strzelby spoczywały w dużej skrzyni. Lufami zwrócone w lewo. Ich lakierowane łożyska połyskiwały jak cielska wędzonych ryb. Sprzedawczyni za ladą przyjmowała czeki i podawała kupującym zabawki. Niekiedy zaczepiała boleśnie nogą o kant skrzyni i wzdychała mówiąc koleżance:

— Wszystkie pończochy podarłam.

Synek siedział na rękach ojca i wytrzeszczał oczy na bajeczny świat za kontuarem. Czegóż tam nie było.

— Co? Napatrzyłeś się. Lokomotywę masz, samochody... wszystkie... choinkowe bombki i łańcuchy.

— Strzelba — powiedział malec. — Kup mi strzelbę.

— Tylko tego brakowało. Idziemy.

— Kup mi — naprzykrzał się syn wymachując nogami. — Chcę strzelbę.

— No, dobrze — powiedział ojciec — ale umówmy się. Nie będziesz z tej sztuki mierzył do zabawek na choince.

Ze sklepu do domu malec niósł fuzję przewieszoną przez ramię. Niekiedy zdejmował ją i z lubością oglądał.

— Tata, czy kiedy śpię, zabawki także śpią?

Problem był, bez wątpienia, poważny.

— Oczywiście. Kiedy śpisz, śpi cały świat.

— I strzelby?

— I strzelby.

— A zegary?

— No, może wyjątkiem są zegary... Gdyby zegary spały, wiecznie byłbyś maleńki.

— Coś takiego?

— Właśnie tak. Trzeba czasu, abyś urósł.

W domu, rozebrawszy się, syn rzekł:

— Chodźmy pobawić się w wojnę. Ale ja będę czerwonoarmiejcem.

Ojciec nie zdradzał ochoty do wojaczki, ale pomyślał: „Strzelby sprzedaje się do zabawy w wojnę".

Synek schował się za szafę, a kiedy ojciec, rozglądając się, podszedł ku szafie, rozległ się „wystrzał".

— Ta! ta! ta! Co z tobą? Przewróć się.

Ojciec niezgrabnie zwalił się na podłogę.

— Zabity! — zawołał syn, wymachując bronią. — Hurra! Martwy!

— Martwy! — gorzko uśmiechnął się ojciec i powstał otrzepując się.

Przez cały dzień był dziwnie nachmurzony i już nie chciał bawić się w wojnę. Wieczorem, gdy dziecko słodko spało w swym łóżku, ojciec długo jeszcze czuwał w półmroku. Potem podniósł się i włączył lampki na choince. Tajemniczo rozbłysnęły szklane kulki, smutno bieliły się kartonowe zajączki i rybki. Wyciągnął rękę i rozkołysał konika o trzech nogach. Była to bardzo stara zabawka choinkowa. Miała bardzo wiele lat. Niegdyś była wspaniałym konikiem o złocistym odcieniu, który miał nie trzy nogi, lecz cztery, jak każdy normalny koń. Tę zabawkę kupił mu jeszcze jego ojciec, zanim zaczęła się prawdziwa wojna.

W każdy Nowy Rok wyciągało się ją z pudełka na zabawki i zawieszało na poczesnym miejscu na choince.

Z choinki niósł się przyjemny zapach.

Ojciec zatrzymał rozchwianego konika na nitce i siadł w fotelu. Przeniósł spojrzenie na strzelbę zawieszoną na poręczy krzesła.

„Strzelba śpi — przypomniał sobie. — Byle jak najdłużej".

Spokojnie tykały mechanizmy w zegarze z kukułką. Synek rósł...

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

ETYKA I TECHNIKA

W relacji wrażeń z filmu „Płonący wieżowiec" trudno będzie mi sprostać pasji apologety tego gatunku filmowego, to znaczy, oczywiście, Zygmunta Kałużyńskiego. Dzięki jego prasowym i telewizyjnym wypowiedziom (?) wiemy już niemal wszystko o tzw. nurcie katastroficznym we współczesnym kinie. Zygmunt Kałużyński i inni znawcy przedmiotu twierdzą, że idea wielkiej katastrofy i poczucie zagrożenia zjawia się zawsze w czasach kryzysów ekonomicznych i społecznych, w chwilach utraty wiary w sprawność i pewność organizacji życia określonego danym stopniem rozwoju cywilizacji.

Fala filmów katastroficznych, która przelewa się przez ekrany zachodnich kin i z kolei na fali mody trafia do nas, ma być właśnie najnowszym wyrazem tych nastrojów społeczeństw Zachodu. Konstatacjom tym towarzyszy, w większości przypadków, również przekonanie o tym, że uczestnictwo w seansach filmowych niosących obrazy najrozmaitszego gatunku katastrof przynosi rozładowanie tych nastrojów. Docierające do nas wiadomości o najnowszej hollywoodzkiej produkcji świadczą jednak, że cena strachu stale wzrasta i nurt katastroficzny poszerza swe obszary penetracji. Nie wystarcza już ziemskich żywiołów i w Hollywood powstaje nowa seria filmów, które obecny nurt katastroficzny łączy z gatunkiem science-fiction. Takie filmy realizuje m. in. Steven Spielberg, autor „Szczęk". Nie ma się zatem co łudzić, że realizacji filmów katastroficznych towarzyszy w pierwszym rzędzie idea społecznej terapii. Jeśli nawet coś w tym jest, to w całej tej historii trafiono przede wszystkim na nową żyłę złota. Bezsporną chyba prawdą w tym wszystkim jest jednak także to, że publiczność, w tym także nasza publiczność, znajduje wiele atrakcji i emocji w filmach spod znaku takiej czy innej katastrofy. I może lepiej nie potwierdzonych diagnoz natury społeczno-terapeutycznej na wyrost nie stawiać, a po prostu chodzić do kina, jeśli lubi się filmy mocnych wrażeń.

Polityka repertuarowa ostatniego czasu pozwala nam oglądać poniektóre filmy z tych, które uważa się w świecie za najbardziej kasowe. Tak więc na przykład z nurtu grozy i z nurtu katastroficznego oglądaliśmy m. in. „Szczęki", „Tragedię „Posejdona", „Trzęsienie ziemi" i „Płonący wieżowiec". Pisząc te słowa z grupy tych filmów podoba się najbardziej właśnie ten ostatni i nie tylko ze względu na udział Paula Newmana i Steve'a McQueena. „Płonący, wieżowiec", zrealizowany przez reżysera Johna Guillermina przy współpracy specjalisty od efektów specjalnych Irwina Allena, odznacza się, w mym przekonaniu, nie tylko najlepszą realizacją, ale niesie z sobą pewne wartości moralne, które w kontekście ukazywanych w filmie wydarzeń stają się jego walorem szczególnie istotnym.

„Płonący wieżowiec" metodami przystającymi do gatunku, który film ten reprezentuje, mówi o swoistej etyce techniki, o odpowiedzialności moralnej tych, którzy realizują wymaganie współczesnej techniki i technologii. Wizja katastrofy, obrazy żywiołu, który ogarnął gigantyczny wieżowiec, są ostrzeżeniem przed zbrodnią, jaką jest sprzeniewierzenie się zasadom, które dyktuje supercywilizacja techniczna. Ona to, stworzona przez człowieka, wymaga dziś od niego określonej postawy moralnej. Każda niedokładność wynikająca z bałaganiarstwa, każda nieprzemyślana oszczędność, nie mówiąc już o czystym złodziejstwie, prowadzić może do nieszczęścia, straszliwej katastrofy, do zbrodni. Są to problemy, które nie tylko w 138-piętrowym wieżowcu ujawnić się mogą.

Ale tak naprawdę, to „Płonący wieżowiec" wcale nie jest nosicielem idei katastrofizmu, jest filmem niosącym pewne ostrzeżenie, lecz jednocześnie filmem programowo optymistycznym. Nie stara się podważyć wiary widza we wspaniałość i dobrodziejstwo techniki, stara się jedynie zwrócić uwagę na swoisty porządek moralny, który nią rządzi oraz na owe moralne wymogi, jakie przed swymi twórcami stawia.

Refleksje te są oczywiście przedstawione w tym filmie w kategoriach dość potocznych, może nawet często naiwnych, sądzę jednak, że swą określoną funkcję pełnią. Tym bardziej że sugestywność obrazów żywiołu swoje czyni także, że ogień pełni w tym filmie funkcję karzącej sprawiedliwości. Przy tym jednak człowiek myślący i człowiek odważny nie przegrywa: w sytuacji zdawałoby się ostatecznie beznadziejnej sięgnie po drugi żywioł, który po części zdołał już ujarzmić i woda opanuje ogień. Reszta pozostaje już w rękach człowieka, jeśli ten potrafi wyciągnąć wnioski ze swych błędów.

O cudach techniki filmowej, sprawnościach realizatorskich, walkach fabularnych, znakomitościach aktorskich i emocjach sensacyjnych „Płonącego wieżowca" pisać już nie będę. To po prostu trzeba samemu przeżyć i na tle wszystkich dotąd nam pokazanych filmów tego nurtu, można powiedzieć, że warto to przeżyć.

EWA NURCZYŃSKA

HISTORIA MICHELANGELO ANTONIONIEGO I MONIKI VITTI

Dalszy ciąg ze str. 1

przybliżeniu ów tajemniczy, niepokojący urok promieniujący z osobowości antonioniowskich kobiet granych przez Monikę Vitti.

Razem z nią narodziło się pojęcie „antygwiazdy". Stała się jedną z pierwszych, jeżeli nie pierwszą bohaterką prozy pisanej kamerą, uformowaną z czysto filmowej materii. W antonioniowskiej tetralogii (**„Przygoda", „Noc", „Zaćmienie", „Czerwona pustynia"**) po raz pierwszy bodaj w dziejach kina fizyczna uroda aktorki nie jest rzeczą samą w sobie, modelem, nośnikiem sex-appealu, ale funkcją osobowości, emanacją życia, sposobem przekazu treści wewnętrznych postaci, jednocześnie zaś manifestacją lirycznego stosunku narratora ukrytego za pozornie chłodnym okiem obiektywu.

Historia Michelangelo Antonioniego i Moniki Vitti przywodzi na myśl mityczną przypowieść o Pigmalionie i Galatei, o przepełnionym miłością artyście i uformowanej przezeń idealnej kobiecie. Antonioni przeistoczył Monikę z nieładnej i obciążonej kompleksami dziewczyny w fascynującą ekranową piękność. Poprzez odpowiednio dobrany sposób fotografowania i komponowania kadru odkrył i uwydatnił niezwykłą ekspresywność jej oczu, ust, włosów, ekspresywność jej chodu. Dzięki filmowym środkom wyrazu uroda Moniki nabrała iście magnetycznej siły oddziaływania.

Ale zawdzięczała mu nie tylko urodę, ofiarował jej także duszę.

„Urodziłem się i wychowałem wśród kobiet — oświadczył kiedyś w jednej z wypowiedzi. — Rozumiem wady i zalety mężczyzn, moje własne i moich znajomych, ale znacznie lepiej i głębiej rozumiem kobiety. I być może dlatego kocham je tak bardzo".

Uczynił z Moniki ucieleśnienie swego ideału kobiety istotę wrażliwą zmysłowo i duchowo. Istotę, która chłonie świat zewnętrzny i potrafi żyć pełnią doznań, która dąży do absolutu, absolutu w miłości, w odczuwaniu ludzi i rzeczy, w poszukiwaniu prawdy o sobie i innych. Potrafi zachować psychiczną i moralną niezależność. Stojąc na uboczu życia zbiorowego w znacznie mniejszym niż mężczyzna stopniu ulega „naciskom" społecznym. Przyjmuje rolę świadomego obserwatora. Woli rozumieć, kontemplować niż działać. Bajka o szczęśliwej wyspie, opowiedziana synkowi przez Giulianę z **„Czerwonej pustyni"** najpełniej chyba wyraża ów ideał życia kontemplacyjnego, przeciwstawiony bezsensownej, gorączkowej aktywności w pogoni za pieniądzem, zakłócającej — w odczuciu Antonioniego — wewnętrzny rytm ludzkiej egzystencji, uniemożliwiającej autorealizację jednostki.

Intelektualno-estetyczny dystans w stosunku do rzeczywistości, tak znamienny dla bohaterek granych przez Monikę Vitti, nie zmienia faktu, że głównym sensem istnienia kobiety jest pragnienie miłości totalnej, nie podlegającej władzy czasu ani przyzwyczajenia. Ale to pragnienie pozostaje niezaspokojone. Zasadniczym tematem tetralogii jest nieprzystawalność świata uczuciowego kobiety i mężczyzny. Stanowi ona podstawową przyczynę, dla której mężczyzna nie jest w stanie zadość uczynić potrzebom kobiecego serca. Nie jedyną wszakże. Antonioni-moralista w potędze pieniądza, w ideologii społeczeństwa konsumpcyjnego widzi siłę destrukcyjną niweczącą zdolność do autentycznego uczucia. Kobiecy sen o miłości jako o jedynej trwałej zasadzie rzeczy nie może się ziścić. Pozostaje zgodzić się na kompromis — przystosować się, zobojętnieć.

Niemożność miłości jest wszakże w oczach Antonioniego — romantyka równoznaczna z wyrokiem potępienia wydanym na współczesną cywilizację. Wybujały erotyzm, pogoń za seksualną przygodą staje się — zdaniem reżysera — świadectwem głębokiego kryzysu uczuć. Romantyczna postawa, którą szczególnie silnie odsłonił jeszcze w **„Krzyku"**, zbliża Antonioniego, piewcę twistujących lat 60-tych, do twórczości Francisa Scotta Fitzgeralda, piewcy „tańczących lat dwudziestych". Bohater **„Krzyku"** swą bezkompromisową wiernością uczuciu przypominał Jaya Gatsby'ego z powieści Fitzgeralda. W tetralogi odnaleźć można kilka motywów charakterystycznych dla sposobu widzenia amerykańskiego pisarza: rysunek i „styl" bycia środowiska burżuazyjnego, niszczący wpływ kultu pieniądza, brak istotnego porozumienia między partnerami uczuciowego związku, rozpaczliwe poszukiwanie ładu moralnego. Nieprzypadkowo zapewne wśród rzeczy, pozostawionych przez Annę z **„Przygody"**, leży powieść Fitzgeralda „Czuła jest noc".

Dla amerykańskiego pisarza nosicielem postawy romantycznej — zgodnie z tradycją — pozostaje mężczyzna, dla autora tetralogii — kobieta. W osobach czterech kobiet: Claudii, Valentiny, Vittorii i Giuliany ukazał jakby rozmaite warianty postawy romantycznej we współczesnym świecie, a zarazem kolejne etapy jej klęski. W Claudii dominuje młodzieńcza żarliwość oczekiwania, wiara w możliwość absolutnego spełnienia, prostolinijność i uczuciowość. Valentina to Claudia, która ma już za sobą pierwszą „przygodę". Mimo swej młodości, przekroczyła „smugę cienia", posiadła świadomość i właśnie owa świadomość określa jej postępowanie. Valentina maskuje swą wrażliwość, żongluje pozorami, wbrew wszystkiemu bowiem nie traci jeszcze nadziei. Vittoria reprezentuje dojrzałość, wybujały indywidualizm. Nie marzy, nie wyczekuje, dokonuje wyboru. Jest maksymalistką. Jeżeli nie można mieć wszystkiego, należy zdecydować się na samotność. Jeżeli nie można znaleźć spełnienia w miłości, należy z niej po prostu świadomie zrezygnować. „Rezygnacja oznacza obojętność, obojętność oznacza śmierć" — pisał ongiś Albert Camus, ulubiony pisarz włoskiego reżysera. W osobowości Giuliany na plan pierwszy wysuwa się obsesja śmierci. Dla niej istnieje alternatywa „nic albo nic". Nie sposób bowiem żyć bez miłości. Reakcją na brak autentycznej więzi z otaczającym światem, z drugim człowiekiem staje się nerwica. Tak więc gwałtowny, nienasycony głód miłości pojmowanej jako aktywna siła życiowa, zdolna określić sens jednostkowej egzystencji, determinuje los i postawy kreowanych przez Monikę Vitti kobiet antonioniowskiej tetralogii. Ich dramat rozgrywa się w dwóch płaszczyznach — psychologicznej oraz filozoficznej.

Stwarzając Galateę Pigmalion może jej ofiarować urodę ciała i piękno duszy, nie może jej jednak dać wolności. „Kino według Antonioniego" stanowi absolutną domenę reżysera. Aktor jest tylko instrumentem całkowicie podporządkowanym jego nadrzędnej woli, materiałem plastycznym o swoistych właściwościach. Reżyser wykorzystuje instynkt aktora, jego impulsy, nigdy zaś jego umysłowość. Całościowa koncepcja roli realizuje się niejako poza świadomym udziałem aktora.

„Gdyby było prawdą — powiada włoski reżyser — że aktor powinien rozumieć, najlepszym aktorem byłby aktor najinteligentniejszy, a wiadomo, że tak nie jest... Nie zdradzam aktorom moich zamiarów, ponieważ mogłyby stać się czymś w rodzaju konia trojańskiego w twierdzy należącej wyłącznie do mnie. Wiem czego od nich oczekuję i wiem również czy to, co oni mi dają, jest dobre lub złe. Tylko ja dysponuję właściwymi kryteriami oceny, bowiem aktor jest dla mnie elementem określonego obrazu, podobnie jak ściana, drzewo, chmura. Grę aktora modyfikuje charakter obrazu... Ta sama kwestia, wypowiedziana przy zastosowaniu innego ustawienia kamery, zmienia sens. I ocenić to może jedynie reżyser, który „widzi" kadr, nie zaś aktor. Podobnie rzecz ma się z intonacją wypowiadanych słów, które zanim zaczynają coś znaczyć, są przede wszystkim dźwiękiem, cząstką rzeczywistości dźwiękowej obrazu, o której aktor w momencie gry nie ma zielonego pojęcia..."

Uczyniwszy z niej fascynujące zjawisko ekranowe, kobietę o niepospolitej indywidualności, Antonioni nie pozostawił aktorce żadnych złudzeń. Była instrumentem w jego ręku, medium jego wizji, tworem jego imaginacji. Ufna w swoją siłę Galatea zbuntowała się tedy przeciw Pigmalionowi. Rozpoczęła błyskotliwą karierę komediowej gwiazdy, grając role kobiet nieskomplikowanych, kipiących temperamentem i radością. Konsekwentnie i jakby z determinacją unikała reżyserów i ról, które mogłyby w najmniejszym choćby stopniu kojarzyć się z jej niegdysiejszym wcieleniem. Zdobyła ogromną popularność, zwłaszcza u rodzimej publiczności. Typ, jaki stworzyła, znakomicie mieścił się w ukształtowanych przez lata konwencjach włoskiego kina komercjalnego. Mocą dziwacznego paradoksu aktorka pragnąca wyzwolić się spod tyranii reżysera, pragnąca ocalić własną osobowość, znalazła się na pozycjach filmowego konformizmu. Występowała w miernych a nawet złych filmach, schlebiając nie zawsze wybrednym gustom masowego widza. Wyjąwszy znaczące kreacje w „Modesty Blaise" Josepha Loseya, „Dziewczynie z pistoletem" Mario Monicellego i „Dramacie zazdrości" Ettore Scoli, nie udało jej się przekroczyć miary sprawnego rzemiosła.

„Monika Vitti — pisze w „Encyklopedii kina" Roger Boussinot — stanowi szczególny acz nieodosobniony przypadek aktorki, która naprawdę odpowiada światu jednego tylko reżysera... Od czasu, gdy gra u innych ludzi, budzi rozczarowanie i wydaje się niemal banalna".

Zbuntowana Galatea odzyskała wprawdzie wolność, wybrała własną drogę, bardziej zgodną z jej naturą i temperamentem — jak twierdzi — zdobyła sławę i pieniądze, ale w ostatecznym rezultacie — jako artystka i jako kobieta — pozbawiona nagle niezwykłości i magicznego czaru, po prostu jedna z wielu, poniosła klęskę.

Po jej odejściu odmienił się także charakter twórczości Antonioniego. Przestał robić filmy o kobietach — jak gdyby tę nutę wygrał w swym dziele do końca.

Monika Vitti należy do aktorek, których życie nie stało się własnością publiczną i nie przeobraziło się w legendę. Nazwisko jej nie zdobiło kolumn kolorowych magazynów wyspecjalizowanych w opiewaniu żywotów gwiazd. Nie była heroiną głośnych skandali ani słynnych romansów. Nie lansowała nowej mody. Wiadomości o jej życiu i upodobaniach są nader skąpe.

Naprawdę nazywa się Maria Luisa Ceciarelli, a Monika Vitti to pseudonim artystyczny. Urodziła się 3 listopada 1931 roku w Rzymie. Przyszła na świat w „dobrej" mieszczańskiej rodzinie przywiązanej do tradycji i konwenansów. Przesiąkła wpływami zarówno Południa jak i Północy Włoch. Wprawdzie wychowywała się w Mediolanie, część dzieciństwa spędziła na Sycylii, w Messynie. Na drogę „powołania" artystycznego pchnął ją ponoć sukces, jaki odniosła — mając lat 15 — w amatorskim przedstawieniu komedii Niccodemiego „Nieprzyjaciółka". W oczach „przyzwoitej" rodziny wybór aktorskiej profesji miał posmak skandaliczny. Dla Marii Luizy zaś stanowiło to prawdopodobnie dodatkową atrakcję. Jak na rzymiankę z „dobrego" domu, odznaczała się usposobieniem niezależnym i buntowniczym. Była ambitna i chciała żyć inaczej niż kobiety ze środowiska, w którym wyrosła. Typowy dla włoskiego obyczaju wzorzec cnót kobiecych budził w niej spontaniczny i głęboki sprzeciw. Życie cyganerii artystyczno-intelektualnej pociągało natomiast niezmiernie. Wydawało się — złudzeniu temu chętnie ulegają mieszczańscy buntownicy — oazą prawdziwej wolności. Jako programowa nonkonformistka nienawidziła wszelkich ograniczeń. Chciała być sobą — choć nie bardzo zapewne rozumiała co to znaczy — i decydować o własnym losie. Na przekór rodzinie zatem wstąpiła do rzymskiej Akademii Sztuki Dramatycznej, którą ukończyła w 1953 roku.

W trakcie studiów wojowała heroicznie z konserwatyzmem profesorów i przestarzałymi sposobami pojmowania sztuki aktorskiej. „Walczyłam z zaciekłym uporem o zachowanie własnej indywidualności. Broniłam nawet własnych wad, wcale nie przez brak samokrytycyzmu ani skromności. Chciałam, na przykład mówić moim własnym, chropawym, „nieprawidłowym" głosem, a nie takim bezosobowym jak inni. W Akademii poddaje się studentów najrozmaitszym zabiegom, by zmienić im głos, nadać odpowiednią impostację, słowem — by upodobnić wszystkich do siebie, każąc im mówić w sposób „poprawny" wprawdzie, ale standardowy i nijaki".

Karierę sceniczną rozpoczynała na deskach teatrów objazdowych, we Włoszech, jak wiadomo, nieliczne są stałe zespoły teatralne. Publiczność rzymska oklaskiwała ją w „Mandragorze" i w „Sześciu śmiesznych historiach". Lubiła repertuar komediowy, ale przede wszystkim starała się uprawiać teatr ambitny i nowoczesny. Grała w sztukach Brechta, Ionesco, Osborne'a. Ten typ teatru, o aspiracjach intelektualnych raczej niż widowiskowych, niełatwo znajduje oddźwięk u włoskiej widowni. Maria Luisa wybrała przeto drogę wyboistą, ale też w nagrodę czekały ją pierwsze triumfy. W roku 1955 otrzymała nagrodę „Złotego Orzecha" przeznaczoną dla najładniejszej debiutantki.

Próbowała oczywiście swoich sił i w kinie, ale bez olśniewających rezultatów. Był to czas niepodzielnego panowania na ekranach Włoch „piękności ulicy", naturalnych talentów wyłowionych przeważnie wśród laureatek niezliczonych konkursów na „miss urody" od „Miss Italii" poczynając. Dopiero z biegiem lat niektóre z owych gwiazd zostały aktorkami z prawdziwego zdarzenia. W początkach lat 50-tych Silvana Pampanini, Silvana Mangano, Sofia Loren, Gina Lollobrygida, Lucia Bosé — by wymienić te najsławniejsze — grały siebie, traktując urodę jako główną wartość aktorskiej ekspresji. Grały siebie czyli zazwyczaj dziewczęta z ludu, naiwne lub sprytne, sentymentalne lub namiętne, ale z reguły nieskomplikowane. Reprezentowały typ urody bardzo cielesnej, agresywnej, wyzywającej, odpowiadający doskonale gustom masowego włoskiego widza. Nie posiadały na ogół żadnego warsztatu aktorskiego, żadnej techniki, a za to fatalną dykcję i jeszcze gorszy akcent, ale przy powszechnej we Włoszech praktyce dubbingu nikt się tym specjalnie nie przejmował.

Monika Vitti — jak łatwo odgadnąć — miała niewielkie szanse w tej konkurencji. Biorąc pod uwagę aktualny wówczas ideał filmowej urody — była właściwie brzydka. Jej inteligencja i przygotowanie zawodowe nie stanowiły atutu w oczach producentów i reżyserów.

Był to zresztą okres kryzysu włoskiej twórczości filmowej. Ambitni reżyserzy borykali się z ogromnymi trudnościami. Triumfy święciła miernota. Monice Vitti trudno było zatem liczyć na efektowny debiut, który zwróciłby na nią powszechną uwagę i stał się wstępem do błyskotliwej kariery. Zagrała parę epizodycznych ról w filmach, które nie uświetniły niczym dziejów włoskiego kina. Po raz pierwszy nazwisko jej pojawiło się — na szarym końcu zresztą w — czołówce komedii „Śmiać się, śmiać się, śmiać się" (1954), potem w znanym i u nas „Futrze nurkowym" (1956). Ponieważ trzeba było z czegoś żyć — „dorabiała" w dubbingu. Jej głos rozbrzmiewał m. in. w „Nocach Cabirii" Felliniego.

W roku 1957 Monika Vitti występuje w mediolańskim Teatro Nuovo. Tu właśnie spotyka ówczesnego kierownika tej sceny — Michelangelo Antonioniego. Współpracuje z nim przy „Krzyku", dubbingując wykonawczynię jednej z głównych ról — Dorian Gray. Realizacja **„Krzyku"** była dla reżysera doświadczeniem wyjątkowo trudnym i bolesnym. Jego życie osobiste w owym okresie układało się fatalnie. Oboje: dojrzały artysta i człowiek oraz młoda dziewczyna, niepewna jeszcze swych dróg i wyborów przeżywali moment głębokiego kryzysu, a może nawet załamania. To spotkanie zdawało się radykalnie odmienić ich los. Stali się nierozłączni. Monika porzuciła dla niego dotychczasowy tryb życia. Zerwała z narzeczonym. Autentyczny i nieprzejednany nonkonformizm Antonioniego fascynował tę wieczną buntownicę. Pracowali razem w Mediolanie i w rzymskim teatrze Eliseo. Antonioni miał w swoim dorobku kilka interesujących inscenizacji teatralnych. Monika zagrała m. in. Sally Bowles w wystawionej przezeń sztuce Johna Van Drutena **„Jestem kamerą"**, będącej kanwą **„Kabaretu"**, musicalu, który podbił w jakiś czas potem sceny Broadwayu i ekrany świata. Specjalnie dla niej napisał włoski reżyser, wspólnie z Elio Bartolinim sztukę zatytułowaną **„Sekretne skandale"**.

Dzięki Antonioniemu sceniczna kariera Moniki nabrała blasku. Ona zaś wspierała go w toczonej z producentami upartej walce o możliwość urzeczywistnienia własnych zamierzeń twórczych. Towarzyszyła mu w najbardziej gorzkich chwilach jego życia. Gdy był bliski depresji po klęsce finansowej i zmowie obojętności, jaka w ojczystej Italii dotknęła **„Krzyk"**. Gdy anonimowo kręcił epizody cudzych filmów lub pracował jako drugi reżyser u Lattuady. Należał do artystów organicznie niezdolnych do kompromisu, najgłębiej przeświadczonych, iż koncepcja sztuki, jaką głoszą, jest tą konieczną i jedyną. Ale przecież jej wiara i entuzjazm, jej obecność były mu potrzebne. Stanowiły punkt oparcia.

Dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności udało się Antonioniemu doprowadzić do realizacji **„Przygody"**. Wprawdzie tydzień po rozpoczęciu zdjęć zabrakło producenta, a co za tym idzie i pieniędzy, ale znów z pomocą przyszedł szczęśliwy przypadek. Przerwa w komunikacji między Wyspami Eolskimi a Sycylią udaremniła natychmiastową ucieczkę ekipy i aktorów. Antonioni z jednej strony zabiegał o gwarancje produkcyjne, z drugiej zaś terroryzował współpracowników wymuszając na nich udział w zdjęciach. Przez cały ten czas Monika nie opuszczała go ani na moment. Łagodziła konflikty wybuchające raz po raz między ekipą a reżyserem. Czuła się współodpowiedzialna. Podtrzymywała go na duchu. Wierzyła absolutnie w wartość tego dzieła, które powstawało wbrew wszystkim i wszystkiemu. Była z Antonionim także i wówczas, gdy wytworni koneserzy zapełniający kino pałacu festiwalowego w Cannes, Anno Domini 1960, bezlitośnie wygwizdali **„Przygodę"**. Niezrażone tym, na szczęście, Jury Festiwalu przyznało filmowi Nagrodę Specjalną. Kilka dni później krytyka francuska, z właściwym sobie patosem, obwieściła światu narodziny nowego arcydzieła. Antonioni, podobnie jak parę lat wcześniej Bergman, stał się bohaterem dnia, obiektem nieustającego zachwytu i egzegezy.

Monika Vitti jeszcze do niedawna nieznana — zyskała miano pierwszej damy nowego kina. Jej zdjęcie zdobiło okładki poważnych miesięczników filmowych. Sukces **„Przygody"** był także jej sukcesem. Posypał się deszcz nagród. Posypały się zewsząd propozycje korzystnych kontraktów i efektownych ról. Wystarczyło tak niewiele czasu, by buntowniczy kopciuszek stał się królewną. Odnalazła pewność siebie, swojej urody, swoich walorów. Na pierwszy rzut oka sądząc, raz jeszcze dopełniła się ulubiona bajka dorosłych, bajka o kopciuszku, z upodobaniem zresztą powtarzana przez kino zarówno pod postacią rozlicznych fabuł jak i dziejów rozmaitych gwiazd.

MARIA KORNATOWSKA

HISTORIA ŁODZI

Foto: Archiwum

WIESŁAW MACHEJKO

PROCES SPRZED 55 LAT

Można by rzecz całą rozpocząć piosenką szarpiącą ówczesną modą duszę pt.

WZGARDZONA

Jam wzgardzona! W poniewierce,
Tylem przeszła, tyle burz!
Gdyby skała twarde serce,
Dla mnie szczęścia nie ma już!
O miłości wciąż marzyłam,
W uniesieniu młodych lat,
Wciąż do serca go tuliłam,
Lecz w nim zwiądł miłości kwiat!
Tam na wzgórzu, pod cyprysem
W grobie smętnym zaznam snu,
Kamień stoi tam z napisem,
Że wzgardzona leżę tu!

Rzecz będzie jednak natury poważniejszej. Dotyczy bowiem drastycznego w Łodzi problemu kobiet upadłych, prostytucji. Jej rozrostowi sprzyjał okres wojenny, nędza, przemarsze wojsk, upadek kryteriów moralnych, wreszcie jak się okaże, działalność instytucji i osób... odpowiedzialnych za zwalczanie prostytucji i chorób wenerycznych. **Akcja zdarzeń, o których poniżej, dotyczy końcowego okresu I-szej wojny światowej i początku nowego państwa polskiego.** Sprawa zrelacjonowana jest dokładnie w formie stenogramu z procesu jaki **5 i 6 października 1922 roku** odbył się przed sądem w Łodzi. Proces wytoczył dr **Władysław Stanisławski** inspektor Urzędu Sanitarno-Obyczajowego w Łodzi — wiceprezesowi Rady Miejskiej Łodzi **Stanisławowi Rapalskiemu** i radnemu miasta Łodzi, redaktorowi tygodnika „Łodzianin" **Władysławowi Doleckiemu.**

PIERWSZEMU ZA TO, ŻE: „w dniu 12 czerwca 1922 roku w drukowanym organie Łódzkiego Okręgowego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej pod nazwą „Łodzianin" nr. 11/336 w artykule umieszczonym tamże pt. „W obronie upadłej kobiety" znieważył dr Władysława Stanisławskiego zarówno przez treść pomienionego artykułu jak i przez odnośne ustępy brzmiące: „i nie pozwalał sobie na tak bezczelne kłamstwa"...

„a wszelkiego rodzaju mamutom, którzy poza obrębem swego urzędu nie widzą własnego nosa"... „zmuszanie zaś kobiet, do uczęszczania na kontrolę, które uczciwie pracują na kawałek chleba"... „urząd to czyni, mamy dowody".

DRUGIEMU ZA TO, ŻE: „będąc redaktorem wspomnianego czasopisma umieścił w tymże pomieniony utwór znieważający."

Stenogram z procesu ukazał się dopiero w 10 lat po jego zakończeniu nakładem Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Jego społeczna i ludzka wymowa jest jednak wciąż dramatyczna. Dokument gromadzi setki przykładów i zeznań kobiet młodych i w wieku średnim, które raz jeden zszedłszy z drogi „cnoty", wpadły w ręce łódzkiej policji obyczajowej, raczej agentów dr Stanisławskiego i były potwornie szantażowane, zmuszane do trzykrotnych badań w ciągu tygodnia. To nie pozwalało im na normalną pracę, a więc z powrotem wyrzucało na ulicę, ale już ze słynną czarną książką.

Całkowita bezkarność szajki dr Stanisławskiego podległej **władzom państwowym** spotkała się z protestem **władz samorządowych,** w tym wypadku wiceprezesa Rapalskiego, który w wyniku licznych skarg zarówno osób pozostających na wolności jak i na przymusowym leczeniu w Szpitalu Marii Magdaleny, wystąpił z artykułami krytykującymi brutalne metody dr Stanisławskiego. Działanie inspektoratu pod jego kierownictwem dawało możliwości znacznych nadużyć.

Przytoczmy dla przykładu dwa zeznania w procesie:

ZEZNANIE ŚWIADKA D.K.: — Dziewczyna młoda, przystojna, blondynka, ładnie ubrana. Mówi nieśmiało, nerwowo. Wzrok utkwiony przeważnie w ziemię. Spogląda w bok, rzadko na sędziego.

SĘDZIA: — Czy miała nieprzyjemności ze strony ajentów?

SW.D.: — Dawno to już temu, byłam na zabawie w Helenowie, to po wyjściu zatrzymali mnie na ulicy ajenci Urzędu... ja prosiłam, żeby nie zatrzymywali mnie... a oni oświadczyli, że puszczą, jeżeli pójdę z nimi do Helenowa, albo zaaresztują mnie... i ja poszłam do Helenowa z nimi.

MEC. KEMPNER: — A po tej zabawie w Helenowie z tymi panami z Urzędu, dokąd pani później poszła, czy do domu?

SW. D. — Oni zaprowadzili mnie, żeby zabawić się w Helenowie, później upili mnie wódką... byłam w nietrzeźwym stanie... oni zabrali mnie do hotelu Polskiego...

MEC. KEMPNER: — Więc ci ajenci Urzędu Sanitarnego, ci, którzy i dziś są ajentami, wzięli panią do hotelu dla zabawy?

SW.D.: — Ja byłam w nietrzeźwym stanie. Było już ciemno, jak chciałam pójść do domu, wtedy oni powiedzieli, że aresztują mnie... wzięli mnie pod ręce, musiałam iść z nimi... potem zaprowadzili do hotelu Polskiego...

MEC. KEMPNER: — Więc oni również z panią bawili się, a potem jak pani była nietrzeźwą, ciż sami zaprowadzili panią do hotelu? I co było w hotelu? Ilu było ajentów?

SW.D.: — Dwóch. Oni położyli rewolwer na stole, ja, będąc nietrzeźwą, zaczęłam oglądać i postrzeliłam się w palec. Na strzał zbiegła się służba hotelowa, to ajenci oświadczyli im, że ja nie podlegam kontroli, oni chcą sprawdzić...

MEC. KEMPNER: — Kazali pani rozebrać się? Rozebrali panią?

SW.D.: — Tak.

MEC. KEMPNER: — I zachowali się niewłaściwie — pani mnie rozumie?

SW.D.: — Tak.

MEC. KEMPNER: — To było za zgodą pani?

SW.D.: — Nie. Ja wtedy postrzeliłam się w palec... wszak byłam nieprzytomna...

MEC. KEMPNER: — Przedtem pani nie była prostytutką?

SW.D.: — Po wyjściu z zakładu nie byłam. Pracowałam razem z ojcem. Po tym wypadku w hotelu ajenci przychodzili, abym chodziła na kontrolę. Nie chciałam, żeby rodzice dowiedzieli się o tym. Chodziłam na kontrolę po kryjomu przed rodzicami, lecz prostytucją się nie trudniłam. Na kontroli wyśmiewały się ze mnie kokotki, że i tak jestem prostytutką, choć po ulicy nie chodzę... później zostałam prostytutką...

W procesie wielokrotnie przewijał się zarzut, iż brutalne zmuszanie kobiet podejrzanych o prostytucję do częstych badań spowodowane jest chęcią wymuszenia na nich poddania się prywatnemu leczeniu u dr Stanisławskiego, co kosztowało jednak szalone sumy. Oto stosowny fragment procesu. Zeznaje świadek W.J.

MEC. KEMPNER: — Czy pani nie słyszała, że są pani znajome, które jednak prywatnie leczą się u dr Stanisławskiego i nie chodzą na kontrolę.

SW.J.: — Owszem, leczą się u dr Stanisławskiego.

MEC. KEMPNER: — Przychodzą do niego do domu i płacą?

SW.J.: — Tak.

MEC. KEMPNER: — Czy pani sądzi, że te, które przychodzą, nie są pod opieką Urzędu? Czy pani o tym dokładnie wie?

SW.J.: — Owszem, nie są, ja wiem.
SĘDZIA: — Od kogo?
SW.J.: — Od kobiet.

MEC. KEMPNER: — Gdyby pani leczyła się u dr Stanisławskiego, musiałaby pani chodzić na kontrolę?

SW.J.: — Nie wiem, ale do szpitala na pewno nie poszłabym.

PROKURATOR: — Na jaką chorobę pani leczyła się?

SW.J.: — Na rzeżączkę.

PROKURATOR: — Ile czasu?

SW.J.: — Dwa tygodnie.

PROKURATOR: — Jak pani wyszła ze szpitala, pani też stawiała się?

SW.J.: — Dwa razy tygodniowo chodziłam na kontrolę. Kiedy zapytałam się dr Stanisławskiego, dlaczego dziewczyny inne po miesiącu nie chodzą na kontrolę, doktor uśmiechnął się szyderczo i odpowiedział, że jak jestem badana, to mogę prędzej gościa złapać.

SĘDZIA: — Wtedy, kiedy pani pracowała, czy pensja wystarczała pani?

SW.J.: — Owszem, zarabiałam siedem tysięcy marek tygodniowo, mogłam utrzymać się, mieszkałam u rodziców.

SĘDZIA: — Jak ajenci pierwszy raz przyszli, to kazano pani przychodzić do kontroli raz tygodniowo?

SW.J.: — Dwa razy w tygodniu.

SĘDZIA: — I dlaczego pani nie posłuchała?

SW.J.: — Ja nie miałam czasu. Miałam stawiać się we wtroki i piątki rano, do godz. 2-ej, a ja nie mogłam odejść od pracy.

SĘDZIA: — Tak, że, o ile pani szła na kontrolę, pani musiała pracę opuścić?

SW.J.: — Tak, dwa razy w tygodniu.

Szczególnie dramatyczne są zeznania świadka Ł., która będąc w ciąży poddawana była przez dr Stanisławskiego badaniom ginekologicznym, zabronionym w tym okresie. Spowodowało to poronienie. Pomijając obszerne zeznanie znajdujące się w stenogramie procesu przytoczę końcowe jego fragmenty:

SW.Ł.: — Ślub mój odbył się w następną sobotę i do Urzędu Obyczajowego już więcej nie poszłam. Przyszedł ajent Urzędu i zrobił awanturę w domu mojej matki o to, że nie przychodzę na kontrolę, chodził do dozorcy domu, pytał się sąsiadów, jak ja się prowadzę. Jak potem sąsiedzi patrzą na człowieka? Mąż mój oświadczył, że jeżeli ajent będzie nachodził nasz dom lub matki, to będzie zmuszony już czynnie reagować, bo widzi, że żadne prawo nie skutkuje... Nerwy dłużej wytrzymać nie mogły...

SĘDZIA: — Kiedy był ślub?

SW.Ł.: — Trzy miesiące temu.

SĘDZIA: — Czy od tego czasu pani nieprzyjemności nie ma?

SW.Ł.: — Po energicznym wystąpieniu mego męża i kategorycznym moim oświadczeniu teraz jestem spokojna.

SĘDZIA: — Więc czy ze strony dr Stanisławskiego były przeszkody do porzucenia tego zajęcia?...

SW.Ł.: — Tak, bardzo wyraźne. Narzeczonemu powiedział, że przechodziłam straszne choroby, że nie mogę być jego żoną.

SĘDZIA: — Czy pani czuje się zdrową?

SW.Ł.: — Byłam i jestem zdrowa, jak również mój mąż.

MEC. KEMPNER: — Więc w szpitalu powiedzieli lekarze, że pani jest zdrowa i leczyć się nie potrzebuje, a dr Stanisławski panią leczył?

SW.Ł.: — Chodziłam ze szpitala do Urzędu, tam i z powrotem, rzucano mną, jak piłką.

MEC. KEMPNER: — Jak potem pani poszła do szpitala, to dr Jasiński powiedział, że pani źle zrobiła, że pani dziecko zabiła, czyli lekarz uważał, że ten, kto dokonał poronienia, popełnił przestępstwo?

SW.Ł.: — Tak, powiedział dr Jasiński, że po wyjściu ze szpitala pójdę do więzienia za to, że dziecko zatrułam.

MEC. KEMPNER: — I płód był czarny?

SW.Ł.: — Czarny, jak sukno. Pielęgniarka, która odebrała płód, powiedziała, że było zatrute.

MEC. KEMPNER: — Czy pani opowiedziała to dr Stanisławskiemu?

SW.Ł.: — Tak, opowiedziałam.

MEC. KEMPNER: — A cóż dr Stanisławski na to powiedział?

SW.Ł.: — On odpowiedział: czy pani mnie posądza o poronienie i zatrucie dziecka? Przecież pani była w szpitalu, więc to nie ja, mógł to zrobić kto inny...

SĘDZIA: — Ma pani prawo nie odpowiadać na to zapytanie. Czy pani zwracała się do kogo o spędzenie płodu?

SW.Ł.: — Stanowczo nie. Dla nas było szczęściem, że dziecko przyjdzie na świat.

PROKURATOR: — Czy świadek był często w szpitalu Marii Magdaleny?

SW.Ł.: — Mówiłam przed chwilą, w jakich okolicznościach byłam w szpitalu.

OSK. RAPALSKI: — Więc pani była kilkakrotnie w szpitalu, gdzie dawali pani zwolnienie i momentalnie odsyłali do Urzędu jako zdrową?

SW.Ł.: — Tak. Z sąsiedniej kamienicy, tam i z powrotem. To było okropne... przeszło pięć razy.

OSK. RAPALSKI: — I ciągle twierdził dr Mierzyński, że pani jest zdrowa?

SW.Ł.: — Tak.

SĘDZIA: — Czym pani o tłumaczy, że jeden znajdował chorobę, a drugi nie?

SW.Ł.: — Nie wiem.

Z przebiegu tego procesu, który miał potem swą apelację przed sądem w Warszawie, prasa krajowa i zagraniczna zamieściła wiele sprawozdań. O wszystkie materiały jego dotyczące poprosiło Towarzystwo Opieki nad Kobietami w Hamburgu. Pisały i wyrażały swą akceptację dla postawy Rapalskiego i Doleckiego

„Głos Polski" z 10.X.22.: **„Sąd Okręgowy rozpatrywał sprawę, nadzwyczaj ciekawą i charakterystyczną, która nie powinna przebrzmieć bez echa."**

„Kurier Łódzki" 24.6.22 r. **„Epilog głośnej sprawy w Łodzi. Rapalski i Dolecki skazani na bezwzględny areszt 5 i 3 dni z oskarżenia dr Stanisławskiego."**

„Kurier Wieczorny" Łódź. 19.VI.23: **„Ślepacze bezbronnych kobiet", Zza kulis Urzędu Sanitarno-Obyczajowego — Cóż na to pan wojewoda łódzki?" „Niepodobna przytaczać wszystkich faktów, na które w swoim czasie rzucił bardzo jaskrawe światło proces Rapalskiego — dr Stanisławski. Jednak od tego czasu nic nie zmieniło się na lepsze, a niektóre sporadyczne wypadki bardzo ujemnie świadczą o kulturze miasta, które toleruje takie wybryki!"**

„KURIER WIECZORNY": 27.VI.1924 po procesie apelacyjnym: **„Przed sądem przesunęła się gehenna i istne piekło dantejskie tych wszystkich kobiet, które w dzisiejszym „moralnym" społeczeństwie traktowane są jako wyrzutki, gdyż otrzymały piętno hańby — „czarną książkę". Wyrok został przez sąd apelacyjny zmieniony. Lecz jakikolwiek nie zapadłby wyrok skazujący w tej sprawie, fakty, które stwierdzili świadkowie muszą poruszyć opinię społeczną, a przede wszystkim instytucje rządowe i ustawodawcze i zwrócić im uwagę, iż należy wnikać głębiej w przyczyny tego zła, z którego płynie prostytucja i choroby weneryczne."**

TELEWIZJA

PROFESOROWIE I DOCENCI

„Docent" znaczy mniej więcej tyle, co „nauczający". Ponieważ telewizja w dość szerokim zakresie prowadzi działalność nauczającą, nic zatem dziwnego, że spotykamy docentów na szklanym ekranie. Największą chyba popularność zdobył **Wiktor Zin,** który swoją telewizyjną szkołę architektury rozpoczynał przed laty właśnie jako docent. Dziś **Wiktor Zin** jest już od dawna profesorem, a jego akwarele osiągają zawrotne ceny na cotygodniowych aukcjach TV.

Jeśli nie zawodzi mnie pamięć, to również prof. **Henryk Jankowski** rozpoczął swoje telewizyjne gawędy jako docent. Zarówno **Wiktor Zin** jak i **Henryk Jankowski** spełniają w całej rozciągłości warunki tzw. osobowości telewizyjnych. Może oczywiście razić kogoś afektacja Zina czy dydaktyzm Jankowskiego, ale są to naprawdę ciekawe, pięknie mówione, mądre i kształcące programy.

Pisząc o profesorach i docentach nie sposób też pominąć **Aleksandra Bardiniego,** który właśnie swoją osobowością — pełną wiedzy, taktu, kultury i wrażliwości stworzył niepowtarzalny, znakomity cykl audycji. Cieszymy się więc z nagrody „Złotego Szczupaka" przyznanej prof. Bardiniemu na Festiwalu Filmów i Widowisk Telewizyjnych w Olsztynie.

Dalej jednak jest nieco gorzej. Od czasu do czasu występuje w Dziennikach Telewizyjnych **doc. Lewandowicz.** Pomijam już fakt, że podkreślanie w tym wypadku tytułu docenta nie ma większego sensu, bo chodzi tu o sztampowe publicystyczne komentarze gospodarcze. Ale to, co u publicysty byłoby jeszcze do wybaczenia, u docenta Lewandowicza bardzo razi. Otóż owe komentarze wygłaszane są w sposób drętwy, pełen stereotypów w rodzaju: „trzeba uchwałę przełożyć na język realnych dokonań..." Jest to — niestety — język bardzo wytartych banałów i zwrotów tak zużytych, że dawno straciły swoją celność. Doc. Lewandowicz wypowiada się w sprawach ważnych (a może raczej je r e f e r u j e), trudno mu także odmówić racji. Szkoda więc, że jakby zapomina, iż mówi do widowni składającej się z kilkunastu milionów słuchaczy, którzy nie zawsze mają ochotę słuchać wykładu, ale m o g l i b y wysłuchać przystępnego, interesującego komentarza.

Absolutnym przeciwieństwem doc. Lewandowicza jest choćby prof. Jankowski, który ważne problemy społeczne potrafi zawrzeć w gawędzie prostej, pełnej odwołań do codziennych doświadczeń telewidza, że mówi piękną polszczyzną, unikając jak ognia sztampy, zwrotów-wytrychów i tym podobnej „publicystycznej mgły".

W bloku programowym „Studia 2" mamy jeszcze jednego nauczającego. Jest nim **dr Walery Pisarek,** językoznawca i prasoznawca. Nauczanie poprawnej polszczyzny jest sprawą trudną i puryści stoją często na straconych pozycjach. Powszechnie wiadomo, że zwroty błędne zostają przez językoznawców nobilitowane do poziomu poprawności wówczas, gdy większość Polaków używa owego niepoprawnego zwrotu. Wówczas tzw. powszechność wymowy staje się oficjalną normą.

Rozumiem więc racje językowe, które każą dr Pisarkowi namawiać wszystkich do mówienia „pięć kilo pomarańcz" zamiast „pięć kilo pomarańczy", ale to nic nie da, bo i tak powszechnie wszyscy mówią jak im wygodniej. Powiedział jeszcze dr Pisarek, że „przyjemniej stać w kolejce p o coś, niż z a czymś". Mnie osobiście nie robi to specjalnej różnicy, bylebym nie musiał stać zbyt długo. Wydaje mi się poza tym, że we współczesnej polszczyźnie jest wiele poważniejszych spraw niż stanie w kolejce i problem pomarańczy.

TELEMAN

KSIĄŻKA

O MIŁOŚCI W BALLADOWYM STYLU

Wyrazem popularności większości pozycji PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej są niezwłoczne wznowienia. Na takiej właśnie zasadzie sprawdzona została między innymi poczytność książki Władysława Terleckiego „Odpocznij po biegu". Autor, uznany ongiś za jednego z reprezentatywnych prozaików pokolenia „Współczesności", dość szybko odstąpił od pokoleniowej płaszczyzny i zwrócił się konsekwentnie w stronę prozy historycznej. Pozycję swą ugruntował trylogią poświęconą powstaniu styczniowemu. Jako obowiązującą formułę prozy historycznej Władysława Terleckiego krytyka literacka zaproponowała postawienie bohatera wobec konieczności wyboru w sytuacji narzuconej przez bieg wydarzeń historycznych. Formuła ta okazała się trafna po części tylko — w ostatnich utworach Terleckiego historia staje się nie przedmiotem zainteresowań, a raczej tłem, pisarzowi chodzi o ukazanie niezmienności, trwałości ludzkich namiętności. Nie inaczej ma się rzecz w „Odpocznij po biegu", do której to powieści pretekstu fabularnego dostarczyła bardzo głośna w początkach naszego stulecia kryminalna sprawa Damazego Macocha — zakonnika z Klasztoru Jasnogórskiego. Autentyczny fakt jest tu takim samym pretekstem, jak i historyczny kostium, namiętności bowiem emocje właściwe naturze ludzkiej są ahistoryczne, zaś sensacyjne realia mają po prostu ukazać je bardziej jaskrawo.

Atmosfera skandalu, towarzysząca kiedyś sprawie Macocha, pobudzić ma fantazję współczesnego czytelnika. Odwieczna zasłona tajemnicy, oddzielająca dwie płci, niejednokrotnie prowadziła do demonizacji. Ileż to razy obiekt pożądania budził zarazem lęk i agresję. W ilu kręgach kulturowych okrzyknięto kobietę narzędziem szatana, femme fatale, czarodziejką, wampirem i modliszką. Reakcje takie wynikały z jej życiowego powołania. „Kochać i być kochaną jest największą potrzebą kobiety" — powiada profesor Antoni Kępiński. Kochająca kobieta nie cofnie się przed niczym. Nie cofnęła się i Barbara przed uwiedzeniem zakonnika.

Potraktowanie powieści Terleckiego w kategoriach zwykłej powieści sensacyjnej byłoby uproszczeniem. Jest to w istocie powieść kryminalna, ale rodem z Dostojewskiego. Aby nie powstały wątpliwości autor nasycił swój utwór wyraźnymi aluzjami w rodzaju: „Rodzi się bunt przeciw urzędowemu podziałowi na to, co złe i co dobre. O tej prawdzie przeczytasz sobie u Dostojewskiego. Ale on nie jest specjalistą od rozwiązywania konkretnych zagadek kryminalnych i może polegać jedynie na własnej wyobraźni. No, dobrze — również na znajomości życia". Tak mówi prowadzącemu śledztwo sędziemu jego kochanka Olga, szczycąca się bezpośrednimi kontaktami z żoną wielkiego pisarza rosyjskiego.

Istotnym problemem książki Władysława Terleckiego jest miłość nie mieszcząca się w panujących normach obyczajowych, wykraczająca poza obiegowe wyobrażenia. Ukazana została w dwu aspektach: potajemnej, hamowanej z różnych względów miłości sędziego prowadzącego śledztwo przeciwko Macochowi vel Sykstusowi z nieszczęśliwą w swym małżeństwie Oglą oraz z niepohamowanej namiętności Sykstusa i Barbary, zakończonej zbrodnią. Magia miłości, uznanie jej za jedyną drogę wiodącą do złączenia się jednostki ze światem otaczającym, stanowi niezbędny element dynamiki życiowej. Konflikt polega na ścieraniu się uczucia z obowiązującymi normami społecznymi. Uczucie sędziego ulega tym normom i stopniowo ginie, miłość Sykstusa przekracza je gwałtownie i tym samym skazana zostaje na unicestwienie. Miłość, przeciwko której zwracają się normy społeczne i ich rzecznicy, skazana jest na utratę swych barw, wcześniej czy później staje się dla partnerów szarą udręką, niemożność zaś jej realizacji wzmaga do niebotycznych rozmiarów tęsknotę.

Romantyczno-sensacyjny motyw powieści Terleckiego znajduje potwierdzenie w innych faktach epoki. Materiału na dzieło równie ciekawe dostarczają na przykład dzieje przebywającego przez pewien czas w Łodzi Antoniego Szandlerowskiego i Bożenny, przedstawione w rzeczowym szkicu Stanisława Helsztyńskiego „Abelard i Heloiza warszawskich Powązek".

„Odpocznij po biegu" ukazuje psychologiczny i metafizyczny wymiar miłości niezwykłej, pachnącej skandalem, owianej tajemniczością, miłości po prostu tragicznej.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Terlecki, Odpocznij po biegu, PIW, Warszawa 1976, nakład 20 000+150 egz., cena zł 18.-, wydanie drugie.

Korespondencja zagraniczna – LONDYN

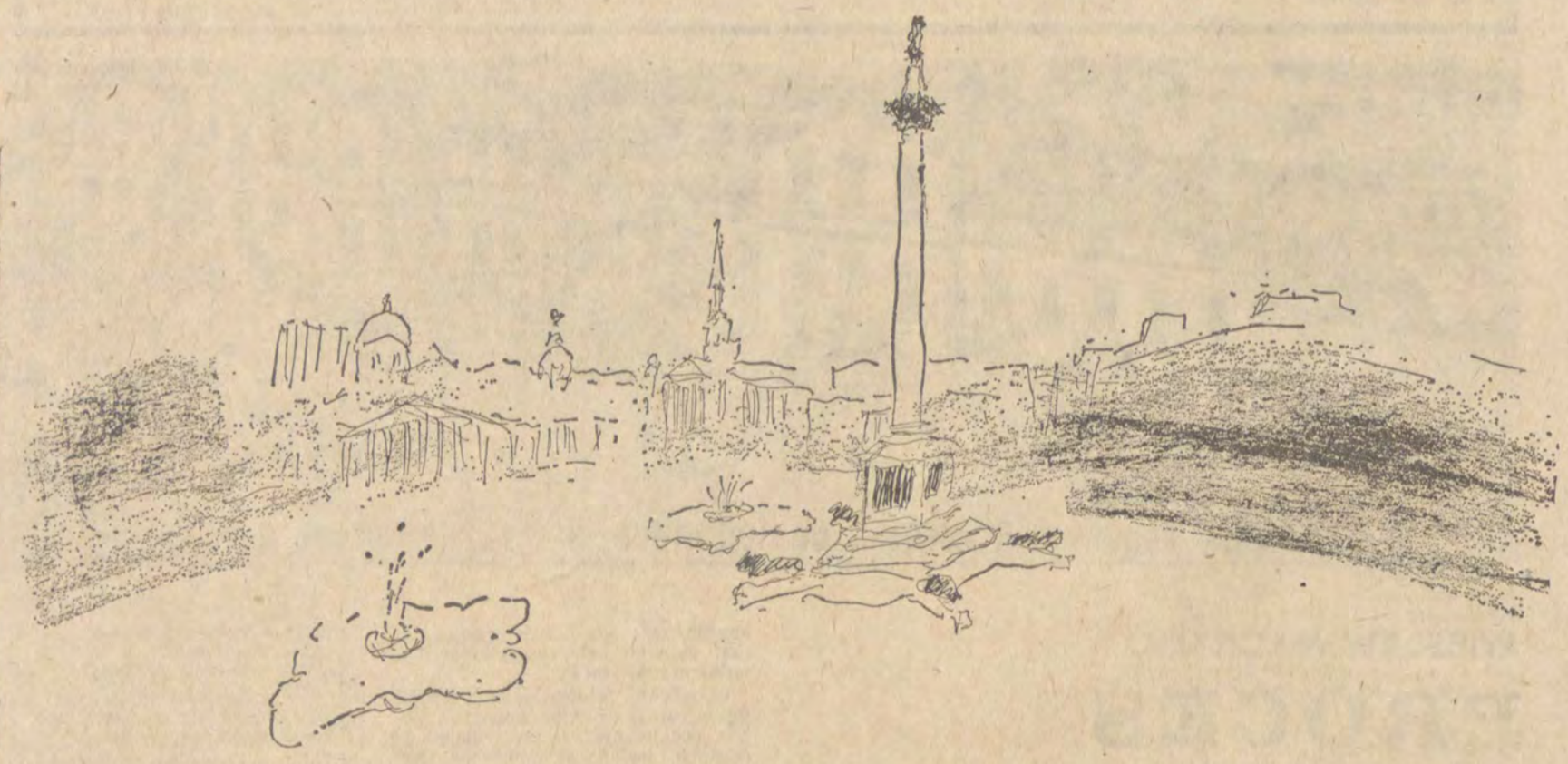

ANDRZEJ GRUN

CZTERY LWY I GOŁĘBIE...

Prus w jednej ze swoich Kronik pisał: „Anglicy są narodem wyjątkowo obdarzonym nie przez naturę czy wybór losu, ale przez swych przodków. Ci przekazali im nie tylko porządne państwo, dobrze uprawną ziemię, drogi, budowle i okręty, ale jeszcze mnóstwo bogactw duchowych. Zostawili im wzniosłą poezję, rzetelną historię, jasną i trzeźwą filozofię, zamiłowanie do pracy i ćwiczeń fizycznych, szacunek dla odwagi, umiejętność robienia planów obok cierpliwości i nieugiętości w działaniu, a ponad tym wszystkim wielki rozsądek. Rozsądek, który zawsze pyta: po co ja to robię i co na tym zyskam? Już ta jedna cnota rozsądku zrobiłaby Anglików wielkim społeczeństwem". Czasy zmieniają się, a my zmieniamy się w nich.

Kipling, gdy był jeszcze małym chłopcem, zapytany, co to jest wyspa, miał odpowiedzieć: jest to kawałek ziemi otoczony flotą brytyjską. Ten przykład imperialnego patriotyzmu należy dziś — stety czy niestety (różnie dla różnych) — do bezpowrotnej przeszłości. Po Imperium pozostało wspomnienie. Wspomnienie to wygląda jak ubranie zdjęte z Guliwera założone na krasnoludka. Inna rzecz, że krasnoludek biega tam i siam (szczególnie po Europie), udaje bardzo dziarskiego i przechwala się różnymi ukrytymi zaletami. Zupełnie, jak w tym dowcipie o lilipucie.

Mogłoby się zdarzyć, że jakiś chłopiec angielski, zapytany dzisiaj, co to jest wyspa, odpowiedziałby, że jest to mały kawałek ziemi zagrożony islandzkimi kutrami rybackimi. Mali chłopcy widzą często świat w prawdziwszych proporcjach niż dorośli mężczyźni. Faktem jest, że mała Islandia niewiele sobie robi z imperialnych tradycji i aktualnej siły „lwa na biegunach", jak niedawno nazwał Wielką Brytanię któryś z urzędników Smitsa.

Nie można zresztą mieć pretensji do obcych, skoro „sami swoi" nie potrafią, a raczej nie chcą niczego uszanować. Szkoci na ten przykład pragną gorąco być „tylko" Szkotami i obstają przy „swojej" nafcie na Morzu Północnym, przy „swoim" wysokim „murze chińskim", który by ich skutecznie i zawsze „odseparował" od Anglików, ciągnąc się od Carlisle w Solvay na zachodzie, brzegiem rzeki Tweed, wzdłuż pasma gór Cheviot do miasta Berwick na wschodzie, czyli linią frontu dawnych krwawych walk między obydwoma narodami, którym kres położyła dopiero unia z roku 1707. Na mocy tej unii Szkocja otrzymała prawo wysyłania swych posłów do parlamentu w Westminsterze (45 w Izbie Gmin na 512 angielskich), zachowała własny aparat sądowniczy i kościół, a także uzyskała prawo uczestniczenia w handlu kolonialnym. Szkoci po dziś dzień uważają, że zostali onegdaj haniebnie wykiwani i teraz zgłaszają pretensje do nafty i własnego parlamentu. Frustracja ich pogłębia się, gdy któraś z ich drużyn przegra z Anglikami w piłkę nożną.

Podobnie Walia, w opinii Anglików kraina „dziwnych ludzi", którzy wolą poezję i muzykę od footbolu i golfa. Walijczycy zachowali po dziś dzień świadomość odrębności narodowej, mimo usilnych starań swych anglosaskich partnerów historycznych, dążących do ich wynarodowienia najpierw, w średniowieczu ogniem i mieczem, a potem metodami nowocześniejszymi, a mianowicie poprzez kościół, szkolnictwo i aparat sądowy. Próby wynarodowienia nie powiodły się i, jak to nieraz w takich wypadkach bywa, odniosły wręcz przeciwny skutek. Pobudzona czujność narodowa Walijczyków umożliwiła skuteczną obronę przed tymi zakusami. Przypomniano sobie Owena Glendowera, wodza i patriotę, który w latach 1400—1410 stanął na czele zbrojnego powstania przeciw Anglii, doprowadzając do uznania Walii przez rządy Szkocji, Irlandii i Francji za państwo suwerenne. Dzielny ten człowiek posiadał obok niewątpliwych umiejętności wojskowych i dyplomatycznych cechy typowe dla natury celtyckiej — wybujałą wyobraźnię, skłonność do marzycielstwa i romantycznych gestów. W 1409 roku musiał ustąpić z zamku Harlech i uchodzić w góry, gdzie został przez Anglików pojmany, zamordowany i rzucony psom na pożarcie. Obok Owena Glendowera, Walijczycy z właściwym sobie wdziękiem i poezją postawili króla Artura i krąg jego rycerzy i zza takich to szańców uparcie bronili i bronią swojej odrębności i godności narodowej. Przejawia się to przede wszystkim w zachowaniu i pielęgnacji języka walijskiego, w stworzeniu narodowego teatru, własnej literatury i sztuki. A w chwili obecnej i oni też chcą mieć przynajmniej własny parlament. O Irlandii nie ma w ogóle co wspominać.

Tak więc to, co zostało z Imperium, kruszy się, łuszczy i trzeszczy. Za to tradycje imperialne pielęgnowane są arcypieczołowicie. Tak na przykład od ponad pięćdziesięciu lat, co roku, 21 października, w rocznicę bitwy pod Trafalgarem, w Portsmouth, w Doku Królewskim, który jest najstarszym suchym dokiem świata (zbudowano go w roku 1656) odbywa się uroczystość podniosła i godna, ściągająca nie tylko Anglików, lecz i całe rzesze turystów. Jest ona hołdem dla dawnej, bezpowrotnie minionej brytyjskiej potęgi morskiej. Otóż na statku flagowym admirała Nelsona „Victory", który umieszczony został właśnie w Doku Królewskim i zamieniony na interesujące muzeum — pomnik, wciągnięty zostaje z ogromną pompą „święty sygnał" spod Trafalgaru, składający się z 33 flag, a oznaczający pamiętne „England expects that every man will do his duty" — „Anglia oczekuje, że każdy spełni swój obowiązek!"

Ciekawa jest historia tego sygnału i okoliczności, w jakich został nadany, jak również ludzi, którzy mieli z nim coś wspólnego, zwłaszcza jednego z nich, sygnalisty Roomes'a, który własnoręcznie wciągał flagi na maszt „Victory".

Morskie kody sygnałowe, wojenne i handlowe, mają swoją długą i bogatą historię. Sam problem sygnalizacji kodami flagowymi przez długie wieki okazywał się być trudnym i rozwiązywano go stopniowo i na różne sposoby. A ponieważ najtrudniejsze są zawsze rozwiązania najprostsze, jak się niebawem przekonamy, trwało to i trwało. Jednym z najstarszych kodów flagowych używanych przez marynarkę brytyjską był kod wiceadmirała Williama Penna (1621—1670). Mimo niedoskonałości i niedogodności w stosowaniu, używano go przez półtora wieku. Był następnie stosowany kod Fryderyka Maryata (1792—1848), kapitana, poety i autora powieści marynistycznych; potem kody Tynna i Squire'a, potem kod Philippa — były to systemy sygnalizacyjne stosowane w marynarce handlowej i różniące się od siebie dość istotnie. Jaki taki ład w tej dość ważnej kwestii, zapanował, gdy unifikacją zajęła się angielska Board of Trade, czyli Izba Handlowa.

Co się tyczy kodów wojennych, to tu sprawa była nadal otwarta. Sygnalizacja dla okrętów wojennych musiała być szybka w nadawaniu i odczytywaniu, bogata w zasób haseł, przejrzysta i prosta w swej konstrukcji. Siłą rzeczy zadanie było tu trudniejsze niż w wypadku kodów handlowych. Nie ustawały zatem próby w wynalezieniu czegoś stosownego. W ostatnich latach XVIII wieku na zupełnie niezły pomysł wpadł admirał Ryszard Kempenfelt. Niestety, nie zdążył on opracować swojego systemu do końca. Statek jego „Royal Geogre" na redzie portu w Portsmouth w 1782 roku wywrócił się do góry dnem z całą załogą i nim samym. Niemniej, dzięki jego właśnie niedopracowanemu kodowi, Nelson, operując swobodnie swoją flotą, wyrwał się Hiszpanom koło Przylądka Świętego Wincentego w 1797 roku.

Kempenfelta zastąpił sir Home Riggs Popham. Zatrzymajmy się przez chwilę przy jego osobie, bo jak niewielu przysłużył się on Royal Navy. Zaczynał od marynarza na okręcie wojennym, potem służył we flocie handlowej, żeby powrócić do marynarki królewskiej i przechodząc kolejne awanse dosłużyć się funkcji dowódcy sił morskich w Indiach i na koniec stopnia kontradmirała. Poza zamiłowaniem do morskich awantur, wykazywał uparte zainteresowanie dla wszelkich systemów informacyjnych. Wynalazł na przykład telegraf semaforowy, który był instalowany na wybrzeżach Anglii. Prace nad nowym kodem sygnalizacyjnym dla Royal Navy ukończył w 1805 roku. Popham przyjął prostą zasadę: litery alfabetu oznaczone były w kodzie numerami od 1 do 28 i odpowiadał im odnośny zestaw chorągiewek; 10 innych chorągiewek oznaczało cyfry od 0 do 9. Ponadto istniał zestaw flag-sygnałów stałych i nawigacyjnych. Dodatkowo Popham ustalił dwa kody pomocnicze, aby uniknąć literowania, które było za powolne i dopuszczało możliwość błędów. Tak więc zastosował dwuflagowe zestawy, oznaczające najczęściej stosowane sygnały i trzyflagowe, oznaczające często używane słowa. W wypadku, gdy w składzie trójflagowym jakieś słowo nie było zakodowane, to albo je literowano, albo zastępowano innym. Taka konieczność zaistniała, gdy padł rozkaz wciągnięcia na „Victory" pamiętnego sygnału.

Sir H.R. Popham ukończył prace nad swoim kodem w 1805 roku. Był najwyższy czas! Napoleon czaił się z desantem w Boulogne, Nelson blokował Tulon, Kadyks, Rochefort i Brest. Napoleon czekał na swoje okręty w Kanale, Nelson trzymał w szachu flotę bojową Francuzów i Hiszpanów. Najpierw z Rochefort wyrwali się Francuzi, potem z Kadyksu czmychnęli Hiszpanie. Przepadli. Kiedy Nelson dowiedział się, że floty sprzymierzone grasują na angielskich Antylach i popłynął tam, nikogo już nie zastał. Zabawa w kotka i myszkę trwała. A tymczasem Napoleon, nie mogąc doczekać się swojej floty, wygrał bitwę pod Austerlitz. Na Kanale La Manche zrobiło się — na razie — nieco luźniej. Nelson blokował znowu flotę nieprzyjaciela w Kadyksie. Oficerowie sygnalizacyjni floty Nelsona zaznajomieni byli z „Popham's — ship — to — ship communication" czyli z Kodem Pophama.

19 października 1805 roku Nelson ze statku wartowniczego „Syrius" odebrał sygnał: „Nieprzyjacielskie okręty wychodzą z portu". Flota otrzymała dwa rozkazy: „Sformować dwie kolumny" i „Przygotować się do bitwy". Zbliżała się decydująca chwila. Pierwotna wersja decydującego rozkazu miała brzmieć: „England confides that every man will du his duty!" — „Anglia ufa, że każdy spełni swój obowiązek!" Ale oficer sygnalizacyjny, Pasco, stwierdził, że w Kodzie Pophama nie ma słowa „confioles" (ufa) i zaproponował zastąpienie go słowem „expects" (oczekuje). Admirał Nelson wyraził swoją zgodę. Przy takiej zmianie unikano literowania. O godzinie 11,40 na „Victory" wywieszono sygnał z 33 flag, z tym, że pierwsza i ostatnia, biało-czerwona i niebiesko-żółta, podzielone skośnie, oznaczały początek i koniec sygnalizacji. Bitwa pod Trafalgarem zakończyła się zwycięstwem admirała Nelsona i Royal Navy. Wielka Brytania przestała mieć na morzu konkurentów. Admirał Nelson otrzymał plac w Londynie, wysoką kolumnę strzeżoną przez cztery spiżowe lwy i dwie sadzawki na placu z przedziwnie szmaragdową wodą, do których zlatują się gołębie i turyści z całego świata.

Oficer sygnalizacyjny, współautor sygnału, Pasco, wyszedł z bitwy z życiem i otrzymał odpowiednie uhonorowanie. Nie można było natomiast odnaleźć trzeciego współtwórcy „świętego sygnału", sygnalisty Roomes'a, który flagi kodu wciągał na maszt. Wiedziano, że wrócił do Portsmouth na zniszczonej „Victory", że nie zginął. A jednak — przepadł. Anglicy, dla których sygnał zwycięstwa stał się „świętym", nie mogli zapomnieć o człowieku, „który brał w tym udział". Roomes'a odnaleziono po czterdziestu latach w szpitalu dla bezdomnych nędzarzy. Miał osiemdziesiąt lat i wynosił się z tego świata. Wtedy z „Victory" po prostu... zdezerterował. Wolał wrócić do swojego zawodu przewoźnika-barkarza w nędzarskiej dzielnicy Battersea, niż służyć w Royal Navy.

Doroczne uroczystości „świętego sygnału" doskonale obchodzą się bez Roomes'a, tylko że on zapomniał zupełnie o Imperium, natomiast historycy Imperium nie mogą zapomnieć o nim.

U PRZYJACIÓŁ

W Moskwie odbył się IX Zjazd Związku Zawodowego Pracowników Kultury ZSRR. Uczestniczyło w nim 750 delegatów reprezentujących 2.5-milionową rzeszę członków Związku. W referacie sprawozdawczym stwierdzono m. in., że w ubiegłym pięcioleciu w Kraju Rad powstało wiele wybitnych dzieł sztuki nawiązujących do ważnych wydarzeń z historii i współczesności społeczeństwa radzieckiego. Zapowiedziano dalszy rozwój instytucji kulturalnych m. in. powstanie 36 nowych teatrów, o 6 tys. wzrośnie sieć bibliotek publicznych i klubów. W bieżącym pięcioleciu kinematografia radziecka wyprodukuje 157 filmów pełnometrażowych i 7 tys. krótkometrażowych.

W toku obrad wyrażono przekonanie, że na troskę Partii i Rządu o rozwój kultury i sztuki jej działacze odpowiedzą dalszym podniesieniem poziomu artystycznego i ideowego, rozszerzeniem pracy masowo-politycznej i kulturalno-wychowawczej. Wskazano na pozytywne doświadczenia współpracy licznych zespołów artystycznych — aktorów, kompozytorów, pisarzy itp. — z zakładami pracy i kołchozami.

W dyskusji zwrócono uwagę na potrzebę dbałości o ekonomiczną stronę działalności kulturalnej, m. in. racjonalne gospodarowanie materiałami poligraficznymi, papierem. Postulowano zwiększenie społecznej kontroli związkowców nad działalnością instytucji kulturalnej w zakresie poziomu artystycznego jak i też organizacji pracy i stopnia zaspokajania potrzeb widzów.

IX Zjazd ZZPK ZSRR stał się również okazją do omówienia zagadnień związanych z obchodami 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, w których — zgodnie z uchwałą KC KZPR — placówkom kulturalnym przypada doniosła rola. Przewidziano w tym okresie festiwale, konkursy, przeglądy, wystawy itp. Rozpisano już konkursy na nowe dzieła muzyczne i sceniczne, odbędzie się też wszechzwiązkowy przegląd zawodowych zespołów artystycznych i festiwal sztuki teatralnej narodów ZSRR.

Wybitny pisarz radziecki **WALENTIN KATAJEW** obchodził niedawno 80 rocznicę urodzin. Jego olbrzymi i różnorodny dorobek twórczy jest nierozerwalnie związany z 60-leciem istnienia państwa radzieckiego. Od jego najwcześniejszych utworów jak „Czasie, naprzód", „Święta studnia", „Ja, syn pracowitego narodu", które ugruntowały sławę młodego pisarza. Szczególne miejsce wśród powieściowej i dramaturgicznej twórczości Katajewa zajęły utwory dla młodzieży. Powieść „Syn pułku" lub słynny na całym świecie „Samotny biały żagiel", będący ulubioną lekturą kilku pokoleń młodych czytelników. Trzeba też podkreślić, że Katajew przez wiele lat był naczelnym redaktorem miesięcznika literackiego „Junost", wykładowcą Wszechzwiązkowego Instytutu Literatury i po dzień dzisiejszy żywo interesuje się problemami młodzieży artystycznej.

Z okazji jubileuszu sylwetkę pisarza prezentuje „Literaturnaja Rossija" przypominając jego nieprzeciętną biografię uczestnika dwóch wojen światowych, dziennikarza i publicysty, działacza politycznego i pedagoga, współorganizatora I zjazdu pisarzy radzieckich. Pismo zwraca uwagę na te utwory Katajewa, które pisarz poświęcił odległym już czasom, kiedy rodziła się literatura radziecka, przybliżające współczesnemu czytelnikowi jego mistrzów i przyjaciół jak Majakowski, Bunin, Jesienin, Biedny, Bagricki, Olesza.

„Każdy nowy utwór Katajewa — pisze „Literaturnaja Gazieta" — jest ważnym wydarzeniem nie tylko w życiu literackim, lecz także społecznym naszego narodu. Któż tak jak on, senior naszego pisarstwa, z młodzieńczym entuzjazmem potrafi dziwić się wszystkim barwom otaczającego go świata i zadziwiać swych czytelników?"

Moskwa posiada 116 kin z 95 tys. miejsc z których corocznie korzysta ok. 110 milionów widzów. Na ekrany kin Moskwy wchodzi każdego roku ok. 200—220 filmów z których połowa to filmy rodzimej produkcji, powstałe w 20 wytwórniach filmów fabularnych, związkowych i republikańskich. Z krajów socjalistycznych pochodzi ok. 60 tytułów, z krajów kapitalistycznych i Trzeciego Świata — ok. 40. Wśród filmów importowanych dużym powodzeniem cieszą się filmy polskie. W ubiegłym roku moskwiczanie oglądali m. in. „Potop", „Hubala", „Jarosława Dąbrowskiego", „W pustyni i w puszczy" — w sumie 10 tytułów, Ostatnią premierą, w styczniu br. był film „Rozkaz: ocalić miasto". Moskiewskie premiery polskich filmów odbywają się z reguły w kinoteatrze „Warszawa" (1400 miejsc), który od otwarcia przed 6 laty cieszy się nieustającą popularnością wśród moskwiczan, którzy oglądają tu nasze filmy, a także koncerty estradowe.

Wydarzenia w Zjednoczonej Republice Egiptu znów zwróciły uwagę światowej opinii publicznej na sytuację w tym kraju. W ciągu dwóch dni gwałtownych rozruchów, jak informuje „Al-Ahram", zginęło w Egipcie 65 osób, 800 odniosło rany, ponad 2.000 aresztowano. Nawet prasa zachodnioeuropejska, zazwyczaj popierająca prowadzoną w ZRE tzw. politykę otwartych drzwi, musiała przyznać, iż głównym powodem tych zajść były pogłębiające się sprzeczności socjalno-ekonomiczne: nacisk kół rządzących na prawa i interesy życiowe mas pracujących, odejście od szeregu ważnych zdobyczy socjalno-ekonomicznych i postępowych przemian przeprowadzonych w okresie prezydentury Nassera, niepohamowany wzrost inflacji i cen, pogłębiający się kontrast między nędzą a bogactwem, spadek produkcji przemysłowej i inne.

EGIPT

WYBUCH NIE BYŁ NIEUNIKNIONY

Poszukując wyjścia z tej ekonomicznej i poljtycznej ślepej uliczki, w której znalazł się kraj w konsekwencji polityki „otwartych drzwi", rząd egipski siedzi po uszy w miliardowych długach z tytułu pożyczek zaciąganych w krajach kapitalistycznych i reakcyjnych reżimach arabskich. Kairski miesięcznik polityczno-społeczny „at-Talija", analizując przyczyny tych krwawych wydarzeń w ZRE, pisze m. in.: „Program obecnego rządu egipskiego sformowanego dwa miesiące temu przez Maduha Salema jest mieszaniną haseł i ogólnikowych twierdzeń zapożyczonych z programu rządzącej partii centrystycznej oraz szczodrych obietnic bez pokrycia. Analiza licznych działów tego programu prowadzi do wniosku, że rządowi brak umiejętności naukowego podejścia przy poszukiwaniu dróg prowadzących do rozwiązania głównych zadań stojących przed krajem, przede wszystkim zaś problemu wyzwolenia okupowanych terytoriów, a także rozwiązania nabrzmiałych problemów socjalno-ekonomicznych".

Część prawicowej prasy burżuazyjnej zwracała uwagę na nieuchronny wybuch socjalny w ZRE, a prawicowy tygodnik brytyjski „The Economist", pisząc o wydarzeniach w Egipcie, wskazał nawet, że przyczyny tego gwałtownego wystąpienia mas ludowych nie mają nic wspólnego z „komunistycznym podżeganiem", o którym na wszystkie strony trąbią obecnie władze egipskie.

Te nieudolne i bezsensowne w istocie próby przerzucenia winy za głęboki kryzys ekonomiczny i socjalny, spowodowały ewidentnie przez obecny rząd Sadata, na komunistów, jak również rozkręcanie w kraju kampanii antykomunistycznej mają na celu odwrócenie uwagi od prawdziwych przyczyn wystąpień egipskich mas pracujących.

Polityka, którą prowadzi Sadat już od kilku lat, nie mogła się nie odbić na ekonomicznym życiu kraju. Według oficjalnych danych poziom inflacji, w porównaniu z 1973 rokiem, wynosi dziś w Egipcie 35 procent. Zupełnie możliwe, że liczba ta wynosi około 50 procent. Średni roczny dochód na głowę mieszkańca wynosi dziś około 200 dolarów, tj. zaledwie dwa razy więcej niż 24 lata temu. Lewica żąda wprowadzenia reżimów oszczędnościowych i szerszego podziału dochodów; prawica z kolei uważa, że „arabskiego socjalizmu nie da się ulepszyć i trzeba z nim skończyć".

W 1976 roku, Egipt stanął wyraźnie w obliczu głębokiego kryzysu: przy globalnym produkcie narodowym ocenianym — jak podaje „The Economist" — na około 11 miliardów dolarów, deficyt handlu zagranicznego wynosi ca 2,5 — 3 miliardów dolarów, dług zagraniczny — od 15 do 18 miliardów dolarów. Od 1,5 do 2 miliardów dolarów, tj. trzecia część budżetu państwowego, idzie na zakup sprzętu wojskowego i utrzymanie ogromnej armii, liczącej 850 tysięcy ludzi. Jasne, iż w tej sytuacji na potrzeby rozwoju ekonomicznego kraju nie zostaje prawie nic.

Luksusowe mieszkania kosztują od 45 do 200 tysięcy dolarów. Ceny mieszkań „dla mas", w nowo wznoszonych, ogromnych blokach, wahają się w granicach 7 tysięcy dolarów, z uprzednią wpłatą w wysokości 1.500 dolarów. Reklamuje się je jako „dostępne dla szerokich rzesz społeczeństwa", podczas gdy biuralista zarabia zaledwie 22 dolary miesięcznie, a wyższy urzędnik państwowy — 150 dolarów.

Kair szybko staje się metropolią, w której enklawy pałaców są otoczone siedmioma milionami mieszkańców stolicy, żyjących w przerażającej nędzy, gnieżdżących się w lepiankach, na dachach domów, w grobowcach na cmentarzach, czy też w przepełnionych pokoikach starych domów, po 6—10 osób w jednym pomieszczeniu.

A oto wiele mówiące zestawienie: w latach 1966—1967 Egipt importował 1.400 samochodów dla użytku prywatnego. W 1975 roku, mimo wysokich ceł wwozowych, kupiono 35.000 samochodów osobowych, a w 1976 liczba ta wzrosła do ponad 40 tysięcy!.. Kairska plutokracja, stanowiąca 10 procent mieszkańców miasta, a także zagraniczni dyplomaci, bankierzy, handlarze naftą, turyści i Arabowie z krajów znad Zatoki Perskiej żądają — i otrzymują — nowe szosy i mosty. Ich nowiutkie Fiaty, Datsuny, Peugeoty i Mercedesy zapełniają ulice. Pozostałych siedem czy siedem i pół miliona mieszkańców Kairu musi się zadowalać zaledwie 1.262 autobusami, 114 trolejbusami i 230 tramwajami!...

Gigantyczny kombinat metalurgiczny w Heluanie, na południe od Kairu, zbudowany przy pomocy Związku Radzieckiego, można nazwać symbolem współpracy radziecko-egipskiej. I jest to symbol na miarę idei socjalizmu. Inny symbol, symbol prozachodniego kursu egipskiej elity władzy, tworzy obecnie amerykańska korporacja, będąca właścicielem wielu hoteli, rekonstruując, zbudowany nad Nilem, stary pałac Chedywa Ismaila. (tytuł wicekróla Eiptu, rządzącego w imieniu sułtana tureckiego 1867—1914 — red.). Nawiasem mówiąc, budowanie hoteli jest prawie jedynym sektorem dzisiejszej gospodarki egipskiej, w którym notuje się coś, co wygląda na potencjalny boom ekonomiczny. Bogaci mieszkańcy krajów arabskich i bogaci Egipcjanie dają pieniądze, a zachodnie kompanie zapewniają dostawy wyposażenia i specjalistów od spraw eksploatacji hoteli.

Dolina Nilu, jak wiadomo od tysiącleci, jest prawdziwą cieplarnią z najkorzystniejszymi w świecie warunkami na rozwój rolnictwa. Nie ma pod słońcem bardziej urodzajnej ziemi, jest to najwięcej obiecujące rolnicze bogactwo na Bliskim Wschodzie. Nie na darmo się mówi, że Egipt jest darem Nilu.

Dziś, ta bajecznie żyzna ziemia dostarcza ludności kraju zbiory z 5—7 milionów akrów ziemi, a zatem z powierzchni zaledwie o 1 milion akrów większej niż 70 lat temu. Natomiast liczba ludności w ciągu tych 70 lat wzrosła trzykrotnie i wynosi dziś 38 milionów, z rocznym przyrostem 1 miliona osób. Żeby wykarmić i zapewnić pracę takiej masie ludzi, Egipt powinien nieustannie zwiększać wydajność gospodarki rolnej i jednocześnie industrializować kraj. W obecnej sytuacji nie może być o tym nawet mowy, nie istnieją bowiem warunki, które by zapewniły takie działanie.

JERZY CZECH

KOMPUTERY OKRADAJĄ BANKI

W USA rośnie liczba przestępstw popełnianych przez komputery. W ciągu ostatnich ośmiu lat w prywatnych przedsiębiorstwach oficjalnie zarejestrowano ponad 400 takich „incydentów", które przyniosły przestępcom 200 milionów dolarów łupu. W analizie, którą przeprowadził Główny Urząd Rachunkowy USA mówi się o 69 przestępstwach, w wyniku których, w ciągu dwóch lat, federalne instytucje USA poniosły straty finansowe w wysokości 2 milionów dolarów.

I tak, jak informuje „International Herald Tribune", w Federalnym Biurze Podatkowym programista przelewał część środków wpływających z tytułu podatków, na rachunek krewnego. Machinacje zupełnie przypadkowo wykrył pewien podatnik.

Sierżant lotnictwa wojskowego obsługiwał komputer kontrolujący przydział paliwa w wojskowej bazie lotniczej Kelly, w stanie Texas. Sierżant zaprogramował elektroniczną maszynę na zakupienie nie istniejącego paliwa u fikcyjnych dostawców. Komputer „bez wahania" wydawał czeki fikcyjnym kompaniom, „założonym" przez sierżanta i jego wspólników. Do momentu aresztowania zdążył zgarnąć do własnej kieszeni 100 tysięcy dolarów.

Niezadowolony ze zwolnienia z pracy, operator maszyny elektronicznej pewnej kompanii bankowej na zachodnim wybrzeżu USA, ustawił program komputera w taki sposób, że po upływie sześciu miesięcy od jego odejścia z pracy z pamięci maszyny zostały wytarte wszystkie informacje, dotyczące bieżących rachunków bankowych. Administracja banku zamieściła w gazetach ogłoszenia, prosząc klientów o zapłacenie rachunków. Nikt na nie nie odpowiedział i bank zbankrutował.

Jak utrzymują specjaliści, będzie rosnąć i liczba przestępstw dokonywanych przy pomocy komputerów i rozkradane sumy pieniędzy. Na razie rekord w tej dziedzinie należy do 22 osób, które skazano na więzienie w głośnym procesie w 1973 roku, w związku z aferą w pewnej dużej firmie ubezpieczeniowej. Przy pomocy elektronicznych maszyn obliczeniowych przestępcy wypisali 64 tysiące fałszywych polis ubezpieczeniowych na ogólną sumę 2 miliardów dolarów.

Ekspert z uniwersytetu Stanford twierdzi, że około 85 procent przestępców „specjalizujących się w grabieży elektronicznej" przebywa na wolności.

(J.C.)

- GŁÓWNE FORUM DYSKUSJI O ROZBROJENIU
- BLISKOWSCHODNIA PODRÓŻ WALDHEIMA
- WNIOSEK KP HISZPANII O LEGALIZACJĘ
- ŚMIERĆ PREZYDENTA INDII

Utrzymujące się żywe zainteresowanie tematyką rozbrojeniową w ostatnich dniach spotęgowane zostało zapowiedzią, że **wkrótce zbierze się Komitet Rozbrojeniowy.** W jego pracach biorą udział przedstawiciele 30 państw i właściwie jest on głównym forum negocjacyjnym w sprawach rozbrojenia i kontroli zbrojeń.

Jak wiemy, większość państw członkowskich ONZ opowiedziała się za przyspieszeniem tempa wysiłków rozbrojeniowych, a na rok przyszły zapowiedziano zwołanie specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego na ten temat.

Związek Radziecki, co chcemy przypomnieć, na ostatniej sesji Zgromadzenia przedłożył memorandum w sprawie rozbrojenia, wysuwając m. in. propozycję zawarcia międzynarodowego porozumienia o zakazie badań i produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady. Zgłosił również inicjatywę światowego układu o nie używaniu siły w stosunkach międzynarodowych. Mówi się też o tym, że przedmiotem zainteresowania Komitetu będzie ponadto projekt, przedstawiony m. in. przez Polskę, całkowitego zakazu badań, produkcji i przechowywania broni chemicznej. Na przedyskutowanie czeka także tak istotny temat, jak nierozpowszechnianie broni nuklearnej. **Są to wszystko zagadnienia bardzo ważne,** prowadzące do zahamowania wyścigu zbrojeń.

Komentatorzy podkreślają, że **po raz pierwszy będzie mogła zabrać w tych sprawach głos nowa administracja amerykańska.** Ostatnio znów — na pierwszej konferencji prasowej po objęciu urzędu oraz w rozmowie z telewidzami prez. Carter, a w wywiadzie dla „Sunday Times" sekretarz stanu Vance — podjęli temat rozbrojeniowy. Będą więc wkrótce liczne okazje do sprawdzenia wypowiadanej gotowości USA na tym polu.

* * *

Dość często powracamy ostatnio do Hiszpanii. Nowym powodem do tego jest **dekret premiera Suareza w sprawie legalizacji partii politycznych.** Uchyla on ubiegłoroczną ustawę, która była bojkotowana przez partie polityczne, i wprowadza po prostu zasadę zgłoszenia deklaracji o istnieniu takiej czy innej partii. Jeśli od takiego momentu rząd przez 10 dni nie podejmie decyzji legalizującej — sprawa kierowana będzie do Sądu Najwyższego, który będzie wydawał ostateczną opinię. Dekret, w stosunku do dotychczas obowiązującej ustawy, przynosi ułatwienia, chociaż nie przesądza o legalizacji. **Skorzystała z niego jednak Komunistyczna Partia Hiszpanii** i zgłosiła odpowiedni wniosek. W chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku, nie upłynął jeszcze termin rządowej odpowiedzi.

Tymczasem odnotujmy, że w Hiszpanii zawiązała się nowa koalicja wyborcza pod nazwą „Socjalistyczny Sojusz Wyborczy", skupiająca trzy partie socjalistyczne. Obok prorządowego „Centrum Demokratycznego", skrajnie prawicowego „Sojuszu Ludowego" i koalicji chadeckiej będzie to więc **kolejny blok wyborczy.** Każda z socjalistycznych partii zachowa swą osobowość i samodzielność — wystawią one jednak wspólne listy.

Omawiane tu wydarzenia stwarzają nową sytuację w Hiszpanii i raz jeszcze potwierdzają potrzebę uważnego obserwowania dokonujących się tam przemian.

* * *

W minionym tygodniu **odbywał podróż po krajach bliskowschodnich sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim.** Celem jego rozmów było wysondowanie opinii i nakłonienie zainteresowanych państw do wznowienia prac konferencji genewskiej. Niestety — po jego spotkaniach w Tel Awiwie — agencje prasowe podały, że **Izrael nadal sprzeciwia się udziałowi w tej konferencji Organizacji Wyzwolenia Palestyny,** co stwarza poważną przeszkodę w podjęciu rozmów. Dziś bowiem nie można już skutecznie rozwiązywać problemu bliskowschodniego bez rozstrzygnięcia zagadnienia palestyńskiego, a OWP jest reprezentantem tego narodu.

Nie znamy jeszcze oceny Wladheima jego rozmów. Zauważmy jednak, że przed ich rozpoczęciem sekretarz generalny ONZ publicznie stwierdził, iż jeśli ta próba doprowadzenia do stołu obrad nie powiedzie się, łatwo będzie o wznowienie konfliktu.

W tym czasie, kiedy Waldheim podróżował po Bliskim Wschodzie, w **Genewie Komisja Praw Człowieka rozpatrywała problem łamania przez Izrael takich praw na okupowanych ziemiach arabskich.** Chcąc stworzyć fakty dokonane Izrael wysiedla Arabów, burzy ich domostwa i zakłada w tych miejscach osiedla izraelskie. Jest to oczywiście brutalne naruszenie Karty Narodów Zjednoczonych.

* * *

I ostatni temat. **Nagła śmierć prezydenta Indii — Fakhruddina Ali Ahmeda i zaprzysiężenie na tymczasowego prezydenta 64-letniego Basappa Danappa Jatii stwarza w tym kraju nową sytuację.** Zgodnie bowiem z konstytucją w ciągu 6 miesięcy musi być wybrana przez kolegium elektorskie głowa państwa. Tymczasem w marcu odbędą się wybory powszechne do parlamentu i ich wyniki mogą mieć wpływ także na wybór prezydenta.

W. SŁAWSKI

SPORT

OCZEKIWANIE

W niedzielę, 12 lutego 1977 roku, w „Wieczorze z dziennikiem TP" wystąpił Hubert Wagner w nowej roli komentatora telewizyjnego. Jak zapewne powszechnie wiadomo Hubert Wagner, zwany też „Katem", postawił sobie kiedyś cel: zdobyć mistrzostwo świata oraz złoty medal olimpijski — i cel ten osiągnął, stosując swoiste, a jak niektórzy mówią, drakońskie metody. Fakty te należą już do historii sportu polskiego, podobnie jak srebrny medal na Mistrzostwach Świata w RFN polskich piłkarzy, co było bezsprzeczną zasługą Kazimierza Górskiego.

Wypadałoby się cieszyć, że w sporcie pojawiają się indywidualności, o których nie można zapomnieć, o których się mówi i — miejmy nadzieję — o których nie zapomni się spisując kiedyś dzieje polskiego sportu, rejestr jego sukcesów i klęsk. Jeśli jednak patrzeć w ten rejestr z perspektywy 1977 roku, na to co dzieje się w sporcie aktualnie, to można dostać zawrotu głowy od klęsk. Przegrywają narciarze, skoczkowie narciarscy, łyżwiarze, piłkarze ręczni, tenisiści z Wojciechem Fibakiem włącznie oraz lekkoatleci z Ireną Szewińską na czele. Polscy piłarze też przegrali z pierwszoligowym zespołem, niestety, co we właściwym świetle stawia dwa poprzednie zwycięstwa, jako że odnieśli je nad zespołami jugosłowiańskiej ligi niższych szczebli.

Ludzie wtajemniczeni twierdzą, że historia lubi się powtarzać i być może mają rację, biorąc pod uwagę fakt, że sytuacja naszych piłkarzy jest podobna do tej, jaka była przed mistrzostwami w RFN. Albo pokonamy Duńczyków, albo oni nas pokonają. Wtedy zbawcą polskiej piłki nożnej okazał się Kazimierz Górski. Dziś rola ta przypadła Jackowi Gmochowi, który na czarodzieja nie wygląda, a ma dokonać cudu. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy problemy piłki nożnej spenetrowali aż do samego dna. Ich zdaniem polska piłka nożna, podobnie jak wiele innych dyscyplin sportowych, schorowana jest dokładnie i to — jakby to powiedzieli ludzie nauki — w swojej strukturze organizacyjnej. Ten stan rzeczy w zasadzie gwarantuje same klęski, a to, że czasami odnosi się sukcesy jest jedynie kwestią przypadku, a ściślej — cudu.

Z tak narysowanej sytuacji wylania się dość wyraźna prognoza, z której wynika, że autorami sukcesów sportu polskiego mogą być jedynie... cudotwórcy. Właśnie Jacek Gmoch jest kolejnym kandydatem na cudotwórcę i jak mu się cud uda, wszyscy go ogłoszą bohaterem narodowym, a jak mu się cud nie uda — nie będę mu wówczas zazdrościła.

Na cudotwórców oczekują też inne dziedziny sportu, ale jakoś z cudotwórcami nie jest najlepiej. Robienie cudów jest bowiem sztuką bardzo trudną i niezwykle ryzykowną. Roli cudotwórcy podjął się na przykład Leszek Jezierski i jak do tej pory wszystko mu idzie dobrze, czego mu nadal życzę, choć mu sprzątnięto już sprzed nosa Janusza Barana i jeśli mu jeszcze sprytni konkurenci sprzątną parę innych zawodników, to... Lepiej nie myśleć. Na cudotwórców czeka boks, narciarstwo, czekają łyżwiarze, tenisiści i wielu innych. A wydawałoby się, że w kraju, gdzie światopogląd materialistyczny powinien być dominujący, największy nacisk położony będzie na rzetelną codzienną pracę, na dobrą organizację, solidny trening, co powinno być najtrwalszą gwarancją wszelkiego sukcesu.

Zresztą przykład Huberta Wagnera czy teraz Jacka Gmocha wskazywałoby, że powodzenie zależy od solidnego przygotowania zespołu, od wielkiego wysiłku, wyrobienia technicznego i wręcz znakomitej kondycji. Ale coś takiego osiąga się z grupą wybranych, co jest w zasadzie zaprzeczeniem powszechności, czyli cudem. I tak to odbierają — niestety — kibice.

W tym też duchu zadebiutował jako komentator w niedzielę, 12 lutego 1977 roku, przed kamerami Hubert Wagner. Warto telewizji pogratulować, że sięga po nowych komentatorów, ale w moim odczuciu robi ona krzywdę Hubertowi Wagnerowi. Powiedział on bowiem to, co wszyscy doorze wiemy, że kluby powinny zrezygnować z partykularyzmu, że nie powinno być sportowców rentierów, którzy odcinają kupony od swojej niegdysiejszej sławy i że nie punkty w ligowej tabeli powinny być najwyższym celem klubów, a przygotowanie zawodników do kadry narodowej. Bardzo to ładne i prawdziwe, ale diabelnie niekonkretne, ogólnikowe. Odważny nad wyraz Hubert Wagner powinien był — tego się oczekiwało — „pojechać po konkretach", pokazać, wytknąć, wymienić. Jeśli już telewizja podniosła go do rangi generalnego cudotwórcy, to trzeba było pozwolić mu mówić to, co wie, a przecież wie wiele, bo był w samym środku tego młyna, którym jest sport nie tylko ligowy. Ale nie w tych rzeczy.

Hubert Wagner ma rację, ale jest to racja powszechnie znana. Jeśli więc ten znakomity trener ma nadal pełnić rolę komentatora, to nie może powielać wielce sympatycznego Tomasza Hopfera, którego wszyscy lubimy i który chciałby cały świat przytulić do serca, ani też jego miłych kolegów, którzy też wszystkim dobrze życzą. Musi być sobą, gdyż inaczej wyrządza mu się ogromną krzywdę, wypuszczając go — jak mawiają młodzi ludzie — w maliny.

Wyjście z takiej skomplikowanej sytuacji jest jednakże nad podziw proste: samemu wziąć się do roboty, a nie czekać aż przyjdzie cudotwórca i zrobi to za nas. W telewizji również.

BOGDA MADEJ

RELACJE

MORDERCA CZY KOZIOŁ OFIARNY?

Jedną z najsłynniejszych afer kryminalnych bieżącego stulecia, a na pewno jego pierwszej połowy, była sprawa zamordowania w 1932 roku dziecka słynnego pioniera lotnictwa, Charlesa Lindbergha. Rozgłos, jaki wywołała, był spowodowany nie tyle samym przestępstwem, ile procesem, który później nastąpił. Oskarżonym był człowiek nazwiskiem Bruno Richard Hauptmann.

Akt oskarżenia zarzucał mu, iż uprowadził, a następnie zamordował półtoraroczne dziecko „zdobywcy Atlantyku". Nagonka w prasie i radio, rozpętana przeciwko oskarżonemu, spowodowała, że proces był już tylko zwykłą formalnością. Nikt wówczas nie zastanawiał się czy przypadkiem nie działano zbyt pośpiesznie, czy dowody winy były rzeczywiście niezbite. Nic dziwnego, zamordowanie Charlesa Lindbergha juniora wywołało w całym niemal społeczeństwie amerykańskim falę ogromnego oburzenia, toteż gdy po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie domniemanego zabójcę, wszyscy bez wyjątku domagali się jego głowy. Żądaniom tym stało się zadość, bowiem Bruno Hauptmann został uznany winnym zarzucanych mu czynów i skazany na karę śmierci. Wyrok został wykonany w kwietniu 1936 roku. Wydawało się wówczas, że sprawa została więc ostatecznie zamknięta i pozostanie po niej jedynie ślad w annałach kryminalistyki. Wszystko zostało przecież wyjaśnione, a sprawca mordu poniósł zasłużoną karę.

I oto niedawno okazało się, że jednak nie wszystko zostało wyjaśnione. Więcej, że człowiek uznany za zabójcę i stracony był w rzeczywistości niewinny, że materiały obciążające, przedstawione na procesie, zostały sfałszowane, a „dowody winy" sfabrykowane. Tak w każdym razie twierdzi amerykański dziennikarz, Anthony Scaduto w artykule opublikowanym na łamach „New York Magazine" („Der Spiegel" nr 51/1976). Autor powołuje się przy tym na liczący 512 stron materiał, jaki zgromadził w toku własnego dochodzenia w sprawie Bruno Hauptmanna, a który stanowi treść książki wydanej ostatnio przez Scaduto. Z przedstawionych dokumentów wynika, iż Hauptmann na pewno nie zamordował syna Lindbergha i wyrok w słynnym „procesie stulecia" powinien zostać zrewidowany.

A oto, jak wyglądał przebieg wypadków tej zagadkowej sprawy.

Zbrodnia została popełniona 1 marca 1932 roku, około godziny 21,15, w miejscowości Hopewell w stanie New Jersey. Nieznany sprawca porwał 20-miesięcznego syna Charlesa Lindbergha, który już wówczas owiany był sławą amerykańskiego bohatera narodowego, za swój pionierski, samotny przelot nad Atlantykiem 21 maja 1927 roku.

Wiadomość o uprowadzeniu dziecka wywołała w społeczeństwie amerykańskim początkowo silne oburzenie, które przerodziło się niebawem w masową histerię. Niemowlęta o różnym kolorze włosów i skóry (synek Lindbergha był blondynem, lecz przypuszczano, że kidnaperzy mogli przefarbować jego włosy) były porywane z wózków dziecięcych i przedstawiane jako dziecko lotnika. Cała armia różnych jasnowidzów i oszustów korzystała z tej okazji, by ofiarowywać się ze swą „bezinteresowną pomocą". Tak na przykład 2 kwietnia rzekomi porywacze zażądali 50.000 dolarów okupu, gdy zaś pieniądze zostały im przekazane, zniknęli bez śladu, zaś o dziecku nie było jakiejkolwiek wiadomości. Wszelkie poszukiwania, często zakrojone na bardzo szeroką skalę, nie dawały żadnego rezultatu. Wreszcie 12 maja, w odległości kilku kilometrów od domu Lindberghów znaleziono zwłoki małego dziecka. Miało ono rozbitą czaszkę. Jeden rzut oka Charlesa Lindbergha wystarczył, aby zidentyfikować owo rozkładające się już ciało: „To jest mój syn".

Zabójca jednak nadal pozostawał nie wykryty. Dopiero ponad dwa i pół roku później, 18 września 1934 roku, aresztowano człowieka, który, jak się wydawało, był sprawcą tej ponurej zbrodni. Chodziło o liczącego 34 lata Bruno Richarda Hauptmanna, niemieckiego emigranta. Stał się on podejrzany w momencie, gdy na stacji benzynowej w okolicach swego miejsca zamieszkania w nowojorskiej dzielnicy Bronx zapłacił banknotami pochodzącymi z okupu. Podczas rewizji policja znalazła w jego garażu ok. 13.750 dolarów w asygnatach na złoto — stanowiących również część okupu.

Hauptmann jednak do ostatnich chwil swego życia, zanim 3 kwietnia 1936 roku nie został stracony na krześle elektrycznym, uparcie zapewniał, że jest niewinny. Twierdził, że pieniądze otrzymał od swego byłego wspólnika, Izydora Fischa przed jego wyjazdem do Niemiec. Wkrótce po przybyciu do Lipska Fisch zmarł na gruźlicę. Ponieważ Hauptmann od czasu wyjazdu wspólnika do Niemiec nie otrzymał od niego żadnej wiadomości, uznał, że zrezygnował on z powrotu do USA i zaczął korzystać z powierzonych mu przezeń pieniędzy, co było zresztą zgodne z umową między nimi.

Choć cała ta historia brzmi dość fantastycznie, Hauptmann miał jednak alibi: krytycznego dnia do godziny 17-tej pracował bowiem na budowie wieżowca domu towarowego „Majestic", w nowojorskim Central Park. Później, jak co dzień udał się kolejką metra do swego domu w Bronx, gdzie wraz z żoną spędził wieczór. Gdyby więc nawet natychmiast po przybyciu do domu wsiadł do samochodu i pojechał do Hopewell w New Jersey, to potrzebowałby na to co najmniej trzech godzin czasu. Toteż już z tego tylko względu należałoby wykluczyć Hauptmanna z grona podejrzanych, o dokonanie zbrodni, niemniej nie mógł tego udowodnić. Dlaczego? Otóż, jak się okazało w toku procesu, przedstawiciele firmy, która zatrudniła go na budowie, stwierdzili przed sądem, iż listy wypłat z okresu od 1 do 15 marca zostały zagubione, zaś nazwisko Hauptmann pojawiło się na pozostałych dopiero 21 marca. Zaskakujące jest przy tym to, że Anthony Scaduto już po dziesięciu minutach wertowania akt sądu w Bronx znalazł pokwitowanie na rzekomo zaginione listy płac. Wynikało zeń, że zostały przekazane policji. Dlaczego więc zginęły?

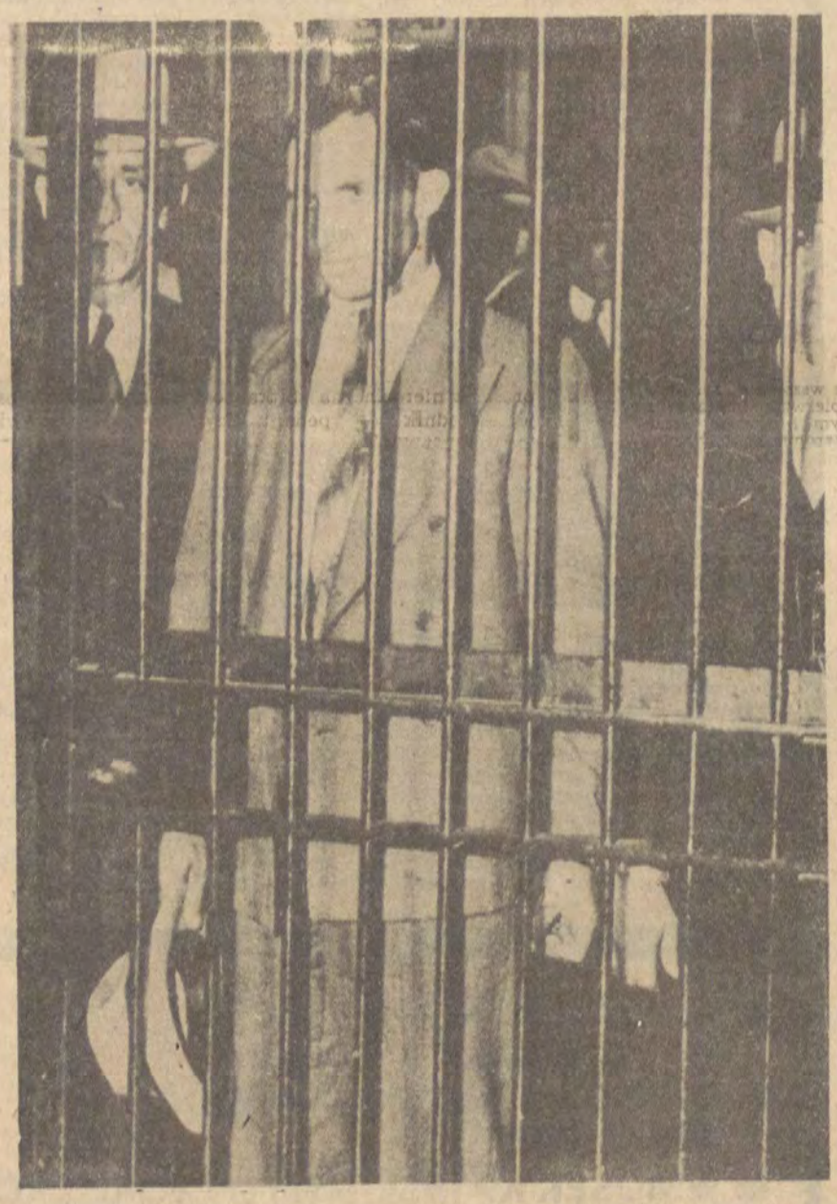

Foto: Archiwum

Na dodatek, w czasie postępowania dowodowego oskarżyciel, David Wilentz, niejednokrotnie powoływał się na owe rzekomo zagubione papiery, twierdząc, m.in., iż w dniu, w którym porwano dziecko Lindbergha, Hauptmann udał się do domu już o 13-tej. Dziwne było również i to, że żaden z dziennikarzy relacjonujących przebieg procesu nie zwrócił uwagi na tę „oczywistą machinację", choć wszyscy świadkowie strony oskarżenia przysięgali, że listy nie widzieli. Tak samo jak przemilczano fakt, iż w czasie rewizji u Hauptmanna znaleziono w szafie numer telefonu dra Johna H. Condona, który w miesiąc po porwaniu dziecka zgłosił się do Charlesa Lindbergha jako pośrednik kidnaperów w celu podjęcia owych 50 tysięcy dolarów okupu.

Dalszą interesującą dla Scaduto poszlaką była drabina, jaką posłużono się przy porwaniu. Rzucało się po prostu w oczy, że była ona wykonana zbyt niechlujnie, by mogła być uznana za dzieło tak dokładnego cieśli, jak Hauptmann. Ciekawe, iż ostatni jej szczebel (szesnasty) oskarżony wykonał jakoby z kawałka drewna wziętego z belki stropu swego domu, gdyż... zabrakło mu materiału (!)

Choć brakujący kawałek belki w stropie domu Hauptmanna znaleziono dziwnym zbiegiem okoliczności dopiero po wyprowadzeniu się żony oskarżonego, kiedy to lokatorem został również „przypadkowo" urzędnik policji kryminalnej — sąd przekazał ów fragment do ekspertyzy Arthurowi Koehlerowi z Amerykańskiej Izby Drewna. Jak by nie było dość owych „zbiegów okoliczności", Koehler z kolei okazał się przyjacielem wspomnianego urzędnika policji kryminalnej, nic więc dziwnego, że wynik jego badań nie pozostawiał cienia wątpliwości, iż szesnasty szczebel drabiny został wykonany z belki stropowej, gdyż wielkością niemal „idealnie pasował" do luki w stropie. Tymczasem, jak wyszło na jaw, w otworze znajdował się sęk, który świadczył o całkowicie różnym układzie słojów szczebla i belki. Koledzy Koehlera, do których dotarł Scaduto określili wynik dokonanej przez niego ekspertyzy jako absurdalny, a przecież w czasie procesu nikt go nie kwestionował. Również wyniki analizy grafologicznej zostały zdaniem Scaduto sfałszowane. Jedna z najbardziej znanych firm grafologicznych „Albert S. Osborn and Son", która później popełniła poważną pomyłkę, uznając za prawdziwy sfałszowany przez Cliforda Irvinga podpis miliardera Howarda Hughesa, przedstawiła prokuratorowi nie tylko próby grafologiczne pisma Hauptmanna, ale również jego żony.

W grę wchodziły także próby sposobu pisania cyfr, niemniej wyniki ich nie pojawiły się w orzeczeniu sądu. Jak twierdzili obaj grafologowie, charakter pisma oskarżonego był identyczny z tym, jakim napisane były listy z żądaniami okupu. Czy zatem cyfry nie pasowały do ich tezy?

Wspomniani grafologowie w opublikowanych przez siebie pracach zawsze podkreślali, że w trakcie postępowania procesowego powinno się wykorzystywać przy identyfikacji grafologicznej jedynie te próby charakteru pisma, które pochodzą z okresu popełnienia przestępstwa. Jednakże w procesie Hauptmanna swoją opinię wydali głównie na podstawie próbek grafologicznych napisanych przez oskarżonego pod dyktando, już po jego aresztowaniu. Wydaje się, iż prokuratura okręgowa musiała o tym wiedzieć najlepiej, w jej posiadaniu były przecież liczne, odręczne notatki Hauptmanna i wszystkie one zostały odnalezione przez Scaduto. Również pieczołowicie zostały zgromadzone te jego zapiski, które miały rzekomo stanowić dowód tezy oskarżenia dotyczącej podejrzanych interesów Hauptmanna z oszustem Fischem. Ciekawe, że Izydor Fisch nie był nieznany amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Jeszcze na rok przed aresztowaniem Hauptmanna śledztwo w sprawie morderstwa dziecka Lindbergha objęło również jego osobę. Ustalono m.in., że bilet na statek, jakim udał się do Niemiec, był opłacony w banknotach dolarowych pochodzących z okupu.

Wszystkie te fakty, zestawione przez Scaduto, choć znajdowały się w aktach procesu, nie zostały jednak przedłożone sądowi. Świadczyły przecież niezbicie o tym, iż Hauptmann jest niewinny. Zatajono również fakt, że dr John F. Condon, liczący wówczas 76 lat, będąc pośrednikiem między porywaczami a Lindberghiem, sam należał do grona podejrzanych. Otóż wkrótce po przekazaniu okupu kidnaperom ktoś zamienił asygnaty na złoto wchodzące w jego skład na 3000 obiegowych dolarów — policja zaś poszukując sprawcy natrafiła wówczas na ślad zięcia dra Condona. W czasie procesu Lindbergh zeznał pod przysięgą, iż na początku zawierzył Condonowi, lecz według Scaduto nie było to zgodne z prawdą. Otóż Lindbergh jakoby polecił swemu osobistemu adwokatowi udanie się do mieszkania Condona, aby w ten sposób mieć go cały czas na oku. Również raport FBI z okresu tuż po przekazaniu okupu porywaczom zawierał wyrażoną na piśmie wątpliwość Lindbergha co do uczciwości Condona. Gdyby wspomniany raport został przekazany do dyspozycji obrony, wówczas łatwo byłoby dowieść bohaterowi narodowemu krzywoprzysięstwo. W tym momencie musi się pojawić pytanie, dlaczego tak usilnie dążono do posadzenia Hauptmanna na krześle elektrycznym?

Otóż Scaduto próbuje udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jego zdaniem Hauptmanna uczyniono kozłem ofiarnym między innymi dlatego, iż po długotrwałych i daremnych poszukiwaniach prawdziwych sprawców zbrodni ujawniła się z jednej strony całkowita bezradność policji, z drugiej zaś coraz bardziej przemożny wpływ wywierała powszechna obsesja wywołana brakiem rezultatów śledztwa. Opinia publiczna domagała się by „wreszcie kogoś ukarano za tę okrutną zbrodnię popełnioną na synu bohatera narodowego, Charlesa Lindbergha". Tego rodzaju zbrodnia nie mogła przecież pozostać nie pomszczona.

Faktem jest także, iż psychologiczne zaślepienie ludzi, którzy wówczas przed czterdziestu kilku laty „znaleźli winnego popełnienia morderstwa" bynajmniej nie osłabiło się przez ten okres czasu. Świadczy o tym choćby list, jaki nadesłał do redakcji tygodnika „Der Spiegel" Leon G. Turrou tuż po zamieszczeniu przez pismo wstępnej informacji o ukazaniu się książki Scaduto. Turrou, który był w owych latach agentem FBI i uczestniczył w aresztowaniu Hauptmanna, zawarł w swym liście ostry protest przeciwko wspomnianej publikacji. Według niego wprost na skandal zakrawa twierdzenie, iż Hauptmann został niewinnie skazany. Został on przecież „zidentyfikowany" przez doktora Condona jako odbiorca owych 50.000 dolarów. Jednakże w swej własnej relacji z przebiegu wypadków, napisanej w 1934 roku, stwierdził, o dziwo, iż Condon wcale nie zidentyfikował Hauptmanna, lecz powiedział tylko: „Nie. To nie jest ten człowiek. Ale jest tak podobny, jakby był jego bratem". Tak oto stała się faktem jeszcze jedna z wielkich pomyłek sądowych w historii jurysdykcji Stanów Zjednoczonych, nie pierwsza i raczej nie ostatnia.

Opracował:
BOHDAN FELT

NIEUSTĘPLIWI

Mervyn Jones, współczesny pisarz angielski znany jest w Polsce jako autor głośnej, sfilmowanej powieści „John i Mary". W „Czytelniku" w serii „z kotem" ukazał się obecnie przekład jego powieści „Nieustępliwi". Pisarz przedstawiła w niej dzieje trzech pokoleń rodziny Wheelwrightów, londyńskich dokerów z dziada pradziada, ktorych poza wspólnym zawodem łączy również ten sam dom, pod numerem piątym na Steadman Street. Akcja powieści rozpoczyna się w końcu XIX wieku, kiedy to powstaje wspomniana wyżej londyńska ulica, kończy się w czasach współczesnych.

Opisując codzienne życie swoich bohaterów, ich kłopoty, drobne sukcesy i radości, Jones kreśli nie tylko sagę rodziny londyńskich dokerów. Z ich śmiercią kończy się również i pewna epoka, dzieci nie są już podobne do swoich rodziców, ich życie potoczy się zupełnie inaczej, obowiązuje inny styl, inne są poglądy, inne obyczaje. Na miejscu starej, ulicy powstają nowe bloki mieszkalne. Zburzenie starych domów nieuchronnie zamyka pewien etap w życiu miasta.

Miłośnikom rzetelnej, tradycyjnej prozy powieść angielskiego pisarza z pewnością przypadnie do gustu.

Mervyn Jones „Nieustępliwi", tłumaczył M. Kwiatkowski, Czytelnik, W-wa 1976, str. 501, cena zł 35.

PRZEWODNIK DLA SMAKOSZY

Autorami „Przewodnika sztuki kulinarnej" są Maria Lemnis i Henryk Vitry, dwójka autorów znana i popularna dzięki uroczej, zbeletryzowanej „Książce kucharskiej dla samotnych i zakochanych", o także dzięki „Małemu słowniczkowi kulinarnemu", w latach 1962—1970 publikowanemu na łamach magazynu „Ty i Ja". Ten właśnie słowniczek stał się punktem wyjścia do opracowania „Przewodnika Sztuki Kulinarnej", który ostatnio ukazał się w Iskrach.

Autorzy tak piszą o swojej najnowszej publikacji: „Przewodnik nie pretenduje ani do rangi encyklopedii, ani też podręcznika. Są to jedynie „gawędy encyklopedyczne" na tematy kulinarne, rodzaj „Silra rerum". Pragnęliśmy (...) zestawić ograniczony rozmiarami książki wybór najważniejszych (naszym zdaniem) informacji, starając się zarazem zwrócić uwagę Czytelnika na często nie dostrzegany fakt, iż kultura i tradycje kulinarne stanowią barwny i wcale szeroki margines kultury ogólnej".

„Przewodnik" nie jest więc jeszcze jedną książką kucharską, nie zawiera żadnych przepisów, za to w sposób ciekawy opowiada o sprawach kulinarych znanych w najlepszym wypadku bardzo powierzchownie, a często wręcz zapomnianych, tak jak dobra, staropolska kuchnia należąca już dziś raczej do przeszłości.

Maria Lemnis, Henryk Vitry „Iskier przewodnik sztuki kulinarnej", Iskry, W-wa 1976, str. 477, cena zł 60.

MIASTA, KTÓRE MOGŁY ZGINĄĆ

Miasta, które mogły zginąć, to przede wszystkim Jarosław, Sandomierz i Kłodzko. Jeszcze przed pierwszą wojną światową, potem w okresie międzywojennym i ostatnio, szczególnie w latach sześćdziesiątych, w staromiejskich dzielnicach tych miast w gruzy rozsypały się, zaliczane do najcenniejszych zabytków architektonicznych, stare budowle. Przyczyną tych katastrof budowlanych było zapadanie się gruntu osłabionego siecią podziemnych lochów, piwnic i korytarzy. Dziś możemy już powiedzieć, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Profesor Zbigniew Strzelecki, dyrektor Instytutu Projektowania i Budowy Kopalni na Wydziale Górniczym AGH w Krakowie, wspólnie z nie żyjącym już prof. Feliksem Zalewskim, jako pierwszy w kraju zastosował metody górnicze do ratowania zagrożonych podziemnymi wyrobiskami starych miast. W latach 1967—197[illegible] opracował metodę kompleksowego zabezpieczenia i utrwalenia podłoża geologicznego. Pod jego również kierunkiem zabezpieczono w latach 1966—1976 Smoczą Jamę na Wawelu. W „Bibliotece Wiedzy Współczesnej — Omega" ukazała się ostatnio książka profesora Zbigniewa Strzeleckiego i grupy jego najbliższych współpracowników, którzy wspólnie z nim tworzyli zespół ratujący zagrożone miasta. Prace rozpoczęto w roku 1962 najpierw w Jarosławiu i Kłodzku, w roku 1964 w Sandomierzu, w następnych latach w Rzeszowie i w Przeworsku, w Opatowie i w wielu innych miastach. Książka „Miasta, które mogły zginąć", przedstawia narodziny i późniejsze sukcesy oryginalnej, polskiej, górniczej metody umacniania starych podziemi.

Zbiegniew Strzelecki, Karol Drzewiecki, Stefan Jóźkiewicz, Zbigniew Jura, Janusz Keyha, Stanisław Ropski — „Miasta, które mogły zginąć", Wiedza Powszechna, W-wa 1976, str. 114, cena zł 15.

PANTALEON I WIZYTANTKI

Mario Vargas Llosa, współczesny, urodzony w 1936 roku, pisarz peruwiański, którego twórczość zdobyła sobie uznanie czytelników i krytyki w wielu krajach, znany jest również doskonale polskiemu czytelnikowi. Jego karierę literacką zapoczątkowała, tłumaczona na język polski, powieść „Miasto i psy". Później otrzymaliśmy dalsze przekłady prozy Vargasa Llosy. Ukazała się więc u nas powieść „Zielony dom", dłuższe opowiadanie „Szczeniaki" i wreszcie ciecząca się bodaj największą popularnością powieść „Rozmowa w „Katedrze".

Obecnie w serii PIW-u „Współczesna proza światowa" ukazał się przekład wydanej w 1973 roku powieści „Pantaleon i wizytantki". Książka ta, która od razu zdobyła sobie rozgłos i poczytność, różni się zdecydowanie od wcześniejszych publikacji peruwiańskiego pisarza, będąc jednocześnie efektem jego nowych, oryginalnych poszukiwań twórczych. Snując groteskową, pikantną opowieść o wzorowym żołnierzu Pantaleonie, Vargas Llosa sięgnął po nowe środki wyrazu, wplatając w swoją prozę dokument, raport wojskowy, artykuł prasowy, wreszcie tekst audycji radiowej. „Pantaleon i wizytantki" to celna satyra mocno osadzona w realiach peruwiańskiej rzeczywistości. Lektura przynosi sporą porcję rozrywki, ale nie tylko. Mario Vargas Llosa w całej swojej twórczości zawsze pozostaje jeszcze moralistą.

Mario Vargas Llosa „Pantaleon i wizytantki", przełożył Carlos Marrodan Casas, PIW, W-wa 1976, str. 302, cena zł 40.

WARTO PRZECZYTAĆ

Branko Belan — Kto zapuka do moich drzwi. WŁ. 1976. zł 20,-
Tadeusz Breza — Spiżowa Brama. Notatnik Rzymski. Czyt. 1976, zł. 65,-
Margaret Drabble — Klatka latem w ogrodzie. Czyt. 1976, zł 22,-
Zbiegniew Włodzimierz Fronczak — Polowanie z nagonką. W Lub. 1976, zł. 10,-
Franck Jotterand — Nowy teatr amerykański. WAIF. 1976, zł 85,-
Dušan Kalić — Brzeg bez słońca. WŁ. 1976, zł 14,-
Marek Kusiba — Tratwa. WLub. 1976, zł. 10,-
Lautréamont — Pieśni Maldorora i Poezje. PIW. 1976, zł. 70,-
Stanisław Makowski — W szwajcarskich górach. Alpejskie krajobrazy Słowackiego. PIW. 1976, zł. 80,-
Zofia Nałkowska — Dzienniki 1909—1917 t. II. Czyt. 1976, zł. 85,-
Ryszard Sadaj — Na polanie. WL. 1976, zł. 15,-

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

GAZETY ŻYJĄ JEDEN DZIEŃ?

Stare powiedzenie mówi, że gazeta żyje jeden dzień. Tak jest — każdy dzień następny przynosi przecież nowe sprawy i wydarzenia, a więc gazeta wczorajsza traci aktualność. Ale to dopiero połowa prawdy, bowiem gazeta żyje jeden dzień i żyje także sto lat.

Roczniki gazet są bowiem historią, są dokumentalnym zapisem nieraz o bezcennej wartości. Zwłaszcza w Polsce, gdzie kolejne wojny niszczyły archiwa, unicestwiały zbiory dokumentów.

Tak więc roczniki gazet są historią codzienną. **Kazimierz Koźniewski** zatytułował swoje szkice o tygodnikach międzywojennych **„Historią co tydzień"**. Kto wie czy ta książka nie jest jedną z najciekawszych opowieści o dwudziestoleciu Polski między wojnami. Kto wie czy ów notowany co tydzień zapis (publicystyczny, literacki, artystyczny) nie jest najbardziej obiektywną relacją o międzywojniu. W tych dziesiątkach roczników pism zamknięta jest przecież cała złożoność a czasem i pokrętność postaw, ideologii, polityki...

Oczywiście książka Kazimierza Koźniewskiego nie jest relacją beznamiętną. Autorem jest przecież nie tylko żarliwy czytelnik owych czasopism, ale także i współuczestnik niektórych przedsięwzięć wydawniczych dwudziestolecia. I ten osobisty ton, zatrącający i o anegdotę i o wspomnienie sprawia, że „Historia co tydzień" jest książką żywą. Czego nie można na przykład powiedzieć o cennej skądinąd pracy doktorskiej Wiesława Pawła Szymańskiego o czasopismach awangardy dwudziestolecia.

Koźniewski zawarł w swojej książce siedem szkiców o takich pismach jak komunistyczne **„Oblicze dnia"**, narodowe **„Prosto z mostu"**, lewicowe **„Sygnały"**, klerykalna **„Kultura"** i wreszcie — liberalne **„Wiadomości Literackie"**. Jeśli dodać do tego **„Czarno na białym"** — pismo „zbuntowanych legionistów" oraz demokratyczną **„Orkę na ugorze"** i młodzieżową **„Kuźnię Młodych"**, będziemy mieli dwudziestolecie widziane przez pryzmat najróżniejszych postaw i ideologii. Oczywiście te wszystkie przymiotniki „narodowe" i „demokratyczne", „klerykalne" czy „literackie" należy traktować dość umownie. Zważmy bowiem, że określenia te znaczyły wówczas nie to, co dziś, a obecnie precyzyjność owych „wizytówek" jest bardzo zawodna.

Ogromną zasługą Kazimierza Koźniewskiego jest w pełni udana próba wyjaśnienia tych wszystkich skomplikowanych meandrów postaw i poglądów zachodzących w środowiskach ówczesnej inteligencji polskiej. Dzięki tej książce nasza wiedza poszerzyła się o jakieś niezwykle ważne elementy.

Jest prawdą niewzruszoną, że prasa stanowi najbardziej wymowny dokument czasu. Stare roczniki gazet były i zawsze będą najbardziej obiektywnym (także poprzez swoją subiektywność) obrazem społeczności w jakiej powstały. Historyk dopisze do minionych czasów swoje hipotezy i interpretacje, przejaskrawi bądź przemilczy... Ale rocznik gazety zawsze będzie mówił o czasach i społeczeństwie prawdę najbardziej wiarygodną. Nawet w takiej sytuacji w jakiej było komunistyczne „Oblicze dnia", w którym raz po raz spotykamy zdania: „ze względów wiadomych nie możemy napisać...", albo: „Listu nie możemy wydrukować". Nawet to bezlitośnie konfiskowane i pokryte białymi plamami „Oblicze dnia" mówi tak wiele (a może najwięcej) o tamtych czasach.

Dokumentalna i historyczna rola prasy tkwi bowiem także w tym, że po latach mówi ona o swoich czasach również poprzez własne ograniczenia. Szkice o „Obliczu dnia", o lwowskich „Sygnałach", są tej prawdy jeszcze jednym potwierdzeniem.

„Historia co tydzień" Kazimierza Koźniewskiego jest książką znakomitą, jest to historia dwudziestolecia widziana poprzez gazety, które żyją jednak dłużej niż jeden dzień.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WĄSKIE GARDZIOŁKO

O urzędniczej pedanterii, o irytującym przecenianiu porządeczku, układaniu papierków w równiutkie kupki i obsesyjnego systematyzowania spraw, klientów, dokumentów — mówiło się i mówi strasznie dużo. To już przecież nierozłączna zbitka pojęć urzędnik — pedant. Czy to aby prawda?

Wcale nieprawda! Znam środowisko urzędnicze tak, że lepiej nie można. Systematyczni, czyści, staranni w każdym działaniu pracownicy, są w tym środowisku taką samą rzadkością jak we wszystkich innych i oczywiście — nie mają żadnego wpływu na krajobraz biura. Ale — jak zawsze — istnieją po temu także przyczyny „obiektywne".

Niektóre biura posługują się segregatorami starszymi od wielu moich czytelników. Dużo jest jeszcze w użyciu segregatorów poniemieckich, których grzbiety zakleja się co roku nowymi etykietami określającymi zawartość. Takie grzbiety to kapitalne wielowarstwowe palimpsesty dla badacza dziejów przemysłu i w ogóle życia publicznego. Ale i tak to są najlepsze segregatory, solidne, wciąż sprawne i działające zgodnie z przeznaczeniem. Jeśli instytucja posiada oprócz takich segregatorów jeszcze dziurkacze sprzed ćwierćwieku — może się nazwać dobrze wyposażoną w pomoce biurowe.

Nowsze dziurkacze po prostu nie przebijają paru arkuszy papieru, to nie dla nich robota. Źle przebite i już naddarte dokumenty wbija się siłą na krzywe i tępe druty segregatora z nowej produkcji, który najpierw nie chce się otworzyć, potem nie daje się zamknąć, druty nie trafiają na siebie, kaleczą palce i rwą do reszty dokument, napoczęty przez dziurkowanie. Po paru manipulacjach segregatorem wszystkie wpięte weń akta są kupą szmatławego papieru o podartych brzegach i postrzępionych rogach.

Trzeba być zresztą zasobną instytucją, żeby każdy urzędnik mógł otrzymać potrzebną ilość segregatorów. Ja nie mówię, że powinniśmy zapisywać aż tyle papieru, wręcz przeciwnie — tego jest dziesięćkroć za dużo. Ale czy ograniczając ilość segregatorów doprowadzimy do usprawnienia organizacji i zarządzania? Ograniczymy biurokrację? Segregatorów nie ma i akta przechowuje się w najróżniejszych teczkach, bądź z plastyku, który po kilkudziesięciu zgięciach kruszy się i łamie, bądź z tektury, która po dwóch latach zamienia się w szary kurz. Szafy nabite do niemożliwości takimi teczkami, to przygnębiająca melancholia i groza. Nie chcę wymienić bardzo poważnej instytucji, której kartoteka, obejmująca i decydująca autentycznie o losie setek tysięcy ludzi, to zbita dżungla brudnego, wstrętnego, postrzępionego papieru, to niemożliwy już do opanowania żywioł, miejsce gdzie nie ma mowy o estetyce, pedanterii, systematyczności.

Istnieją na świecie — znane doskonale i u nas — pomysłowe kartoteki, specjalnie wyposażone szafy i biurka, pojemniki, terminarze, proste i mniej proste przyrządy, nie mówiąc o kalkulatorach i bardziej nowoczesnych urządzeniach. Cóż z tego: wszędzie widzimy na biurkach sterty teczek, stosy odręcznie zapisanych arkuszy — to urzędnik usiłuje jakoś własnym prymitywnym sposobem panować nad liczbami, sprawami, terminami. Przecież nawet o kalendarz na biurko, o terminarz nie może się doprosić!

Średnia wartość środków organizacyjno-technicznych, przypadająca u nas na jednego urzędnika, jest 48 razy mniejsza od analogicznej liczby w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a aż 180 razy mniejsza niż w Anglii czy w Szwecji. To strona pieniężna, ale nie jedyna. Bo i tak o wiele łatwiej jest wyposażyć jeszcze pięć gabinetów dyrektorskich, kupić jeszcze tuzin dywanów, postawić na dachu nic nie mówiący neon, powiesić prestiżowo parę nowoczesnych obrazów w korytarzu, niż dać urzędnikom lepsze, sprawniejsze i ładniejsze utensylia. Po prostu ich produkcja w kraju jest za mała.

A może i tu jest jakieś wąskie gardziołko, przeszkadzające nam w doskonaleniu procesu organizacji i zarządzania?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CENA NOWOŚCI

Wszelkie nowinki były i są niemile widziane. Natura ludzka jest już taka, że lubi wygodę, spokój i woli unikać wszelkich kłopotów, jakie niesie z sobą to, co nowe.

— Za naszych czasów — powiadają staruszkowie, wygrzewający się w parku na słoneczku — to bywało zupełnie inaczej i dobrze było. A ta dzisiejsza młodzież, to tylko wszystko by zmieniała.

Ale jak tak pogrzebać trochę w pamiętnikach z czasów młodości dzisiejszych staruszków, to okaże się, że i oni nie byli tacy zachowawczy i też coś tam zmieniali, albo przynajmniej usiłowali zmieniać. Świat bowiem — jak nas pouczają filozofowie — rozwija się nieustannie i to dzięki przezwyciężaniu sprzeczności, poprzez walkę przeciwieństw, kiedy następuje „unicestwianie tego, co stare i powstawanie czegoś nowego". Jest to proces nieustanny, ale ludziom wygodniej czasem o tym zapomnieć, nie widzieć narastających sprzeczności, tkwić w starych nawykach, przyzwyczajeniach i myśleć starymi, dobrze wysłużonymi schematami. Jest to przywilej nie tylko ludzi „trzeciego wieku", nie wiek tu bowiem decyduje a raczej umysłowe lenistwo.

Nie zawsze należy jednak być tak surowym w sądach, jako że czasem siła starego jest wielka, a oczywistość nowego zbyt wolno toruje sobie drogę. Przykładem na to może być niezwykle pożyteczna akcja „teleks w każdej gminie". Wiadomo, że stary układ administracyjny ukształtował w dziedzinie łączności pewien funkcjonalny schemat. Wszystkie miejscowości danego województwa musiały mieć możliwie sprawną łączność z powiatami i wojewódzkim miastem. I tak łączność zbudowano lub budowano. Ale oto zmienił się podział administracyjny i okazało się, że wiele miejscowości, które stały się siedzibami gmin, nie ma teraz połączenia z województwem. Na przykład z Praszki można było dość łatwo połączyć się z Łodzią, a już prawie niemożliwie z Częstochową, w obrębie której znalazła się teraz Praszka.

Aby nowocześnie rozwiązać problem łączności podjęto właśnie akcję „teleks w każdej gminie". Powinna ona zakończyć się z upływem bieżącego roku, ale Ministerstwo Łączności sugeruje, że może zakończyć się jeszcze przed 22 lipca 1977 roku. Tak więc każdy urząd gminny będzie dysponował nowoczesnym urządzeniem telekomunikacyjnym, dającym mu możliwość i to niezależnie od pory dnia czy nocy, nawiązania porozumienia z wszystkimi instytucjami teleks posiadającymi, a posiada ich już bardzo dużo. Poza tym każda instytucja posiadająca teleks może skomunikować się z dowolną gminą, też niezależnie od pory dnia i nocy, gdyż wiadomość zostanie odpowiednio zapisana i musi dotrzeć do adresata, który może i powinien być zobowiązany do jej potwierdzenia. Dzięki teleksowi gmina przestaje być odcięta od świata.

„Cóż po teleksie w gminie, gdy jest nie wykorzystany" — pyta „Express Wieczorny". I publikuje wypowiedź inż. Stefana Szlasa z Ministerstwa Łączności, który powiada między innymi:

„Z pewnym zdziwieniem w świetle przedstawionego wysiłku łącznościowców (którzy zainstalują w gminach teleksy szybciej niż zakładano — przyp. M. R.) należy przyjąć fakt jeszcze dość nikłego wykorzystania urządzeń teleksowych nie tylko przez urzędy gminne, ale i podległe im jednostki gospodarcze. Wykorzystanie kształtuje się bowiem dużo poniżej średniej krajowej".

Jeden z kolegów opowiadał mi, jak przed laty organizował redakcyjną dyskusję, na którą zaprosił przedstawicieli różnych instytucji... teleksową notą, przesyłając im nie tylko zaproszenie, ale i tezy do dyskusji, prosząc jednocześnie o potwierdzenie teleksem zgody na udział. Wywołało to spore zdziwienie, jako że zwyczaj nakazywał załatwianie takich spraw bądź to telefonicznie, bądź listownie. Dziś nie byłoby już takiego zdziwienia, gdyż nawet telewizja szeroko popularyzuje komunikację teleksową, a i dzięki praktyce w niektórych instytucjach wyrobiły się odpowiednie nawyki i przyzwyczajenia.

Ale jeszcze i dziś często słyszy się zdanie: — to rozmawia nie na telefon, choć jej treść ani nie jest tajna, ani sprawa tak ważna, aby wymagała osobistego kontaktu. Wydaje mi się również, że ,zamiast wielu listów i pism, które tak chętnie wszyscy piszemy w sprawach urzędowych, można byłoby szerzej i śmielej wykorzystywać teleks. Jest to sposób znacznie szybszy od usług pocztyliona, żeby nie powiedzieć doreczyciela. Ale i tu silne są stare nawyki.

Z tych przykładów, a można byłoby wyliczyć ich znacznie więcej, nie ograniczając się jedynie do telekomunikacji, wyłania się wniosek ogólniejszy. Nowoczesność — którą tak lubimy się chwalić, i słusznie zresztą — polega przecież nie na tym, że gdzieś tam wstawimy teleks, albo nową i technicznie nowoczesną maszynę, ale na tym, w jakim stopniu potrafimy z tego korzystać, jakie da to nam korzyści, jak poprawi rezultaty naszej pracy. Tak więc i na nowoczesność trzeba uczyć się patrzeć poprzez sprzeczności i przeciwieństwa, które występują przecież w każdym zjawisku, jak poucza nas dialektyka.

MARCIN RODAK

magazyn

UPIÓR URZĘDU

W naszym urzędzie coś straszyło; nie miał on mianowicie szczęścia do szefów. Nie powiem, owszem — przychodzili na to stanowisko ludzie błyskotliwi i inteligentni, ale rychło okazywało się, że albo woda sodowa strzela im do głowy, to znów nagle tracą poczucie rzeczywistości, bywało też, że po prostu głupieli zgoła nieoczekiwanie i błyskawicznie. Ich publiczne wystąpienia stawały się żenujące — albo były stekiem bzdur, albo dętymi frazesami, albo omawianiem problemów najmniej istotnych — i tak dalej. Upiór urzędu przejawiał też przewrotność niebywałą; zdarzało się bowiem i tak, że przychodzili do nas ludzie, którzy w poprzednim miejscu pracy uchodzili za durniów, bez pojęcia o robocie, którzy rozkładali po kolei wszystkie instytucje, w których przyszło im szefować. U nas natomiast brylowali. Ich wystąpienia były trafne, finezyjne, lekkie, ale pełne treści, pełne celnych tez i błyskotliwych sformułowań, mądre i przemyślane. Widocznie nie są tacy głupi, nie rozwijali się należycie, widać teraz, na co ich stać — rozumowaliśmy.

Dam zresztą kilka przykładów.

Grzegorz Blindziak, znany na poprzednim miejscu jako dos-

Foto: G. Puciato

konały organizator, świetny fachowiec, zawsze trzymający się blisko rzeczywistości okazał się u nas niewydarzonym fajtłapą, ani na jotę nie rozumiejącym zadań i roli instytucji. Już po kilku publicznych wystąpieniach przedstawił się nam jako kompletny głupiec. Bo o czymże on mówił w swych wystąpieniach? Najpierw wprawił nas w zdumienie uznając za węzłowe zadanie instytucji zmianę prawoskrętu w gwintach Z—D 11 na lewoskręty. Osłupieliśmy. Za parę dni kolejne wystąpienie (w piętnastą rocznicę Urzędu) poświęcone... wydeptywaniu trawników przez psy! Kiedy trzecią swą ważniejszą i bardziej znaczącą przemowę poświęcił problemowi „konieczności zmiany kształtu guzików w szynelach naszych woźnych", nie mieliśmy już złudzeń. Stary zgłupiał, jego dni są policzone... Tak też się stało.

Inny nasz szef, Jerzy Więdobrzycki, zaczął swe szefowanie od przemówienia na kongresie naszego pionu, podczas którego wystąpił z planem uruchomienia agend naszego urzędu na całym świecie. Chcę powiedzieć, że zajmujemy się koordynacją produkcji szaf pancernych. Więdobrzycki znany był z poprzedniego stanowiska jako człowiek skromny, rzeczowy, liczący się z realiami, toteż ta megalomania wprawiła nas w przerażenie. Upiór urzędu dawał o sobie znać i tym razem... Potem wypowiedział się jeszcze publicznie o potrzebie podjęcia badań kosmicznych „na własną rękę" (!), a na dorocznym walnym zebraniu zgłosił projekt podjęcia produkcji pancernych portmonetek. Odwołano go tuż po powrocie z Brazylii, gdzie usiłował kupić kilka fur orzechów kokosowych na podróżne skarbonki...

Natomiast Antoni Biber, który przyszedł do nas z Centralnego Biura Handlu Starzyzną i Towarami Wychodzącymi z Mody, zdeklarowany safanduła, zabłysnął już w pierwszym przemówieniu, mówiąc bardzo roztropnie na tematy ekonomiczne. Biber powiedział, że nie ma co nasycać i tak już przesyconego szafami pancernymi rynku wewnętrznego, ale trzeba zacząć sprzedawać myśl techniczną za granicę. Była to decyzja, na którą od dawna czekaliśmy. Wszyscy dziwili się, że przez tyle lat nie doceniano go na poprzednim stanowisku. Przebąkiwano nawet, że niesławę safanduły zawdzięcza czyjejś złośliwości.

Kiedy Biber przeszedł na emeryturę, zastąpił go Waldemar Zarucha, znany z tego, że jako główny specjalista od hodowli bażantów na terenach zakrzaczonych rozłożył ją całkowicie w południowych rejonach. I on zabłysnął u nas, chociaż nie cieszyliśmy się nim długo. Odszedł na rentę. Dziwne, zaiste, fatum ciążyło nad naszym urzędem...

Rzecz wyjaśniła się dopiero po śmierci starego Grzyba, starszego referenta kancelarii głównej, człowieka skrytego, zamkniętego w sobie, który przez lata pracy w urzędzie nie utrzymywał z nikim bliższych kontaktów i miał podobno brzydki zwyczaj donoszenia na kolegów. Grzyb — suchy, ascetyczny starzec, złośliwy w każdym calu — pracował u nas od początku i cieszył się dużym zaufaniem każdorazowego szefa. Trzeba przyznać, że znał najlepiej wszelkie tajniki naszej roboty. Otóż Grzyb zmarł nagle na zawał serca, chorobę nietypową dla urzędników kancelaryjnych, w chwilę po tym jak nasz nowy szef, młody Witebski, wyrzucił Grzyba z gabinetu w niejasnych okolicznościach. Znaleziono wówczas przy Grzybie stary podniszczony notes w skórzanej oprawie, gdzie wyczytaliśmy między innymi takie oto notatki.

„12 marca 19... Napisać referat Blindziakowi. Przekonać go, że gwinty w lewo są najważniejsze".

„23 września 19... Koniec z Blindziakiem".

„11 października 19... Wmówić Więdobrzyckiemu, że ma tu do odegrania życiową rolę".

„13 listopada 19... Napisać Więdobrzyckiemu referat. Wpuścić go w maliny „potrzebą zmian generalnych".

„10 grudnia 19... Kolejny referat dla Więdobrzyckiego. Podnieść problem kosmosu. Namówić go na zakup orzechów kokosowych".

„16 stycznia 19... Koniec z Więdobrzyckim".

„4 lutego 19... Biber jest niedołęga i dureń. Chronić go jak najdłużej".

I tak dalej, i tak dalej — daty, zapiski, cała strategia złośliwości Grzyba, który wykorzystując pozycję i zaufanie, jakim cieszył się u szefów, żonglował nimi jak piłeczkami, wykończając ich bądź podnosząc ich autorytet. Oczywiście, Grzyb nie mógł być normalny; lekarze orzekli po sekcji, że cierpiał na starcze zgorzknienie i małpią złośliwość.

Teraz dopiero zrozumieliśmy sens słów z jakimi młody i prężny Witebski wyrzucił Grzyba za drzwi:

— Ja was przejrzałem, Grzyb, dosyć tego, mnie pan może skreślić z rejestru!

Faktem jest, że upiór urzędu przestał straszyć, chociaż nadal trafiali się nam różni przełożeni.

MARIAN MISZALSKI

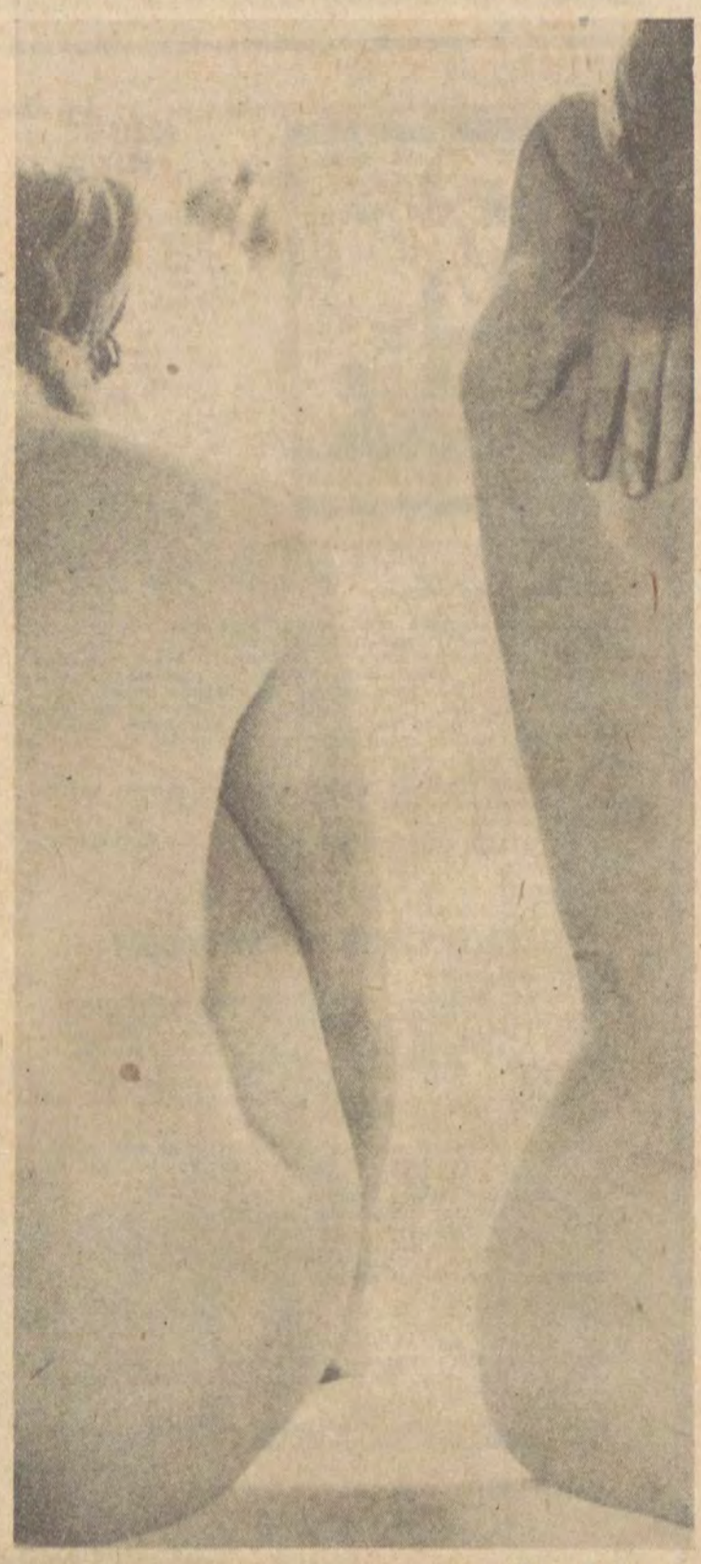

Foto: Archiwum

ZŁOTA TARKA 77

Jazz zawsze był muzyką swobody. Poczucie swobody jest czymś istotnym, a nawet nieodłącznym od jego improwizacyjnej natury, od możliwości jaką ma każdy muzyk wypowiedzenia się według własnego uznania.

O ile w latach pięćdziesiątych jazz był narzędziem normalnego buntu młodych przeciwko starszym (który to bunt wyrażano przez rock and roll) to począwszy od lat sześćdziesiątych i trwa to do dnia dzisiejszego swoboda jazzu nabrała głębszego znaczenia.

Najdobitniej poczucie muzycznej swobody i żywiołowości daje o sobie znać w jazzie tradycyjnym, który swą kolebkę miał w Nowym Orleanie. Jednak ten dixieland i jego wszelkie odłamy został ze swej ojczyzny, Ameryki niemal całkowicie wypędzony. Europa przez wiele lat opierała się na tarciu „krzykliwych dżazbandów", ale dziś stała się bezpiecznym schronieniem dla tej jedynej w swoim rodzaju muzyki. Z kolei — w Europie jedną z nowoorleańskich potęg jest Polska. I to nie tylko dzięki znanym na kontynencie polskim zespołom tradycyjnym (Old Timers, Sami Swoi, Old Metropolitan Band, Jazz Band Ball i Gold Washboand), lecz i podnoszącego z roku na rok swój prestiż konkursu jazzu tradycyjnego „Złota Tarka" będącego częścią składową festiwalu „Old Jazz Meeting".

Od 11 lat pod koniec stycznia zjeżdżają do Warszawy orkiestry w najróżniejszych składach, dla których ten dobry, stary i bezpretensjonalny jazz jest zabawą w muzykę. Muzycy grają jazz tradycyjny tak, jak to mogą robić współcześni Europejczycy. Nie sposób przecież wiernie kopiować dawne nowoorleańskie oryginały: zresztą nie miałoby to najmniejszego sensu. Przecież grają jazz tradycyjny lat siedemdziesiątych. Siłą rzeczy musi on się różnić od archaicznego. Jest bardziej nowoczesny (lub unowocześniony), odpowiadający zarówno gustom publiczności jak i wyobrażeniom estetycznym grających muzyków.

Działający od 24 stycznia 1974 roku Tradycyjny Klub Jazzowy przy warszawskiej Stodole jest ciągle żywotny, i to za sprawą jego animatorów corocznie odbywa się „Old Jazz Meeting". Warto przypomnieć, że jest to impreza dwuczłonowa: „Złota Tarka" obejmująca konkursem zespoły polskie, a „Old Jazz Meeting" jest imprezą towarzyszącą z udziałem zaproszonych krajowych i zagranicznych orkiestr. Tak więc entuzjaści polskiego jazzu tradycyjnego doczekali się w Warszawie imprezy o znaczeniu międzynarodowym.

Nasze miasto ma spore tradycje jazzowe, a ruch muzyki synkopowanej zatacza coraz szersze kręgi. Odbywają się cykliczne koncerty Jazzu Filharmonii coraz operatywniej działa Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe, które wystawiło na tegoroczną „Tarkę" Basin Steet Band działający pod patronatem ŁDKu. Zespół w składzie: Krzysztof Rajpold — p.lead, Zbigniew Boniecki-tp, Krzysztof Olesiński-cl, Mirosław Gostompski-tb, Andrzej Walczak-b, Tadeusz Gawryluk-bj, Andrzej Pionka-dr, zaprezentował program mogący się podobać, choć zabrakło w nim jakże koniecznych w tradycyjnym jazzie witalności i swobody. Niektóre chorusy grane były mało sprawnie technicznie, a w improwizacjach „wychodził" brak osłuchania ze standardami tej muzyki.

Tegoroczny konkurs nie należał do wybitnych — odnosiło się wrażenie jakby Tarka obniżyła swe muzyczne loty. Niemniej można było zaobserwować niejaki postęp wśród niektórych znanych zespołów biorących udział w poprzednich konkursach (Vistula River Brass Band, Completorium, Big Band Ursus, Spirituals and Gospels Singers).

Ubiegłoroczny laureat „Złotej Tarki" Vistula River Brass Band z Warszawy i tym razem został utytułowany najwyższą nagrodą, (drugiej i trzeciej jury nie przyznało). Wyróżnienie otrzymały dwie grupy: Spirituals and Gospels Singers działający przy Wielkopolskim Klubie Jazzowym i Hot Lips z Warszawy. O ile działający pod patronatem Stodoły Hot Lips jest zespołem o składzie tradycyjnym i takim repertuarze (wyróżniającym się muzykiem jest Janusz Kwiecień), to blisko 20-osobowa poznańska grupa wokalna jest swoistym ewenementem nie tylko w polskim jazzie. Trudno jednoznacznie określić sposób śpiewania przez młodych poznaniaków utworów wywodzących się z tradycji Gospels i Spirituels. Niemniej zachwycająca jest czystość intonacji i bezpretensjonalna żywiołowość.

Kolejny „Old Jazz Meeting" zapisano do kronik. Cieszy jednak wszystkich żywotność jazzu tradycyjnego, który u nas ma spore osiągnięcia.

K.W.

Spirituals and Gospels Singers

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

FRASZKI

PRAWDZIWY JAROSZ

Prawdziwy jarosz co dzień marzy,
by posłać lubej bukiet... z jarzyn.

DO PEWNEGO PISARZA

Oto pogląd czytelnika,
skoroś na pochlebstwa łasy:
twoje dzieła to klasyka,
ale chyba drugiej klasy.

RACJONALIZATOR

Poruszył wszystkie sprężyny!
Przy pomocy wazeliny.

ZASŁUŻONY

Wybitną bardzo jest jednostką,
a więc opinią cieszy go ta,
że się zapisał złotą zgłoską!
Lecz nikt nie sprawdzał próby złota.

OBAWA

Za wodę, prąd, za gaz
rachunki gonią nas.
Oby płacić nie przyszło
za światłość wiekuistą.

PROPOZYCJA

Trud tego mówcy bardzo doceniam:
trzeba go uczcić chwilą milczenia.

O TRAWCE

Swe życie traktuj jak zabawkę
choć spraw biurowych dźwigasz splot!
Wpierw pójdziesz na zieloną trawkę,
później na pewno pójdziesz pod.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762.
Zam. 296. W-2.